

UKRAIŃSKI ANTYPOLONIZM KWITNIE

Ilu banderowców mieszka w Polsce?
– skandal na Stadionie PGE Narodowym

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 34/643 18–24 SIERPNIA 2025
CENA 13,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO
PZECZY

Ziemkiewicz analizuje
fazę upadku Donalda Tuska

JOANNA BOJAŃCZYK
RECENZUJE STROJE
WSPÓŁCZESNYCH
KRÓLOWYCH
I KSIĘŻNYCH



Kim byli szkoccy i niemieccy
przodkowie Donalda Trumpa



KARDYNAŁ GRZEGORZ

RYŚ

**PATRON
LIBERALNEJ POLSKI**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



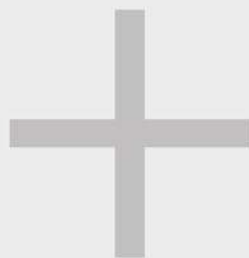
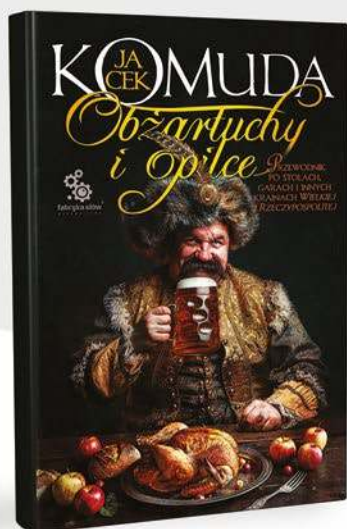
9 772299 850000

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA:

„OBŻARTUCHY I OPILCE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~575~~ ZŁ

273,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 302 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7dd1d45c14

Minister, który się kulom nie kłania



PAWEŁ LISICKI

Bardzo mamy dzielnego ministra sprawiedliwości. Jeśli ktoś w to wątpi, to niech przeczyta jego sążnisty wywiad dla „Gazety Wyborczej”. Już sam tytuł wywiadu pokazuje, że z nie lada siłaczem mamy do czynienia. „Nie będę pukał do drzwi prezydenta Nawrockiego” – mówi dziennikarzom „GW” Waldemar Żurek, co zapewne ma pokazać, że jest to człowiek, który się kulom nie kłania i przed wrogiem nie ucieknie.

W ogóle, muszę przyznać, rozmowa prowadzona jest w dość osobliwym tonie, jakby nie był to wywiad z urzędnikiem państwa, ale szefem sztabu generalnego, który przygotowuje się do wojny. To, że do drzwi Karola Nawrockiego pukać nie będzie, to nic. Miarą wielkości i odwagi nowego prokuratora generalnego jest także to, że on się „Zbigniewa Ziobro nie boi”. To ci dopiero śmiałek i chojrak. Wyobrażają sobie państwo, żeby takie rzeczy publicznie mówić? Toż to musi być serce waleczne, charakter niezłomny, postać ze stali wykuta. Ani go pod drzwi prezydenta nie zaciągną, ani do pukania nie zmuszą, ani wreszcie Ziobrą nie postraszą.

Na każdym kroku nowy minister zdaje sobie sprawę z tego, jak niezwykłego wyzwania się podjął, z jakimi przeciwnościami mierzyć się musi. Niczym postać z sagi Wagnera wie, że nie będzie łatwo, i dlatego oświadcza: „Przedemną najtrudniejsze zadanie, jakie miałem do tej pory”. Niektóre fragmenty wywiadu czyta się, jakby były to zmagania bohatera antycznego dramatu. „Decyzję, czy przyjąć propozycję premiera, musiałem podjąć szybko” – czytamy. Heroizm ministra podkreślany jest przez

przywołanie przodków, z których jeden zginął w wojnie bolszewickiej, a drugi był żołnierzem Września. Dziś w ich ślady idzie polski sędzia, tyle że jego wrogiem nie są ani bolszewicy, ani Wehrmacht, ale reżim (były?) PiS. W tej walce godnej Herkulesa sędzia nie będzie na szczęście osamotniony, bo ma w niej wsparcie „człowieka dużego formatu”, to jest premiera Donalda Tuska, człowieka lojalnego, szlachetnego i dobrotliwego. Wbrew pozorom (och, ta ludzka niewdzięczność) minister Żurek, zachowując swą niezależność i samodzielność, dostrzega w premierze cechy, które większości ma-luczkich umykają: premier, z mocą stwierdza minister, „jest lojalny wobec swoich współpracowników, także tych byłych”.

Mając wsparcie takiego szefa, minister Żurek, nieodrodny potomek polskich żołnierzy, „da ludziom nadzieję”. Wątek wojenny obecny jest w całej rozmowie. Tak, trudno w to uwierzyć, ale sędzia Żurek wciąż porównuje się do... żołnierza. „To jest tak jak z matką żołnierza, który poszedł na wojnę. Jest wśród kolegów, cały czas na adrenalinie, jest ranny, ale go wyciągają albo ginie. Ale go przeżywa jego matka, która czeka w domu i nie wie, co się z nim dzieje? Więc rodzina zawsze jest w najgorszej sytuacji. Dlatego wszystkie reżimy biją w rodzinę, bijąc w nas. I bardzo często pękamy, bo widzimy, że rodzina po prostu nie wytrzyma”. On jednak mimo straszliwych ciosów zadanych przez kaczystów, mimo kazamatów, mimo tortur i cierpień nie pękł. „Rodzina płaci zawsze dramatyczną cenę, a ten, kto jest na pierwszej linii, albo ginie, albo przeżywa. Ja przeżyłem”.

A teraz najważniejsze. Minister, który przeżył na pierwszej linii, na pewno nie spocznie na laurach. „Zgadzam się z teorią tzw. demokracji walczącej. Było o niej głośno. Ślepe trzymanie się aktów najniższej rangi, które betonują system, jest działaniem wbrew prawu”.

Wreszcie jasno i klarownie. Co to za prawnik, który „ślepo trzymałby się aktów najniższej rangi”? Przy czym trzeba dodać, że wysokość rangi aktu zależna jest nie od jego miejsca w systemie prawa, ale od tego, kto go wydał. Dlatego „dziś trudno mówić o domniemaniu zgodności z konstytucją ustaw uchwalanych za rządów PiS, a dotyczących sądownictwa”. Tylko sądownictwa? Myślę, że minister niepotrzebnie się ogranicza. Prawo uchwalone za rządów PiS jest bezprawiem i dlatego trzeba używać metod niestandardowych.

Nie zaskakuje zatem, że minister twardo mówi, iż „neosędziowie w SN nie są sędziami, powinniśmy ich nazywać niesędziami”. Wprawdzie trochę się gubie: Czy jeśli niesędziowie stanowią izbę Sądu Najwyższego, to czy Sąd jest jeszcze sądem? Czy jeśli niesędziowie są sądem, to czy sąd nie jest niesądem? Podobne problemy stwarzają inne deklaracje. Minister np. nie usiadł do stołu z taką osobą jak pierwsza prezes Sądu Najwyższego: „Z pewnymi osobami do stołu się nie siada, by negocjować kompromis”. Czy chodzi o to, że pani Manowskiej nie ma czy też że jest niesędzią?

Nie traćmy ducha. Najważniejsze, że minister żołnierz „ma wiarę w człowieka”. Tego się trzeba trzymać. ©



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
**KARDYNAŁ RYŚ RZUCA WYZWANIE
 EPISKOPATOWI**
 Nadzieja zwolenników Kościoła otwartego

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSK – FAZA UPADKU
 Polityczny koniec szefa rządu

23 ŁUKASZ WARZECHA
NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ SIKORSKIEGO

26 ROZMOWA Z GRZEGORZEM PŁACZKIEM
LOT NAD KUKUŁCZYM GNIAZDEM

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
DZIECI W SIECI

KULTURA

30 ROZMOWA Z MARKIEM TELEREM
MELPOMENA I KOLABORACJA
 Polscy artyści w czasie niemieckiej okupacji

33 GRZEGORZ KONDRASIUŁ
**CZY BĘDZIESZ WIEDZIAŁ,
 NA CO PATRZYŁEŚ?**

34 PIOTR GOCIEK
OSTRZE PRZEZNACZENIA

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 MICHAŁ KRUPA
**WSCHODNIA SZANSA
 NAWROCKIEGO**
 Czy prezydent RP otworzy nowy rozdział
 w relacjach z Rosją?

42 DARIUSZ WIEROMIEJCYK
**KTO SIĘ GNIEWA,
 KOMU ŚMUTNO?**

44 MARCIN SKALSKI
ŚŁĄSK – POLSKI SKARB NARODOWY

48 FILIP MEMCHES
**KOMU WADZĄ
 ŻOŁNIERZE WYKŁĘCI?**

50 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM SKIBĄ
**DEPRAWACJA
 TO NIE EDUKACJA!**

HISTORIA

52 RAFAŁ ŁATKA
**WROCŁAWSKI HIERARCHA
 KONTRA BEZPIEKA**

Sylwetka inicjatora orędzia do biskupów
 niemieckich

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
DUCH BANDERY NAD WISŁĄ
 Ilu banderowców mieszka w Polsce?

61 ROZMOWA Z TOMASZEM FROELICHEM
**TUSK TO ZAGROŻENIE DLA POLSKI
 I NIEMIEC**

64 TERESA STYLIŃSKA
**DONALD TRUMP: PÓŁ NIEMIEC,
 PÓŁ SZKOT**

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
SUKCES? OSZCZĘDNOŚCI I BRAK DŁUGÓW
 Rząd chce OKI zamiast likwidacji podatku Belki

71 ZIEMOWIT MIŁOSZ MALECHA
BEZ PRĄDU

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
SUKNIE, STYLE I SOJUSZE
 Królewska szata a dzisiejsza moda

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
NA WYSOKIEJ SKARPIE
 Tratwą po Wiśle



ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmiński, Dominika Cośic (Bruksela),
Tomasz Cukiermilk, Łukasz Czarnicki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzysztyniak,
Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak,
Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniejczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Lidia Lemański, Alina Piekarczyk, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska,
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz
Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sienkowski

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa
Okładka: Cezary Pecold/Forum

WYDAWCA: Do Rzeczy SA
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki



MARKETING: Piotr Pech tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl,
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzeczki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowalkowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@pocztyta.pl,
www.pocztyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829



Sprzedają egzemplarze aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Karol Świerczewski”, Leszek Żebrowski, „DRz” nr 31/2025

Krótkie, ale ważne i treściwe felietony p. Leszka Żebrowskiego czytam zawsze z podziwem dla znajomości faktów przez autora, toteż zasmuciła mnie błędna informacja w tekście dotyczącym Karola Świerczewskiego („Do Rzeczy” nr 31/2025), jakoby ten zmoskwicały Polak cytuję: „Został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Wojennego Virtuti Militari”. Jest to nieprawda. Świerczewski został odznaczony, ale Krzyżem Wielkim PRL-owskiego Orderu Virtuti Militari, a nie Orderu Wojennego Virtuti Militari. Niestety, coraz mniej osób pamięta, że Order Virtuti Militari to nazwa odznaczenia powstałego w Polsce Ludowej przez zawłaszczenie przez komunistów, a w 1944 r. przez PKWN odartego w Polsce z symboliki i należnych mu praw Orderu Wojennego

„Virtuti Militari”, który na obczyźnie przetrwał ze swoimi władzami (Kancelerzem i Kapitułą) aż do wznowienia w kraju w 1992 r. W latach 1919–1933 występował pod nazwą Order Wojskowy „Virtuti Militari”, w latach 1933–1992 – pod nazwą Order Wojenny „Virtuti Militari”, od 1992 r. nosi nazwę pisaną już bez cudzołostwu. W PRL Virtuti Militari było zupełnie innym odznaczeniem, namiastką prawdziwego, za to szczerą ręką rozdawanego m.in. sowieckim okupantom i funkcjonariuszom bezpieczeństwa za zwalczanie „wrogów Polski Ludowej”.

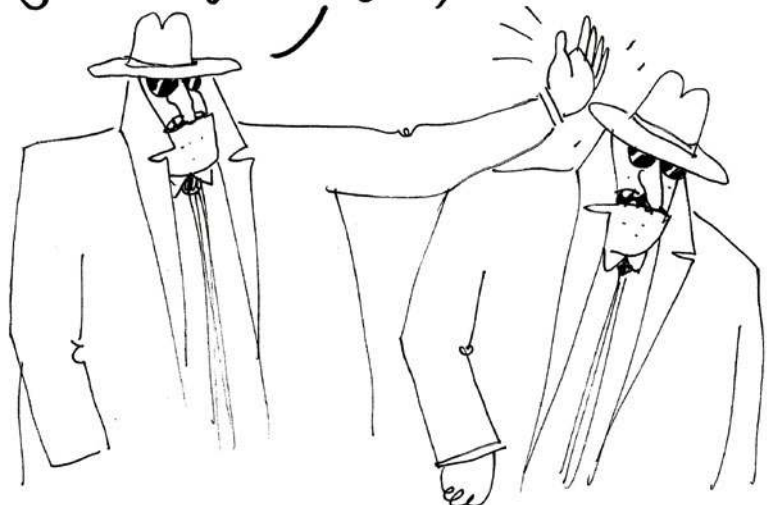
**Z wyrazami szacunku dla całej „Rzeczy” i serdecznymi pozdrowieniami
Tadeusz Jeziorowski**

Od Autora

Dziękuję bardzo za rzeczowe uwagi, z którymi się całkowicie zgadzam. Trudno jednak w krótkim felietonie wyjaśnić czytelnikom wszystkie zawiłości tego typu spraw. Rzecz jest do załatwienia stosowną ustawą sejmową i jej uzasadnieniem. Nie wiem, dlaczego nie zrobiono tego przez minione 35 lat.

**Z poważaniem
Leszek Żebrowski**

Cicho, głupi! To nie oni sfatyszowali wyboxy, tylko wysłany nie dofatyszowali



4 5 9 12 T O N D & e i n t e r u d u c i :

NA PIERWSZY OGIEŃ

Żegnaj, knedlikowy ekspresie



PIOTR SEMKA

lekość miałem zaplanowany wyjazd z Warszawy do Katowic, zawsze uważnie przeglądałem rozkład jazdy, by skorzystać z ekspresu „Varsovia” czeskich kolei, który woził pasażerów z Warszawy do Pragi, właśnie z przystankiem w stolicy Górnego Śląska. Skąd taka predylekcja do pociągów firmy České Dráhy? Otóż była okazja, by przez dwie i pół godziny trasy z Warszawy do Katowic, spędzając ten czas w czeskim wagonie restauracyjnym, poczuć się jak w którejś z czeskich knajp w Pradze, Ołomuńcu czy Brnie. To tu była do dostania słynna svičková, czyli pieczeń wołowa w kremowym sosie z sześcioma knedlikami bułczanymi i z porządną porcją żurawinowej konfitury. Na dodatek wszystko to można było zapijać jeszcze paroma kufelkami doskonałego czeskiego piwa. Mając w pamięci te sympatyczne chwile w czeskim odpowiedniku naszych wagonów Warsu – z pełnym zrozumieniem odniosłem się do ogłoszeń zawodu, które pojawiły się niedawno w Niemczech. Oto ogłoszono likwidację

pociągów z czeskimi wagonami restauracyjnymi typu WRmz815, które wycofano z linii Berlin – Praga. Okazało się, że są one zbyt ciężkie, aby uzyskać odpowiednią prędkość – 230 km/h – nowych pociągów na tej linii. Te nowe przypominają nasze Pendolino. Są produkowane w Niemczech i mają jedną wadę. To wagony restauracyjne typu bistro. Oznacza to, że wszyscy stoją przy stolikach. Dostać można głównie kanapki i batoniki, a jeśli już obsługa wagonu restauracyjnego jest bardzo zaawansowana pod względem oferty, to zaserwuje się nam dania barowe z kuchenki mikrofalowej. Czy to aż tak duża różnica? – zapyta ktoś. Oczywiście, że tak. W dawnych wagonach restauracyjnych były kuchenki gazowe, na których przygotowywane na bieżąco sznyce obtoczone w bułce tartej i jajku trafiały na patelnię. To właśnie dla tych sznyclu wielu Niemców uwielbiało pociąg, który nazywali „Knödelexpress” – knedlikowy ekspres.

Zastanawiałem się, dlaczego nie dało się przenieść zalet dawnych

„piwiarni na kółkach” do nowoczesnego składu typu ComfortJet. I myślę, że znalazłem odpowiedź. Pociągi ComfortJet zostały zaprojektowane przez Niemców z Siemens Mobility i Czechów ze Škoda Transportation, ale jest to projekt de facto niemiecki. A niemieccy konstruktorzy, inaczej niż Czesi, nie cenią walorów długiego siedzenia w knajpie, nawet jeśli jest to knajpa na kółkach. Pod wpływem awantur do trzech pociągów na linii Praga – Berlin „na razie” dołączane jeszcze będą stare wagony restauracyjne. Tyle że miłośnicy „Knödelexpress” już drżą, że za jakiś czas znikną one z rozkładu.

I właśnie na tym polegała kiedyś uroda kultur narodowych w unifikującej się Europie. Problem w tym, że na takie narodowe partykularyzmy jest coraz mniej miejsca.

Całe szczęście, że stare czeskie wagony WRmz815 na trasie Warszawa – Praga jeszcze jeżdżą. Ale coś mi mówi, że sterylne wagony w stylu „Bistro am Bord” kiedyś pewnie dotrą i do nas. A wtedy żegnajcie sznycelki prosto z patelni. ©

PODWYŻKA CEN ZA BADANIE TECHNICZNE

Ministerstwo Infrastruktury ogłosiło, że już od września obowiązywać będzie wyższa stawka za badanie techniczne. Dla samochodów osobowych jego cena wzrośnie z 98 zł do 149 zł. Podwyżki mają także objąć m.in. motocykle (cena wzrośnie z 62 zł do 94 zł), ciężarówki i auta z instalacją LPG. Urzędnicy tłumaczą, że to pierwsze podwyżki cen za badania techniczne od ponad dwóch dekad. (jap) ©



HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



POLACY I WĘGRZY NA WOJNIE Z BOLSZEWIĄ

Fundament wiktorii 1920 r. – Jak biedna, dopiero co odrodzona Polska wyposażyła milionową armię i jaką rolę odegrała w tym pomoc z Węgier

Czerwony sztandar nad Budapesztem – Przez kilka krwawych miesięcy 1919 r. Węgrzy na własnej skórze przekonali się, jak wyglądają bolszewickie „porządki”

Czarna noc papieżstwa – Wydawać by się mogło, że pod względem etycznym i moralnym Stolica Piotrowa najniżej upadła w epoce renesansu. Nic bardziej mylnego – w wiekach IX i X papieże bywali zepsuci w sposób wręcz karykaturalny

Ratunek przed rozbiorem – Aż do samego końca istnienia I Rzeczypospolitej dało się odwrócić upadek i uratować państwo – mówi w wywiadzie Jacek Komuda, historyk i pisarz, autor głośnej książki „Upadek”

Zaginiony świat Edo – Na przełomie wieków XVII i XVIII najludniejsze miasto ówczesnego świata wcale nie znajdowało się w obrębie cywilizacji zachodniej. Tym megalopolis było japońskie Edo, siedziba szogunów z rodu Tokugawa

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Przyszło nowe

O skandalu KPO będziemy mówić długo, bo sprawa jest bardzo rozwojowa. Wciąż przed nami wiedza o tym, jak pieniądze z europejskiego długu rozdysponowano między tzw. ludzi kultury, elity akademickie czy dilerów sprzętu medycznego – „branża HORECA” to dopiero początek. Poza tym mamy tu, mówiąc językiem fachowym, „niski próg percepcji”, łatwo rzecz zmieścić w jednym mecie. Kasa, luksusy, klasa panująca się pasie – każdy chwytą w lot.

Zacznijmy jednak od obserwacji, która wielu umknęła. Sprawa jachtów, solariów, jacuzzi i innych dóbr, którymi obdarowała władza koleśków i cwaniaków z funduszu mającego służyć „wspieraniu innowacyjności i konkurencyjności”,

to skandal zupełnie nowego typu. Skandal, którego nie ujawnił nikt konkretny. Nie było tym razem żadnego podsłuchu, „wycieku” tajemnic, konkretnego „whistleblowera”. Nie ma nawet komu tego przypisać, jak uczyniła to propaganda liberalnej lewicy w wypadku „listy Wildsteina” czy „aplikacji Mateckiego”. Nawet jeśli ktoś pierwszy wskazał na dostępność w necie danych o udzielonych dofinansowaniach, to rozdmuchało sprawę popolite ruszenie internautów.

Nazywam to „efektem Jożina z Bażin”. Ktoś pierwszy wrzucił coś bulwersującego albo „bekowego”, drugi sięgnął głębiej i znalazł coś „jeszcze bardziej” i wkrótce ministerialna strona stała się internetowym Klondike, gdzie kolejnych

skandalicznych wpisów szuka, kto żyw – a jej czasowe wyłączenie tylko zainteresowanie wzmogło.

W efekcie wypracowany latami mechanizm gaszenia afer, „kto za tym stoi, komu to służy” – robienie ze źródła informacji wariata, agenta Putina etc. – jest w tej sprawie o kant potłuc. Okrzyki, że to PiS, że przekazy z Nowogrodzkiej, a w ogóle to PiS blokował, a Tusk odblokował, spływają po rozwścieczonych internautach i odbiorcach innych mediów jak woda po naoliwionych kaloszach. A innego pomysłu na kryzysową komunikację Tusk nie ma. W efekcie władza przekonuje o swej niewinności samą siebie, bo do nikogo innego jej argumenty nie przemawiają. Nie może się to dla niej dobrze skończyć. ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Pan Tusk żartuje

Rząd w ramach KPO postanowił finansować również salony orgii seksualnych. Jak mówi ujawniony publicznie beneficjent: „Nie ma problemu, dotacja jest zamknięta i rozliczona, mogę pokazać wszystkie faktury”. Krótko mówiąc: państwo prawa i Our Values. A co z art. 18 Konstytucji, czyli ochroną Rzeczypospolitej wobec rodziny, macierzyństwa i rodzicielstwa? Donald Tusk po orędziu inauguracyjnym apel o praworządność za (przepraszam za cytat) „szyderstwa pana Nawrockiego”. Ja, niestety, uważam wszystkie wypowiedzi pana Tuska na temat Konstytucji nie tyle za popisy czarnego humoru (bo mi

nie do śmiechu), ile za demonstrację upiornego cynizmu.

Ktoś zapyta: „Czy warto zajmować się dotacją dla jednego salonu rozpusty?”. Dobrze pytanie, ale żeby na nie odpowiedzieć, należy rozważyć drugie. Do czego służą tzw. incydenty? Czasami do demagogii, jeśli są rozdmuchiwane. Ale nie to jest ich istotą, bo gdyby nie miały znaczenia – nie dałoby się ich rozdmuchać. W istocie każdy poważny incydent to sygnał alarmowy i test bezpieczeństwa. Sygnał, który ujawnia negatywne zjawiska społeczne, test tego, czy jesteśmy przed nimi chronieni.

Ze strony rządu nie słychać żadnych wyrazów skruchy, choć opozycja też niespecjalnie ekspozuje aferę swingerską. Najwidoczniej uznaje, że skandal zawiera niewielki potencjał oburzenia, a nie chce robić wrażenia „przewrażliwionej obyczajowo”.

I tak w warunkach narastającego kryzysu rodziny (czego echem jest katastrofa demograficzna) postępuje polityka systematycznej deprawacji. Unia domaga się polityki gay-friendly, więc rządzący prymusi Europy serwują nam politykę swing-friendly. Jeśli nie mieliby takiej intencji – to zareagowałiby na aferę swingerską jako na skandal. Ale dla rządu to żaden skandal, tylko normalny element rynku, pluralizmu i nowoczesnego społeczeństwa. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Most na Sycylię

Idea jest stara jak Cesarstwo Rzymskie. O moście marzyli Garibaldi, Mussolini, premierzy Craxi i Berlusconi. Budowa przeprawy weszła również do programu zwycięskiej w wyborach (2022) koalicji Giorgii Meloni. Po niecałych trzech latach tylko jeden mały krokczek – zatwierdzenie inwestycji przez Trybunał Obrachunkowy – dzieli nas od rozpoczęcia prac konstrukcyjnych.

Opracowany projekt zapiera dech. Gdy most stanie (ca 2032 r.), będzie cackiem inżynieryjnym, najdłuższym mostem wiszącym świata i nieuchronnie imponującym pomnikiem obecnego rządu. W tym właśnie szkopał. Włoska lewica wpadła w delirium. Do Mesyny na Sycylii, dokąd będzie prowadził

most, 9 sierpnia zjechali zawodowi kontestatorzy z całej Italii, dzielnie wspierani przez partyjny aktyw sił postępu i ponad 70 ad hoc powstałych organizacji pod hasłem „Nie dla mostu”. Podczas demonstracji argumentowali, że Bracia Włosi to spadkobiercy faszystów, partię Forza Italia stworzył arcymafioso Berlusconi, a szef Ligi i minister infrastruktury Salvini jest zagrożeniem dla całej ludzkości, więc inwestycja zakończy się katastrofą.

Przeciw budowie mostu protestowali też ekolodzy wszelkiej maści, a także, nie wiedzieć czemu, Narodowe Stowarzyszenie Partyzantów Włoskich i liczne organizacje popalestyńskie. Do Mesyny pofatygowali się również z Turynu (ponad tysiąc

kilometrów) przeciwnicy realizowanej budowy linii kolejowej Turyn – Lyon. Nie zabrakło pacyfistów. Twierdzą, że most będzie służył jedynie strategicznym celom NATO, a nie Sycylii i Kalabrii, więc trzeba projekt natychmiast zarzucić. Wszyscy grozili atakami na place budowy, sabotażem i dywersją. Od kilku miesięcy, dzięki nowej ustawie bezpieczeństwa, można za to natychmiast trafić za kratki. Kontestatorzy zapewniali, że więzienia się nie boją, tym bardziej że stoją za nimi wszystkie racje, szczególnie moralna.

Tak mniej więcej wygląda porażający portret stanu umysłów kompletnie zagubionej włoskiej opozycji. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

KANDYDAT CHAJZERA

Filip Chajzer, który znany jest ostatnio jako właściciel „kraftowego kebaba”, zaczął angażować się w politykę. Były prezenter TVN zadeklarował swoje poparcie dla Karola Nawrockiego, a także wyraził sympatię wobec polityka w dniu prezydenckiej inauguracji. Post, w którym Chajzer wyraził swoje poglądy, spotkał się ze sporą krytyką internautów. Wielu z nich nie może uwierzyć, że pełnoprawny celebryta poparł „pisowca”. Gwiazdor nie pozostawił krytyki bez reakcji. „Nie sądziłem, że da się w tak krótkim czasie wylać na kogoś tyle szamba, pomyj, nienawiści, obelg. Jestem człowiekiem, mam uczucia, jakąś tam wrażliwość, życie mnie parę razy przeorało, zawsze wstawałem. Wstanę



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

i teraz. Tylko ludzie – opamiętajcie się. Piszecie te świństwa do żywego człowieka” – zauważa Filip Chajzer. Dalej przypomina, że tak jak każdy ma prawo do poglądów politycznych. „Mam 40 lat, jestem przedsiębiorcą. Pracuję po kilkanaście godzin dziennie. Codziennie. Mam swoje marzenia, za sobą wielkie sukcesy i wielkie porażki. Walczę o piękne chwile, bo po co innego żyć. Przecież nie dla złych emocji. Pod tym względem serio nie różnimy się niczym. Tak samo jak Wy mam też paszport RP. Tak samo jak Wy mam prawo, ale też obywatelski obowiązek, do głosowania w wyborach prezydenckich. Napisałem

dzisiaj – »powodzenia Panie Prezydencie«. Nic negatywnego. Pozytywna myśl do człowieka, na którego głosowałem. Do czego mam prawo. Tak jak wy mieliście prawo mieć swojego kandydata. Jest mi szczerze cholernie przykro, czytając to” – podkreśla.

KAŻDY CWANY?

Obok anonimowych internautów wyznanie „właściciela kebaba” nie spodobało się innemu celebrycie, Piotrowi Gąsowskiemu. Aktor powątpiewa w szczerść intencji Chajzera. Zastanawia się, dlaczego o swoich przekonaniach opowiedział dopiero, gdy Nawrocki wygrał. „Wybacz jednak, iż w twoich ostatnich powyborczych wpisach, w twoim tak nagle mocno deklaratywnym, transparentnym i głośnym entuzjazmie, nie czuję jakiejś szczególnej prawdy. Dlaczego dopiero teraz? Dlaczego dopiero po drugiej turze wyborów? W tej sytuacji taka twoja odwaga już odwagą nie jest” – ocenia „Gąs”. Zasugetował, że Chajzer obrał strategię, która ma mu pomóc w rozwinięciu jego biznesu. „Chyba że jest to rodzaj reklamy twojego nowego, kebabowego biznesu [...]. Jeśli tak, to marketingowy strzał w dziesiątkę! Po takiej twojej deklaracji wszystkie stadiony w Polsce będą stały w kolejce po twoje gastronomiczne usługi” – podsumował kąśliwie. A może nie warto mierzyć wszystkich swoją miarą? Taka refleksja.

SAMOZWAŃCZA DORADCZYNI

Skoro o nowym prezydencie. Pisarka Blanka Lipińska ma kilka rad dla pierwszej damy. „Proszę też sobie dobrać naprawdę dobrych stylistów, dobrych fryzjerów, świetnych makijażystów. My w tym kraju mamy naprawdę wybitnych specjalistów w tej dziedzinie” – wskazuje. „Czeka panią naprawdę ciężka ocena, z którą my się borykamy na co dzień. A pani zacznie, już się zaczęła z nią borykać, będzie jeszcze bardziej. Proszę sobie to po prostu ułatwić [...]. Liczymy

na panią i cóż, życzę powodzenia” – dodała Blanka. Na czym, jak na czym, ale na dobrym stylu to się Lipińska zna. Odsyłała do nowych zdjęć.

W GORSZYM SMAKU

Afera o wydatkowanie środków z Krajowego Planu Odbudowy nie omija także naszych milusińskich. Dziennikarz WP Patryk Słowik poinformował, że restauracji Magdy Gessler U Fukiera zostało przyznane ponad 470 tys. zł. „O, spółka Magdy Gessler też »wygrała« pół miliona zł na oferowanie cateringu w warszawskiej restauracji U Fukiera. Super, super” – napisał w serwisie X. Gwiazda TVN opublikowała obszerne oświadczenie. Gessler broni się, wskazując, że złożyła wniosek z myślą o ratowaniu biznesu. Zdecydowała się na działalność wysyłkową i cateringową. „Nie dostałam na Fukiera ani złotówki. W czasie COVID restauracja U Fukiera według zarządzeń rządu i ówczesnie panujących zasad musiała być zamknięta. Obowiązywały nas OGROMNE koszty utrzymania restauracji – wypłaty dla pracowników, czynsz najmu itd. A co najważniejsze – mimo to NIE zwolniliśmy ani jednego pracownika! Dostosowaliśmy się pokornie do panujących wówczas restrykcyjnych norm. Było bardzo ciężko, ale po 30 latach nie chcieliśmy stracić Fukiera, gdzie pracowało ponad 30 osób! W związku z tym, nie mogąc prowadzić restauracji, postawiliśmy na rozwój dodatkowej działalności, jedynej możliwej w tym czasie – działalności wysyłkowej i cateringowej” – czytamy. Magda Gessler podkreśla, że środki z KPO to refundacja już poniesionych przez biznesy kosztów inwestycji. Zapewnia, że w jej przypadku jeszcze tego nie zrobiono. „Do dzisiaj restauracja U Fukiera nie rozliczyła jeszcze nawet 1 złotówki z KPO, mimo znacznych poniesionych kosztów. Szkoda, że zostałam wciągnięta w oko politycznego cyklonu, mimo że w żaden sposób nie naruszyłam prawa” – podkreśla. Prawa – nie. Dobrego smaku? Być może. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, to już prawie dwa tygodnie krwawych rządów Karola Nawrockiego. Nie wiemy, jak wy, ale my odczuwamy naprawdę gigantyczną presję związaną z naszą fizycznością, piłką nożną, ćwiczeniami kalenistycznymi, łowieniem okoni gołymi rękami, polowaniem na niedźwiedzie przy pomocy otwieracza do piwa czy też zaleganiem z płatnością alimentów. Czyli chodzi o to wszystko, co zwyczajowo robią mężczyźni w tym kraju. Zapytacie: Dlaczego? Ano dlatego, iż nowy prezydent np. parady w podkoszulku odstawiającym biceps, chętnie pokazuje się na meczach, a jak gromko powiedział w dniu swojej inauguracji: „Czołem, żołnierze”, to odruchowo schowaliśmy się pod stolik w sali konferencyjnej i happiness manager musiał się naprawdę natrudzić, iżby zachęcić nas do wyjścia.

Czujemy się otoczeni kultem męskości, takim najbardziej toksycznym maskulinizmem, który nie dość, że sprawia, iż czujemy się obywatelami drugiej kategorii we własnym kraju, to jeszcze wywiera na nas poczucie psychologicznego nacisku, iżbyśmy się realizowali w taki sam sposób. No i koniec końców poszliśmy na mecz piłkarski, ale nie pobyliśmy

tam długo. Kiedy zobaczyliśmy, iż oba zespoły są wyprowadzane na boisko przez sędziego, zapytaliśmy uprzejmie siedzącego obok nas młodego archetypicznego samca w koszulce z napisem: „PDW BRACI SIĘ NIE TRACI, A JAK TRACI, TO NIE BRACI”, czy to na pewno nie są neosędziowie i mogą legalnie wydawać wyroki na boisku, a także iż chcemy się upewnić, czy piłka kopana

ki albo przysiadu. Of kors nie chcemy tego robić, nie myślcie sobie, ale na tym etapie oszołomienia i przytłoczenia nie stać nas chyba jeszcze na obywatelski sprzeciw.

Pewnie zastanawiacie się, co myślimy o aferze związanej z KPO. Otóż my nie musimy nic myśleć, bo my wiemy, o co chodziło dzięki stejtmentowi pana Premiera. Jest to ewidentnie wina PiS, który blokował, utrudniał, knuł i zwodził.

Potem rząd musiał robić na szybko i się okazało, iż może pewne niedociągnięcia są. No ale kto robi teraz szybko i dobrze? My tam pretensji nie mamy do rządu, do przedsiębiorców też nie do końca, iż jak dawali, to brali, trudno się dziwić. Nawet nie kłóci się to z naszą lewicową wrażliwością, iż uważamy pomoc publiczną za ważną i konieczną – byleby nie trafiała do patologii, która je wyda np. na dzieci, alkohol albo papierosy – jak „800+”.

Dlatego nie ekscytujemy się aferą. Premier zapowiedział, że będzie załatwione, a jeśli Premier coś zapowiada, to zapowiada i nie mamy powodu, aby mu nie wierzyć, iż zapowiada. Będzie dobrze. ©©



przez piłkarzy na pewno jest wegańska. W odpowiedzi poczuliśmy na sobie wzrok sugerujący, iż nie powinno nas tu być, więc raczej szybko opuściliśmy stadion – zwłaszcza że nie mieli wegańskiego cateringu, tylko kiełbasę z grilla serwowaną z białym pieczywem, zgroza. Wobec tego spróbujemy od jutra potrenować pompki, może jakieś pajacy-

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Tusk to Niemiec

Jarek, jest taka sprawa...
No, słucham cię, Mateusz. Co się tak spocił?

A nic, gorąco jest. Bo ja z tego KPO to też wziąłem. Na łódce.
Dużą?

Nie, małą taką...
Jakies 25 metrów tylko.
Na ile osób?

Oj tam, może raptem z 10 wejdzie.
No, góra 15.

Po ci to?

No wiesz, dawali, to wziąłem. Ale jak ktoś się dowie?
Mam cię podstaw uczyć?
Standard: mówisz, że Tusk to Niemiec i że napisał, że polskość to nienormalność.
Elementarz. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ile kibolsko-gangsterskich trupów wypadnie jeszcze z szafy Karola Nawrockiego?”

BARTOSZ T. WIELIŃSKI, zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”, na X

Skoro już zaprzysięgnięto nowego prezydenta i jego skompletowana kancelaria działa oficjalnie, to można na spokojnie pogrzebać w korzeniach rozmaitych decyzji. Na przykład jak to było z rezygnacją z Przemysława Czarnka, typowanego na szefa Kancelarii Prezydenta Karola Tadeusza. Otóż Karol (wtedy jeszcze Karol) w sumie to chciał Czarnka. Tymczasem szeregowy poseł Jarosław Kaczyński miał inne plany, ale nie mógł oficjalnie z nimi wyskoczyć. Jak mówią wiewiórki, doszło do luźnej rozmowy Jarosława z Karolem, w której trakcie Jarosław rzucił lekko: „No, to teraz będzie dwóch samców alfa w pałacu”. Karol uśmiechał się szeroko. Jednak szybko rozmyślił się w sprawie zatrudnienia Czarnka.

Jeszcze w kwestii nowej Kancelarii Prezydenckiej. To nie do końca prawda, że jest kompletnie skompletowana. Do kompletu brakuje bowiem doradców. I tu ciekawostka: w PiS niektórzy bardzo się burzą, że doradcą prezydenta Karola Tadeusza ma zostać Jacek Saryusz-Wolski. Nie wszyscy bowiem uważają, by pracą dla dobrej zmiany odkupił winy z przeszłości, takie jak PZPR i PO. Może to i pretekst, ale zwracamy uwagę, że w PiS istnieje grono osobników marzących o tym, żeby poszargać trochę nowego prezydenta. Sukces budzi zawiść, jak wiadomo...

Tymczasem w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Sławomir Cenckiewicz i jego ekipa urzędowanie zaczęli z przytupem – od zażądania wszystkich akt personalnych wszelkich zatrudnionych tam pracowników. Strach błady padł na niektórych, a zwłaszcza tych, którzy przechowali się

W Biurze Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz i jego ekipa urzędowanie zaczęli z przytupem – od zażądania wszystkich akt personalnych wszelkich zatrudnionych tam pracowników. Strach błady padł na niektórych

niezauważeni od czasów Kozieja. Jakby kto nie pamiętał, to ten, na którego Broniek w Japonii pokrzykiwał: „Chodź, szogunie!”. Przerażenie jest tym większe, że – jak mówią sami BBN-owcy – na

czym jak na czym, ale na czytaniu teczek to Sławek się zna. Potwierdzamy.

Przypomina nam to sytuację, kiedy to Broniek Wildstein przed laty wchodził w charakterze nowego prezesa do TVP. Któryś z dziennikarzy spytał wówczas: „Panie prezesie, mówią, że po pańskich zmianach to tylko sprzątaczkki zostaną”. Na co Wildstein odparł: „A kto mówi, że sprzątaczkki zostaną?”. Gwoli ścisłości dodajmy, że był prezesem zbyt krótko, by rozprawić się ze sprzątaczkkami.

W związku z awansem czwórki posłów do Kancelarii Prezydenta Karola Tadeusza zwolniły się miejsca w Sejmie. Trzymamy kciuki za to, by Tomasz Rzymkowski zdecydował się wziąć mandat, gdyż nie dość, że pracowity, to jeszcze posiada mózg i wie, jak go używać. Nie macie pojęcia, jaka to rzadkość na Wiejskiej.

Wracamy do poprzedniej obsady kancelarii prezydenckiej, czyli do czasów Andrzeja Dudy. W ubiegłym tygodniu furorę zrobił tekst Marcina Kędryny, który ujawnił kulisy swojej scysji z Marcinem Mastalerkiem, który miał go nie tylko znieważać słowami uznanymi powszechnie za obelżywe, lecz także niemal dopuścić się rękoczynów. Odezwały się do nas

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT KARZIŃSKI

wiewiórki, które nie tylko potwierdziły historię, lecz także dodały, że nie był to odosobniony wypadek, bo Mastalerek był bardzo wyrwany.

A teraz to my zdradzimy historię, której dotąd nie ujawnialiśmy. Otóż jeden z byłych dyrektorów biur Kancelarii Prezydenta miał zwyczaj wyrwać laski na swoją funkcję. Długo miejsca nie zagrzał, kiedy okazało się, że nie tylko sprowadza sobie laski wyhaczone na Tinderze do hotelu przy ul. Flory – który jest takim rodzajem akademika, gdzie rezydują prezydenci ministrowie – lecz także dodatkowo rozwijając pawie ogony, dawał co urodziwsze osobiście oprowadzał po zakamarkach Pałacu Prezydenckiego. Nie powiemy, że wyleciał z hukiem, bo sprawę załatwiono po cichu.

Tymczasem od chwili zaprzysiężenia prezydenta Karola Tadeusza w środowiskach asesorów oraz sędziów aspirujących do awansów zaczęło się wielkie czyszczenie mediów społecznościowych. Związane jest to z zapowiedziami, że ludzie prezydenta będą się bacznie przyglądać kandydatom na sędziów. Usuwane są więc wszystkie posty z Facebooków i Instagramów, w których adepci prawa czy sędziowie zamieszczali swoje wpisy z poparciem dla rozmaitych Żurków, Tulejów i Gąciarków. Ale nie tylko. Kasowane są też symbole ośmiu gwiazdek i błyskawic. Rzecz w tym, że marzący o stanowiskach sędziowskich na wypadek odmowy nominacji ze strony prezydenta nie mają się gdzie odwołać, bo to wyłączna prerogatywa prezydenta.

Problem polega na tym, że z netu nie da się usunąć decyzji, które podejmowali jako asesorzy czy sędziowie. Możemy więc ujawnić – żaden z sędziów czy asesorów, który klepał decyzje związane z przejściem TVP czy prokuratury oraz innych instytucji, przez najbliższe pięć lat szans na uznanie w oczach prezydenta mieć nie będzie. My jednak nie byłibyśmy aż tak ostrzy – jeśli wyraziliby czynny żal i wskazali, kto ich zmuszał do decyzji łamiących prawo, to prezydent powinien okazać litość.

Apropos Żurka. Niektórych bardzo oburzył wywiad nowego ministra sprawiedliwości dla „GazWyb”, w którym wyznał, że jest zwolennikiem demokracji walczącej oraz robienia rozmaitych krzywd w imię naprawy innych krzywd i zaprowadzania większego dobra. Uważamy bowiem, że i tak jest to spory postęp w obozie lewicowym. Wszak premier Cyrankiewicz groził, że „każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewien, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie”. A Żurek tylko chce zrośnięte ręce łamać.

Bardzo ucieszyła nas wiadomość o licznych wypłatach środków z KPO krewnym i znajomym króliku z PeŁo. Zawsze chcieliśmy się dowiedzieć po nazwiskach, co to za osobniki. A teraz wystarczy zajrzeć na listę i już – wszystko jasne. Nie tylko my zaglądamy. Także ludzie, którzy są bardziej pamiętliwi. I którzy, w odróżnieniu od nas, coś tam kiedyś będą mogli.

Uważamy, że specjalną dotację z KPO należy przyznać ministrowi Żurkowi.

Cel – hodowla krokodyli. Kto wie, może gdyby odpowiednio wcześniej dostał te pół bańki, udałoby się uniknąć tragedii?

Jeszcze bardziej ucieszyła nas decyzja wymuszona na minister Pełczyńskiej-Nałęcz, żeby wszystkie wypłaty z KPO wstrzymać. To taka, widzicie, kwintesencja rządów Platformy. Najpierw hurtem dajemy, nie patrząc, czy aby nie złodziejom. Potem hurtem wstrzymujemy, nie patrząc, czy aby nie uczciwym.

Dla urzędników z ministerstwa sprawdzających teraz, które wnioski o kasę z KPO są hm... wątpliwe, mamy bardzo ważną podpowiedź, która ułatwi wam robotę. Zamiast ślęczeć nad

każdym wnioskiem i analizować osobno, po prostu porównajcie listę autorów wniosków z listą wpłat na fundusz wyborczy PeŁo. Te nazwiska, które znajdują się na obu listach, to dokładnie ci, których szukacie. Pytanie: W jakim celu szukacie, no i czy odważyście się potem to głośno powiedzieć?

Nam generalnie bardzo podoba się szeroki wachlarz usług, na które poszła kasa z niby-KPO (niby, bo jeszcze Unia żadnej kasy nie przelała, więc forsą idzie z naszych podatków). Na przykład klub swingersów. Niby skandal, a sami pomyślcie: teraz patrioci bogatsi o wiedzę, które kluby swingersów są finansowane przez UE, będą mogli je omijać. I odwiedzać tylko takie, które są nasze, swojskie, finansowane wyłącznie z rodzimego kapitału.

Uważamy też, że specjalną dotację z KPO należy przyznać ministrowi Żurkowi. Cel – hodowla krokodyli. Kto wie, może gdyby odpowiednio wcześniej dostał te pół bańki, udałoby się uniknąć tragedii? Przemyślenia te sprawiły, że przypomniał nam się telewizyjny występ Żurka, w którym w odpowiedzi na słowa prezydenta Karola Tadeusza „sędziowie nie są bogami” cytował Paktofonikę: „Jestem Bogiem, uświadom to sobie”. Otóż przypuszczamy, że wątpimy. Gdyby Żurek był Bogiem, to już dawno wskrzesiłby tego krokodyla.

W natłoku informacji prezydenckich nie zdążyliśmy odnotować w naszej wpływowej rubryce awantury w Miasteczku Wilanów, którego mieszkańcy protestują przeciwko otwarciu na dzielnicy sklepu sieci Dino. Uważają ją bowiem za sieć dla biedoty, która zanęci na dzielnicy nieodpowiednie towarzystwo. Chcieliśmy zauważyć, że to już druga odsłona walki o zachowanie elitarnego charakteru Miasteczka Wilanów. Poprzednia miała miejsce kilka lat temu, gdy wilanowskie lemingi protestowały przeciw deweloperom budującym tam zbyt małe mieszkania. Małe mieszkania kupowane są bowiem przez biednych ludzi, którzy swoimi małymi portfelami psują innym komfort życia. W sumie chyba nie musimy tego wszystkiego komentować. ©©

Kardynał Ryś rzuca wyzwanie Episkopatowi



Piotr Semka

Jak metropolita łódzki stał się wielką nadzieją mediów liberalnych w Polsce?



Kardynał Ryś uratował honor Kościoła”, „W Episkopacie przegrała Ewangelia”, „Polscy kardynałowie młodszego pokolenia jasno pokazali, że chrześcijaństwa nie da się pogodzić z antyimigracyjnym populizmem” – takie tytuły od prawie miesiąca biją w oczy na czołówkach liberalnych mediów. W roli pozytywnych bohaterów: kard. Grzegorz Ryś, kard. Konrad Krajewski i prymas Wojciech Polak. Niekiedy dobrze oceniani są też metropolita wrocławski abp Józef Kupny i delegat KEP do spraw Imigracji – bp Krzysztof Zadarko.

Jednak najczęściej komplementowany jest metropolita łódzki Grzegorz Ryś. Bo to on właśnie, w opinii wielu publicystów mediów sprzyjających modernizacji Kościoła, jest dzisiaj kimś, kto rzucił wyzwanie reszcie Episkopatu Polski. 23 lipca 2025 r. w kościołach archidiecezji łódzkiej księża zostali zobowiązani do odczytania specjalnego listu pasterskiego abp. Rysia. Ten nadzwyczajny sposób komunikacji z wiernymi wódarz diecezji łódzkiej ubrał w formę odpowiedzi na „ważne pytania, które szczególnie w ostatnich tygodniach »wiszą w powietrzu« i których nie wolno zostawić bez odpowiedzi”.

Arcybiskup Ryś subtelnie, choć wyraźnie zaznaczył, że nie prezentuje wyłącznie swoich poglądów, lecz także reprezentuje wręcz ex cathedra nauczanie Kościoła. Napisał: „Nie chodzi przy tym o naszą, lecz o Bożą odpowiedź! A myślę, że możemy ją wyczytać także ze Słowa dzisiejszej Liturgii”.

Kontekstem listu były dwie wypowiedzi, które padły krótko przed jego powstaniem. Chodziło o homilię biskupa seniora częstochowskiego Antoniego Długosza na Mszy 11 lipca, którą zamówili na Jasnej Górze aktywiści Ruchu Obrony Granic, oraz homilię biskupa emeryta Wiesława Meringa 13 lipca br. podczas pielgrzymki Radia Maryja. W pierwszym kazaniu bp Długosz ostrzegł przed konsekwencjami niekontrolowanej migracji w Polsce, natomiast w homilii bp. Meringa padły bardzo ostre słowa na temat ekipy Donalda Tuska, przyrównanej do gangsterów, i w kontekście relacji z sąsiadem z Zachodu przywołano stare powiedzenie: „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”.

FOT. MARIAN TUBIŁA/STYKA

W odpowiedzi, w swym liście, abp Ryś poruszył dwie kwestie. Jak napisał: „Pierwsza – spór o uchodźców i imigrantów [...]. Hejt, strach przed »obcym«, stereotypy, nienawiść stają się argumentem ważniejszym niż racje ludzkie i ewangeliczne. Tymczasem katolicka nauka społeczna (na którą tak wielu się powołuje...) wyraźnie stwierdza, że KAŻDY CZŁOWIEK ma prawo wybrać sobie miejsce do życia; i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze”.

Drugą kwestią, którą porusza list, była zmiana na stanowisku szefa planowanej już od dwóch lat komisji mającej zbadać

Fragment odnoszący się do zmian będących decyzją biskupów w odniesieniu do komisji ogólnopolskiej abp Ryś napisał w sposób bardzo dwuznaczny. Nie zdobywa się na ocenę zmiany prymasa Wojciecha Polaka na bp. Sławomira Odera, lecz przytacza głosy „zaniepokojenia, zawodu czy wręcz protestu”. Na zasadzie przemilczenia pośrednio demonstruje, że zgadza się z tymi wątpliwościami.

Stoi to w sprzeczności z deklarowaną niedługo potem opinią, że powołanie własnej komisji w żadnym wypadku nie stanowi znaku sprzeciwu wobec ostatnich decyzji Episkopatu. Część publicystów próbowała złagodzić nasuwający się

opinię kogoś, kto ma wpływ na obsadzenie nowych polskich stolic biskupich. Na dodatek metropolita łódzki otoczony był opinią hierarchy, który ma szanse objąć wysokie stanowisko w Watykanie.

Jeśli abp Ryś skupiał na sobie tak wiele nadziei zwolenników Kościoła otwartego, to także dlatego, że jawi się jako o wiele silniejsza psychicznie postać niż prymas Polak, który ma opinię hierarchy chwiejnego i mało ofensywnego.

Jeden z księży, którzy dobrze znają polską hierarchię, tak charakteryzuje metropolitę łódzkiego: „To mocny zawodnik, lecz także porusza się po terenie kościelnym ostrożnie, powiedziałbym nawet z pewną gracją. Nie wywołuje awantur z byle powodu, ale wtedy, gdy jest przekonany, że trzeba działać – potrafi bardzo dobitnie przedstawić swoje stanowisko”. Te słowa doskonale pasują do bardzo przemyślanej treści listu abp. Rysia. Listu, który przez wielu publicystów został uznany za swoiste wotum nieufności wobec reszty Episkopatu.

Ten styl działania wywołuje bardzo złe reakcje wśród reszty biskupów. Jeden z księży, który uważnie śledzi równowagę sił w Episkopacie, definiuje ten sposób myślenia liberalnych hierarchów tak: „Albo będzie po naszymu i wtedy gotowi jesteśmy na zachowanie pozorów zgody, albo idziemy na zwarecie. W liście abp. Rysia nie zabrakło oczywiście zastrzeżenia, że nie należy traktować powołania łódzkiej komisji jako wyrazu opozycji do Episkopatu, lecz także każdy, kto zna relacje między metropolitą łódzkim a resztą biskupów, wie, że w istocie dokładnie tak jest”.

PRZECIĄGANIE LINY

W historii polskiego Kościoła po 1989 r. problem liberalnych liderów zmian, którzy musieli jakoś współżyć z o wiele bardziej konserwatywną większością Episkopatu, pojawiał się stosunkowo często. Zawsze jednak kultura wychowania kapłańskiego, a także po części instynkt samozachowawczy skłaniały obie strony, aby utrzymywać retorykę jedności, mimo bolesnych kuksańców i niekiedy kopania po kostkach. Tak było w relacjach między sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu bp. Tadeuszem Pieronkiem a resztą Episkopatu w latach 1993–1998.

Jeśli abp Ryś skupiał na sobie tak wiele nadziei zwolenników Kościoła otwartego, to także dlatego, że jawi się jako o wiele silniejsza psychicznie postać niż prymas Polak, który ma opinię hierarchy chwiejnego i mało ofensywnego

zjawisko wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce. W liście czytamy: „Wicie też, że na czwarcym posiedzeniu Konferencji Biskupów – prace w dotychczasowym kształcie zostały zatrzymane, i powierzone biskupowi Sławomirowi Oderowi – dla ich ewaluacji i – zapewne przemodelowania. Wielu z Was o to pyta; wielu wyraża zaniepokojenie i zawód, wręcz protest. Po długiej refleksji, modlitwie i po licznych konsultacjach postanowiłem powołać do życia taką komisję – do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich – dla obszaru wyłącznie naszej archidiecezji. Będzie to komisja prawdziwie niezależna – prowadzona przez ekspertów (prawników, historyków, psychologów), którzy zarówno doborą sobie samodzielnie współpracowników, jak i wypracują reguły działania [...]. Mam głęboką nadzieję, że prace tej komisji ruszą na jesieni. Nie jest to w żadnym wypadku »znak sprzeciwu« wobec ostatnich decyzji Episkopatu: gdy zostanie powołana do życia Komisja ogólnopolska, komisja „łódzka” włączy się z pełnym zaangażowaniem w jej prace. Myślę jednak, że naszą część pracy możemy zacząć już teraz. A nawet POWINNIŚMY”.

w oczywisty sposób kontekst demonstracji przeciwko reszcie Episkopatu poprzez wskazywanie, że istnieje już jedna komisja diecezjalna mająca zająć się przypadkami molestowania. Chodzi o diecezję sosnowiecką, w której podobne ciało powołał tamtejszy bp Artur Ważny. Jednak porównanie jest chybione. Komisja biskupa Ważnego powstała w reakcji na całą sekwencję skandalicznych ekscesów obyczajowych, podczas których doszło nawet do dwóch wypadków śmierci. Było to więc działanie, które w pierwszej mierze miało odnieść się do zbadania skali zdeprawowania miejscowego kleru, a nie jako przy okazji zająć się ewentualnymi zgłoszeniami molestowania seksualnego w przeszłości.

Arcybiskup Ryś z racji tytułu kardynalskiego uważany był za hierarchę znajdującego się w specyficznej sytuacji. Z jednej strony, komplementowany był przez media liberalne jako wzorcowy przedstawiciel – obok abp. Wojciecha Polaka – linii Franciszka w Kościele polskim, z drugiej strony – swoimi bardzo modernistycznymi wypowiedziami odstawał od średniej polskiego Episkopatu. Na dodatek dzięki przyznanej mu przez papieża Franciszka nominacji na członka watykańskiej Dykasterii do spraw Biskupów zyskał

W 1992 r. ówczesny ksiądz Pieronek został zastępcą wcześniejszego sekretarza Episkopatu, sędziwego bp. Bronisława Dąbrowskiego. Ponieważ bp Dąbrowski z racji wieku powoli wycofywał się z tak wymagających funkcji, dobrze notowany w Stolicy Apostolskiej w otoczeniu papieża Jana Pawła II Pieronek został w 1993 r. sekretarzem KEP. Dość specyficznym rysem jego posługi było to, że pełnił on jednocześnie dosyć poślednią funkcję biskupa pomocniczego diecezji sosnowieckiej – świeżej jednostki terytorialnej Kościoła, powołanej w ramach reformy organizacji kościelnej zarządzanej z Rzymu w 1992 r.

Biskup Pieronek całkowicie zmodernizował sposób pełnienia funkcji. O ile jego poprzednik, bp Dąbrowski, unikał przyjmowania zaproszeń do telewizji, rzadko udzielał wywiadów, a jego wypowiedzi były ściśle urzędowe lub dyplomatyczne, o tyle nowy sekretarz KEP wręcz nie wychodził z programu Moniki Olejnik, był zawsze do dyspozycji dziennikarzy i miał w sobie wiele z medialnego showmana. Słynne były jego publiczne debaty z Adamem Michnikiem, które konserwatywna część biskupów oceniała jako duet dwóch postaci w minikręgu wzajemnej adoracji. Tyle że jeżeli Michnik łączył dialogowanie na pokaz z Pieronkiem z agresywnym promowaniem w swoim dzienniku np. aborcji na życzenie, Pieronek dawał się sprowadzić do defensywy i w mniej lub bardziej udany sposób bronił stanowiska Kościoła, jednocześnie dystansując się wyraźnie od politycznej prawicy. Pieronek wręcz demonstrował, że chce, aby partie konserwatywne wybiły sobie z głowy, że w jakimkolwiek stopniu są wspierane przez Kościół. Gdy w 1993 r. Katolicki Komitet Wyborczy nie wszedł do Sejmu, to proszony o skomentowanie tego faktu bp Pieronek odpowiedział zjadliwie: „Trzeba było się lepiej starać”.

Zaszły więc równoległe dwa procesy. Pieronek bardzo unowocześnił praktykę relacji z mediami, a jednocześnie jego polityka medialna reprezentowała jedynie liberalne skrzydło Episkopatu, do którego zaliczano w tamtych czasach takich hierarchów jak abp Józef Życiński czy abp Tadeusz Gocłowski. Biskupi konserwatywni definiowali to w rozmowach między sobą w bardzo brutalny

sposób. Jeden z arcybiskupów gorzko spuentował tę sytuację w kuluarowej wypowiedzi tak: „Za sprawą bp. Pieronka liberalny ogon macha w większości konserwatywnym Episkopatem”.

Ale tak wyraziste opinie możliwe były tylko w rozmowach nieformalnych. Biskupi konserwatywni nigdy nie pozwoliliby sobie na wypowiedzianie takich słów publicznie. Jednak cierpliwość hierarchów miała swoje granice. Kiedy w 1998 r. zakończyła się pierwsza pięcioletnia kadencja bp. Pieronka, w nowym głosowaniu jego kandydatura zdecydowanie przepadła. Biskupa pomocniczego diecezji sosnowieckiej zastąpił biskup płocki Piotr Libera – „kandydat środka”.

Kolejna próba sił nastąpiła w 2004 r., gdy prymas Józef Glemp zakończył drugą kadencję na stanowisku przewodniczącego Episkopatu. Publicyści Kościoła otwartego nie kryli, że nowym szefem Episkopatu powinien zostać arcybiskup lubelski Józef Życiński lub arcybiskup gdański Tadeusz Gocłowski. Stało się inaczej. Większość głosów uzyskał dość konserwatywny metropolita przemyski abp Józef Michalik. Biskup Pieronek nie potrafił ukryć emocji i skomentował ten wybór słowami: „Miało wyjść słońce, wyszedł księżyc”.

Medialny obóz liberalny zareagował na wybór abp. Michalika oburzeniem. Wieszczone klęskę Kościoła, jego zamknięcie się i nie po raz pierwszy, jak się później okazało, przewidywano szybki odpływ wiernych ze świątyń. Metropolita przemyski nie wrócił już do wyniosłego stylu bp. Dąbrowskiego. Był otwarty na media, choć jako konserwatysta nie mógł liczyć na taryfę ulgową. Z tego powodu zdarzały mu się wpadki medialne – jak wtedy, gdy w wypowiedzi dla dziennikarzy zasugerował, że w niektórych wypadkach przypadki molestowania są częściowo winą osób małoletnich.

Po Michaliku kolejnym przewodniczącym Episkopatu został w latach 2014–2024 arcybiskup poznański Stanisław Gądecki. Stanowiska sekretarza Episkopatu straciło kluczowe znaczenie. Ataki medialne zwolenników zmian nasiliły się w trakcie jego drugiej pięcioletniej kadencji. Zastępcą abp. Gądeckiego był arcybiskup krakowski Marek Jędraszewski. Duet ten był przedstawiany w mediach liberalnych jako zguba dla Kościoła.

Jednak ataki te o tyle nie były dotkliwe dla duetu Gądecki-Jędraszewski, o ile obaj, z racji swoich wysokich kwalifikacji biskupich i poziomu intelektualnego, mieli nie tylko za czasów papieża Benedykta, lecz także papieża Franciszka bardzo mocną pozycję w Watykanie.

Obóz katolików Kościoła otwartego w tej sytuacji skupił swe nadzieje na dwóch hierarchach. Na powołanym w 2014 r. na stanowisko arcybiskupa gnieźnieńskiego Wojciechu Polaku (któremu z racji objęcia Gniezna przysługiwał zwyczajowo tytuł prymasowski) oraz arcybiskupie metropolii łódzkiej Grzegorzem Rysiem, który objął swoje stanowisko w 2017 r. W 2023 r. abp Ryś otrzymał tytuł kardynała, co dodatkowo wzmocniło jego pozycję. Dlatego po końcu kadencji abp. Gądeckiego wielu publicystom liberalnym wydawało się, że najwyższy czas na to, aby sekretarzem Episkopatu został albo abp Grzegorz Ryś, albo prymas Wojciech Polak. Na korzyść tego ostatniego zdawał się też działać fakt, że w latach 2011–2014 abp Polak pełnił już funkcję sekretarza generalnego KEP.

Tyle że większość biskupów znów nie kierowała się „właściwymi kandydaturami” suflowanymi z kręgów „Więzi” czy „Gazety Wyborczej”. Prymas Polak roztrwoniał swój prestiż licznymi, bardzo emocjonalnymi wywiadami, w których tworzył wrażenie, jakby bardzo dbał o to, aby podobać się liberalnym mediom. Słynny był jego wywiad w „Tygodniku Powszechnym”, w którym w niezwykle emocjonalny sposób groził ekskomuniką każdemu księdzu, który weźmie udział w antyimigranckiej demonstracji. Takich sytuacji dotąd nie było poza tak ekstremalnymi przypadkami, jak np. zbuntowanego kapłana Jacka Międlara. Wyglądało to więc jak niewolnicze zginanie karku przed rygorami political correctness.

Ostatecznie nowym przewodniczącym Episkopatu został abp Tadeusz Wojda, jego zastępcą – metropolita wrocławski Józef Kupny, a sekretarzem – łódzki biskup pomocniczy Marek Marczak, sytuowany wśród biskupów konserwatywnych (mimo podległości abp. Rysiowi).

W odpowiedzi na to Tomasz Terlikowski nie krył, że niewybranie abp. Polaka uważa za skandal. Na łamach „Newsweeka” Terlikowski grzmiał:

„Episkopat wybrał liderów. Świetny pomysł na tragedię”.

OSTATECZNE STARCIE

Rozczarowanie obozu liberalnego po porażce prymasa Wojciecha Polaka było bardzo wyraźne. W tej sytuacji zwolennicy zmian w Kościele duże nadzieje wiązali z inną dziedziną aktywności arcybiskupa gnieźnieńskiego. Prymas Polak w 2023 r. otrzymał od Episkopatu zadanie stworzenia komisji, która miała się zająć przypadkami molestowania nieletnich przez osoby duchowne po 1945 r. Jednak i w tym wypadku sposób, w jaki prymas przygotowywał się do zadania, zaczął budzić wątpliwości. Zrodził się spór z komisją prawną Episkopatu o to, w jakim stopniu działanie komisji ma być umocowane w zgodzie z porządkiem prawnym Kościoła. Prymas Polak był pod wyraźnym wpływem grupy niezwykle aktywnych medialnie osób, które swoje niekwestionowane krzywdy z przeszłości łączyły z wyraźnym postulatem uczynienia z komisji ciała absolutnie niezależnego. Z jednej strony argumenty, które przytaczały na rzecz tak dalece posuniętej niezależności, tłumaczone były chęcią zapobieżenia tendencji części biskupów do zamiatania pewnych spraw pod dywan. Z drugiej strony, nadawało to przygotowywanej komisji status organu o osobnym statucie prawnym, który jednocześnie miał korzystać z dotacji pobieranych od wszystkich diecezji. Tym bardziej że wszystko wskazywało na to, iż znajdują się w niej inicjatorzy apelu o odwołanie arcybiskupa Wojdy z racji zarzutów o niechęć do wyjaśniania przypadków molestowania sprzed lat w swojej diecezji. Część biskupów zaczęła podejrzewać, że prymas Polak ulegnie dwóm kluczowym grupom. Z jednej strony – zdecydowanym zwolennikom Kościoła otwartego, takim jak Zdzisław Nosowski, Tomasz Terlikowski czy Monika Białkowska. Z drugiej strony – bardzo aktywnym, choć samodzielnym reprezentantem środowiska osób skrzywdzonych, jak Robert Fidura, Rafał Pankowski czy Tośka Szewczyk.

We wszystkich swoich działaniach obie te grupy, niekryjące głębokiego krytycyzmu wobec większości hierarchii, znajdowały silne wsparcie mediów liberalnych. Medialni krytycy Kościoła z chęcią tworzyli wyrazistą, acz niesprawiedli-

wą antynomię: skrzywdzeni, którzy chcą ratować Kościół, kontra wsteczni biskupi małodusznie pragnący ukryć prawdę.

Ta klisza miała sparaliżować tych biskupów, którzy mieli jakiegokolwiek uwagi do trybu powstawania komisji prymasa Polaka. Na dodatek doszło do klinczu między arcybiskupem gnieźnieńskim a komisją prawną Episkopatu. Kolejnym problemem, który narastał już od dłuższego czasu, była kwestia przyszłości Katolickiej Agencji Informacyjnej. Przez ostatnie trzy dekady kierował nią jej założyciel Marcin Przeciszewski. Potrafił on zręcznie łączyć wymogi działania agencji prasowej otwartej na nurty liberalne z pewnym dyplomatycznym taktem, dzięki któremu mógł przez dekady wypracowywać konsensus z bardziej konserwatywną częścią biskupów. Tyle że Przeciszewski we wrześniu 2024 r. przekroczył już wiek emerytalny i pojawiła się kwestia jego następstwa. Forsowany na stanowisko szefa KAI Tomasz Królak był przez cały okres istnienia agencji zastępcą Przeciszewskiego, lecz także, jak na gusta wielu biskupów, był zbyt wychylony na lewo.

Sytuację komplikował jeszcze dodatkowy czynnik. Rzecznik biura prasowego Episkopatu, ks. Leszek Gęsiak, od dłuższego czasu proponował, by KAI wcielić do tzw. konsorcjum, w którego skład miał wejść, obok biura prasowego, także portal religijny Opoka. Przeciszewski, krytykując ten pomysł, miał sporo racji. KAI zachowywała pewną niezależność wobec biura prasowego przez ostatnie 30 lat, tyle że jej silny status był związany z osobą Przeciszewskiego i jego dyplomacją. Zastąpienie go przez pozbawione go tych zalet Królaka wywoływało opór.

Oba konflikty tliły się już za kadencji przewodniczącego KEP Stanisława Gądeckiego. Ten jednak, szykując się do przejścia na emeryturę, odsuwał rozstrzygnięcie tych dylematów na później. Gdy Gądeckiego zastąpił abp Wojda, doszło z czasem do przesilenia. Na konferencji KEP w Katowicach w dniach 10–12 czerwca br. w końcu odwołano prymasa Polaka ze stanowiska szefa komisji do spraw wykorzystania seksualnego. Problem w tym, że odbyło się to w nie najlepszym stylu. W programie posiedzenia KEP nie było kwestii głosowania w tej sprawie i zostało ono wprowadzo-

ne w trybie nagłym, w ostatnim dniu posiedzenia biskupów, kiedy już np. abp Ryś opuścił Katowice, przekonany, że nic istotnego się nie wydarzy. Owszem, wydarzyło się. Biskupi przeforsowali zmianę bp. Polaka na bp. Stanisława Odera. Jak można wywnioskować po zdecydowanej reakcji w liście kard. Ryśa, uznał on odwołanie prymasa Polaka z funkcji za swoisty casus belli z resztą Episkopatu. W sprawie KAI biskupi nie podjęli w Katowicach ostatecznej decyzji.

Obie sprawy posłużyły jednak mediom liberalnym do kolejnych ataków według znanego schematu – dobrzy arcybiskupi Ryś i Polak kontra tchórzliwa i zakłamana większość Episkopatu.

WYZYWAJĄCA BISKUPIA PIUSKA

Po raz pierwszy od dłuższego czasu konflikt między hierarchiami liberalnymi a konserwatywną większością Episkopatu objawił się w tak wyraźnej formie. Tyle że większość, na czele z arcybiskupem Wojdą, tradycyjnie unikała jakiegokolwiek przedstawiania swoich racji. Jedynym hierarchą, który uczestniczył w sporze i zdecydował się zabrać głos, był bp Sławomir Oder. Udzielił on wywiadu kilku mediom, w których tłumaczył racje komisji prawnej Episkopatu i złożył solenną deklarację: „Niczego nie zamietę pod dywan”. Ujawnił jednocześnie bulwersujące szczegóły spotkania zorganizowanego z inicjatywą biskupa sosnowieckiego Artura Ważnego w połowie czerwca br. z aktywistami środowiska osób skrzywdzonych. Poinformował, że mimo iż został nowym szefem komisji Episkopatu do tej sprawy, nikt go na spotkanie nie zaprosił. Pojechał z własnej inicjatywy i został wystawiony na ponadpółtargodzinne czekanie pod drzwiami sali, w której obradowano. W wywiadzie dla „Niedzieli” tak opisywał to spotkanie: „Gdy wpuszczono mnie na spotkanie, osoba identyfikująca się jako przedstawiciel środowiska LGBT zwróciła się do mnie ze słowami, byśmy potrafili się spotkać w poszanowaniu różnorodności i naszej osobistej wrażliwości. Chwilę potem inna osoba powiedziała do mnie: »Niech ksiądz zdejmie tę czerwoną czapkę, bo mnie denerwuje«. W pierwszej chwili poczułem się zaatakowany i odpowiedziałem, że to jest pogwałcenie mojej wrażliwości

i moich praw, z którymi się identyfikuję. Później mi wyjaśniono, że reakcja tej pani mogła się wiązać z tzw. zespołem pourazowym i mogłem ją źle zrozumieć. Zdjąłem piuskę i przeprosiłem. Nie mam z tym problemu”.

Biskup Oder, opowiadając o tym znamionym incydencie, dobrze pokazał problemy, które większość biskupów zaczęła dostrzegać w kształcie komisji, którą przygotowywał prymas Polak. Obawiali się, że komisja oprócz swej głównej statutowej roli zamieni się w swoisty konwent, w którym na czoło wysuną się osoby mogące chcieć tworzyć coś w rodzaju forum przypominającego niemiecki ruch progresywnych katolików świeckich „Wir sind Kirche”.

Czy tak na pewno musiałyby się stać? Być może prymas Polak tonowałby nastroje, lecz także wielu biskupów było zdania, że równie dobrze arcybiskup gnieźnieński mógłby stworzyć ciało, nad którym straciłby kontrolę, a każda próba perswazji byłaby przy nagłośnieniu medialnym odrzucana jako niedopuszczalna ingerencja w działanie niezależnej komisji. Jeden z księży, znający dobrze relacje w Episkopacie, w taki sposób streścił obawy biskupów: „My będziemy mieli obowiązek łożenia na

zowała całą serię protestów świeckich katolików pod kuriami biskupimi w paru miastach Polski, w których trakcie pod drzwiami kurii kładziono kamienie z cytatem biblijnym „Kamienie wołać będą”.

KONIEC JEDNOŚCI? CZEMU NIE!

Swoistym komentarzem obozu liberalnego w Kościele do całego konfliktu był tekst ks. Kazimierza Sowy opublikowany 21 lipca na łamach „Gazety Wyborczej”. Był on swoistą pochwałą wyzwania, które abp Ryś rzucił reszcie Episkopatu. Już sam tytuł był bardzo znamionny: „Kościoł w Polsce: czy wreszcie kruszy się fałszywa jedność w złej sprawie?”.

Ksiądz Sowa wieszczy: „Odczytany w niedzielę w kościołach diecezji łódzkiej list abp. Grzegorza Rysia w sprawie migrantów i powołanie przez niego diecezjalnej niezależnej komisji do zbadania nadużyć seksualnych pokazuje, że polityczny monolit Kościoła przestaje być monolitem”.

I dalej: „Rzecz jasna, dla katolików utrzymanie jedności w sprawach związanych z depozytem wiary jest czymś naturalnym i pożądanym. Jednak polityka do tego depozytu nie należy. Nie należą doń także osobiste wybory i sympatie biskupów, kwestie ekonomiczne, wyjaśnia-

większość Episkopatu wybierze drogę, która nie spotyka się z szeroką akceptacją wiernych (widać to na przykładzie komisji do spraw pedofilii czy »reformy« KAI), to każdy z biskupów powinien mieć odwagę i zarówno obowiązek zastosowania takiego rozwiązania, jakie jest dla jego lokalnego Kościoła najlepsze”.

Warto bardzo powoli i uważnie przeczytać ten swoisty manifest. Jest to jawne i brutalne zanegowanie zasady podejmowania przez Episkopat w sposób kolektywny najważniejszych decyzji dla Kościoła w Polsce. Zawiera sugestie, by każdą większością decyzję biskupów tworzących Episkopat poszczególne biskupi mieli prawo odrzucać. Wystarczy zarzut, że to „czysta polityka”. I brak bliżej niezdefiniowanej „szerokiej akceptacji wiernych”.

Oznaczać to może, że grupa liberalna w Episkopacie akceptować będzie wspólny tryb podejmowania decyzji tylko wtedy, gdy odpowiada to jej zamiarom. Gdy jej faworyci tacy jak abp Ryś czy abp Polak, zostali przegłosowani – pojawia się sugestia kopnięcia w stolik.

Pytanie: Czy abp Ryś będzie konsekwentny i przyjmie politykę sugerowaną przez rozpolitykowanego księdza? W jakim stopniu rady ks. Sowy są odbiciem poglądów w liberalnym odłamie polskiego Kościoła?

Episkopat stoi wobec głębokiego wewnętrznego podziału, a sytuację komplikuje dodatkowo fakt, że konserwatywna większość ma poważne opory, by o tym konflikcie mówić otwarcie. Jej przedstawiciele wychowali się w kulturze sekretu i mają też na uwadze powagę hierarchii. Taka jawność nie mieści im się po prostu w głowie.

Tyle że druga strona nie ma żadnych skrupułów, aby twardo i otwarcie definiować swoje stanowisko. Robi to w sposób raz bardziej zawołany, jak uczynił to metropolita łódzki w swoim liście, a innym razem w sposób zupełnie jawny, jak uczynił to ks. Kazimierz Sowa. Doświadczenie uczy, że ten, kto umie w lepszy sposób przedstawiać swoje racje, jest w takiej rozgrywce uprzywilejowany.

Czy przewodniczący Episkopatu abp Tadeusz Wojda ma tego pełną świadomość? A zwykli wierni? Można mieć spore wątpliwości. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Episkopat stoi wobec głębokiego wewnętrznego podziału, a sytuację komplikuje dodatkowo fakt, że konserwatywna większość ma poważne opory, by o tym konflikcie mówić otwarcie.

Tyle że druga strona nie ma żadnych skrupułów, aby twardo i otwarcie definiować swoje stanowisko

komisję sporych środków, a jednocześnie nie będziemy mogli ani pisać słowa w razie zdominowania komisji przez tak ognistych trybunów zmieniania Kościoła od zewnątrz jak Tomasz Terlikowski czy Monika Białkowska”.

Nazwisko Moniki Białkowskiej – jak można się domyśleć – padło nieprzypadkowo. Ta popularna blogerka z kręgów Kościoła otwartego musiała się pożegnać parę miesięcy temu nawet z redakcją dość liberalnego jak na warunki kościelne katolickiego tygodnika z Poznania „Przewodnik Katolicki”. Po odwołaniu prymasa Polaka Białkowska zorgani-

nie grzechów przeszłości oraz system odpowiedzialności i zadośćuczynienia za zło, które miało miejsce, a nie np. model komunikowania się Kościoła ze światem (mam na myśli debatę o przyszłości Katolickiej Agencji Informacyjnej i innych mediów katolickich) [...]. Dobrze byłoby, więc, gdybyśmy we wspólnocie Kościoła mieli możliwość o tym wszystkim otwarcie dyskutować w duchu synodalności głoszonej przez papieża Franciszka, a przypomnianej także przez Leona XIV – dopiero po tej otwartej dyskusji powinniśmy przyjmować rozwiązania optymalne. Jeśli zaś z jakichś powodów



Tusk – faza upadku

FOT. CZARNY PIEDULIUM/FOURUM

Po raz pierwszy Tusk przestał przez chwilę panować nad radykalizmem, który sam rozpętał. Zapewne dlatego w dwugodzinnym wystąpieniu wręcz obsesyjnie powracał do wątku „dzisiaj wszystko ginie po godzinie i pojawia się nowy spektakl”, dwukrotnie powtarzając, że „nawet o zamachu na Donalda Trumpa zapomniano już po kilku dniach”, a kiedyś mówiono by o tym latami. Trudno nie dostrzec w tym „chciejstwa” – czas już, żeby i o ściemnie z rzekomyim sfalszowaniu przez PiS wyborów elektorat zapomniał i zajął się czymś innym. Problem Tuska polega na tym, że ten polityk, przez lata uważany za „króla bajeru” i mistrza w żonglowaniu „PR-owskimi przykrywkami” – i słusznie, bo rzeczywiście potrafił niezwykle skutecznie budzić na masową skalę histeryczne nastroje, a potem je wygaszać lub przekierowywać uwagę publiczności – tym razem już żadnego nowego spektaklu do podsunienia nie ma. Fakt, że „rząd dusz” nad elektoratem Tuska objął tak łatwo Giertych, nie wynika z jakichś szczególnych talentów mecenasa władzy, tylko z tego, że ze swym prostym jak cios cepa przesłaniem o wielkim spisku wszedł w narracyjną próżnię, która zapanowała w całym obozie lewicowo-liberalnym po 1 czerwca tego roku i trwa.

Wiec w Pabianicach – wart naprawdę, by poświęcić mu wiele uwagi, bo jak w soczewce pokazał, co dzieje się z Tuskiem – miał w zamierzeniu ratować sytuację. Zwieziony nań tłum zwolenników miał znowu zobaczyć przywódcę emanującego poczuciem siły i pewności, że wie, co robi, dającego nadzieję rychłego sukcesu – takiego z 2023 r. Co zaś zobaczył? Powtarzając rytualne zaklęcia, że PiS to zło, ganił Tusk słuchających za to, że zbyt łatwo uwierzyli, iż to zło już zostało pokonane („zawrót głowy od sukcesów”, jak to ujął był Stalin). A tymczasem „sytuacja jest pół na pół, czasem my mamy te 51 proc., czasem oni” i „trzeba być silnym i walczyć”. Już to musiało zaskoczyć, bo przecież wyborca PO od lat umacniany był w przekonaniu, że PiS to tylko jakaś chwilowa aberracja, jego wyborcy to ludzie ogłupieni, „zabetonowani propagandą” (obecna na spotkaniu działaczka, jak potem się okazało, szefowa biura poselskiego Dariusza Jońskiego, przypomniała zresztą tę narrację), a poza tym istnieją w społeczeństwie tylko jakieś wyalienowane grupy „PiS-owskich



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk, przez politycznych przeciwników tak często łączony z Niemcami, pod jednym względem okazał się arcy-Polakiem. Jak jest to naszą narodową specjalnością, zupełnie nie przygotował sobie żadnego „planu B”. Był tak pewien zwycięstwa Trzaskowskiego, że kiedy ten przegrał, kompletnie nie ma pomysłu, co teraz robić

To Rafał Trzaskowski wygrał te wybory! Jeszcze raz to powtórzę: Rafał Trzaskowski podjął się wyzwania ponad ludzkie siły, ruszyła na niego cała machina pisowskiego państwa, a on przecież wygrał te wybory, wiecie o tym dobrze”. Relacjonujący spotkanie portal Onet zaznaczył, że te słowa Donalda Tuska wzbudziły szczególnie aplauz uczestników spotkania. Było to w Tarnowie, we wrześniu 2023 r., a więc krótko przed wyborami, po których dzięki sukcesowi Hołowni Tusk został premierem. Prawie dwa lata temu.

Wypowiedzi innych liderów anty-PiS wskazują, że Tusk nie miał bynajmniej na myśli tak bliskiego Polakom „moralne-

go zwycięstwa”. Sugestie o nieprawości wyboru Andrzeja Dudy powtarzały się regularnie – otwarcie np. odmawiał mu demokratycznej legitymacji w wywiadach dla zagranicznych mediów marszałek „trzecia osoba w państwie” Grodzki. Narracja „Duda został prezydentem, bo wybory nie były uczciwe”, mimo że bezpodstawną, a wręcz idiotyczną (ta „nieuczciwość” polegała miała na tym, że urzędującemu prezydentowi sprzyjały w kampanii państwowe media, jakby nie równoważyła tego stronniczość na rzecz kandydata opozycji praktycznie wszystkich pozostałych), wtedy Tuska niosła. Nadchodzące kolejne wybory prezydenckie jawiły się dzięki niej jako oczywiste naprawienie „nieuczciwości” z roku 2020 – tym razem PiS nie ma przecież nie tylko „całej maszyny państwa”, lecz także pozbawiono go partyjnej dotacji.

OTOCZONY DURNIAMI

Na niedawnym wiecu premiera w Pabianicach zobaczyliśmy odwrócenie sytuacji. Gdy działaczka z publiczności zaczęła domagać się, przy wielkim entuzjazmie sali, unieważnienia wyborów i „ponownego przeliczenia głosów”, Donald Tusk zaczął się z nią, czyli jakby z niewiele wcześniejszym samym sobą, spierać. „Ale kto miałby liczyć?” – zapytał retorycznie. „Policja!” – odkrzyknął mu tłum zwolenników, a gdy Tusk wikłał się w tłumaczenia, że tak nie można, za jego plecami pojawił się transparent: „Przeliczyć głosy!”

funkcjonariuszy”, którzy narzucili różnym środowiskom swe chwilowe rządy wbrew ich jednoznacznemu oporowi. Wszystkie elity popierają jedynie słuszny „obóz demokratyczny”, a ciemnotę po „przywrocieńcu praworządności” w try miga się oświeci i „odbetonuje”. Opowieść, w której „siły światła i ciemności” są mniej więcej równe, bój między nimi nigdy nie zostanie rozstrzygnięty i trzeba dzień po dniu, mozolnie i usilnie walczyć o zachowanie minimalnej przewagi, to absolutna nowość.

Nie to jednak było w Pabianicach najciekawsze. Więcej niż połowę swego przemówienia poświęcił Tusk dyskredytowaniu własnego obozu. Nie tylko pozwalających sobie na spotkania z Kaczyńskim koalicjantów – także własnych współpracowników. Wręcz obsesyjnie powtarzał, że otoczenie jest durmiami, że to, co dzieje się w „obozie demokratycznym”, to wręcz „upiorne wyścigi zdrajców z idiotami”, że czuje się jak ojciec, który posyłając dzieci na wakacje, przestrzega, by nie robiły głupstw, a one i tak, wbrew mądrym naukom, te głupstwa robią. I co poradzisz? A w końcu spuentował to – być może nieświadomym – cytatem ze starego żydowskiego kawału: „Widzicie, z jakimi ludźmi ja muszę pracować!”

Jan Rokita, analizując te przemowę w swoim wideoblogu, twierdzi, że ten – jak podsumował wiec – „emocjonalny ekshibicjonizm” był, jak zwykle u Tuska, cynicznie przekalkulowany. Obraz przywódcy znękanego, udręczonego ogarnianiem gromady wciąż włączających w szkodę kretynów, którzy w dodatku zamiast być zdyscyplinowani i posłusznie wykonywać każde polecenie, jak jego zdaniem jest u Kaczyńskiego, „kwękołą”, dyskutują, sabotują i sięją defetyzm, ma odbudować na nowych zasadach przywiązanie do niego, już nie jako zwycięzcy, ale jako męczennika. Może Rokita ma rację, zna Tuska lepiej niż polityczni komentatorzy. Ale warto przypominieć, że opowieść: „Jestem otoczony samymi zdrajcami i idiotami, którzy wszystko psują” to klasyka, po którą sięgali w fazie schyłku chyba wszyscy dyktatorzy, nawet ci wielcy. Użycie jej w chwili spiętrzenia kłopotów mogło więc być instynktowne.

TUSK W POTRZASKU

Cena takiego brania wyborców „na litość” jest bowiem wysoka. Nawet jeśli „emocjonalny ekshibicjonizm” odbuduje

uczuciowe przywiązanie do wodza, to nowa narracja wywołuje szkody. Mniejsza o to, że usilnie na wiecu powtarzane wezwania, by jego ludzie byli silni, zmobilizowani i zdyscyplinowani, skuteczne są raczej wtedy, gdy obiecuje się zwycięstwo, a nie, w najlepszym wypadku, remis – polski mental jest w tej kwestii nieco inny od zachodniego. Przede wszystkim publicznie zwalanie winy na współpracowników skutkuje ich delojalizacją.

Jak to? – mają prawo zezłościć się to tumfacy Tuska (i na pewno się zezłościł, choć jeszcze niewiele daje to po sobie poznać). – Robiliśmy wszystko, jak kazał, cisnęliśmy PiS-owców po całości i przy każdej okazji, a jak nie poszło – to nasza wina? To niby my wyciągnęliśmy u Rymanowskiego w Polsce tego jakiegoś patusa, my wybraliśmy Trzaskowskiemu takich sztabowców? Tusk (co powszechnie wiadomo) odciął się całkowicie od zaplecza, wydaje tylko komendy, przemawia na klubie i natychmiast wychodzi, kontaktuje się jedynie z kilkoma dworzanami, nikogo nie chce słuchać – a jak sp.....ł, to winni wszyscy tylko nie on?

Oczywiste poczucie nielojalności wodza wobec żołnierzy nakłada się na poczucie zagrożenia. Po półtora roku „depisyzacji” sądów „Staszek” Gawłowski dostaje wyrok pięciu lat więzienia bez zawiasów. „Doktryna Neumanna” (dopóki jesteś w PO, dopóty bronimy cię jak niepodległość) przestała obowiązywać? Dlaczego to, co udało się „skreślić” w wypadku Grodzkiego czy Giertycha, w wypadku byłego sekretarza generalnego PO się nie udało? W gruncie rzeczy nie ma znaczenia, czy Donald tym razem już nie mógł czy nie chciał. Rodzi się przekonanie, że zagrożony postanowił ratować się „zrzucając z sań”, na pożarcie kolejnych współpracowników. Z tego przekonania rodzą się chęć ratowania się, szukania, póki czas, nowego patrona, nowego „podwieszenia” i gotowość do zdrady, skoro i tak już się zostało o nią oskarżonym.

W formacjach podobnych „obozowi demokratycznemu”, rządzonych po dyktatorsku czy też po „dyktaturskemu”, wódz może liczyć na posłuch tak długo, jak długo „dowodzi”, jest sprawczy i zwycięzca. Tusk tę fazę ma już za sobą – obecnie opiera się na przekonaniu, że musi rządzić dalej, bo nie ma nikogo lepszego, kim by go można zastąpić. To nie jest przekonanie trwałe –

w końcu pojawi się albo challenger, albo pomysł jakiegoś zupełnie nowego układu, w który mogliby się wtopić podwładni podupadłego wodza.

Tymczasem kłopoty Tuska będą tylko narastać. Polityk przez politycznych przeciwników tak często łączony z Niemcami pod jednym względem okazał się arcy-Polakiem: jak jest to naszą narodową specjalnością, zupełnie nie przygotował sobie żadnego „planu B”. Był tak pewien zwycięstwa Trzaskowskiego, że kiedy ten przegrał, zupełnie nie wie, co teraz robić.

Zasada „aby do czerwca” zdemolowała przede wszystkim finanse państwa. Aby utrzymać zarówno społeczeństwo, jak i lobbystów w stanie zadowolenia, rząd wydawał na potęgę, powstrzymując się od jakiegokolwiek próby zwiększenia ścisłości podatku czy innych metod naprawy finansów. Jak już Trzaskowski domknął system i „benzyna będzie mogła być choćby po 10 zł”, zaordynuje się „zaciskanie pasa”, motywując to sytuacją międzynarodową czy łań Trumpe – ludzie jakoś zniosą. W efekcie dług publiczny rośnie o miliard złotych dziennie i szybko osiągnie poziom, na którym konstytucja zobowiązuje do drastycznych cięć, o ile wcześniej nie narzuci nam ich w ramach „procedury nadmiernego zadłużenia” Unia. A Tusk, za którym wciąż ciągnie się nieszczęsne „pieniędzy nie ma i nie będzie” jego byłego ministra, teraz na cięcia nie może sobie pozwolić jeszcze bardziej.

W ten sposób zabrnął w pułapkę: przyszłoroczny budżet będzie albo bardzo restrykcyjny, co zaowocuje wzrostem społecznego niezadowolenia i gwałtowną utratą resztek popularności, albo bardzo nierealny, co katastrofę i utratę popularności odsunie nieco w czasie, ale uczyni bardziej gwałtowną.

Jest bardzo prawdopodobne, że ten dylemat pomogą Tusкови rozwiązać jego koalicjanci. Pewny wygranej swojego kandydata Tusk traktował ich per noga i nawet zapowiedział, że odbierze im większą rządowych stołków („najmniej- szczy rząd świata”), bo w ostateczności, której i tak się nie obawiał, mógłby stworzyć z poparciem prezydenta Trzaskowskiego rząd mniejszościowy. Jak bardzo inna jest obecna sytuacja, dowodem jest ostateczny kształt długo zapowiadanej rekonstrukcji, na której koniec końców to koalicjanci zyskali, a Platforma musiała się posunąć. ■

W tej sytuacji Tusk nie tylko nie może już marzyć o realizacji planu stworzenia „jednej listy obozu demokratycznego” i „złubnaueryzowania” na niej koalicjantów – pod znakiem zapytania staje przetrwanie jego rządu do końca kadencji. Nie ma wątpliwości, że prezydent Nawrocki nie zmarnuje okazji, jaką byłoby nieuchwalenie przez obecny Sejm budżetu na rok 2026, i skorzysta z konstytucyjnej prerogatywy, by go rozwiązać i zarządzić nowe wybory. Jeżeli zaś koalicjanci nie chcą rozpuścić się w KO na „wspólnej liście” układanej przez Tuska – a czemu mieliby się na to zgodzić teraz, jeśli obronili się w znacznie bardziej sprzyjającym realizacji Tuskowej idée fixe momencie, przed wyborami 2023 r. – to jedyną szansą samodzielnego wejścia do Sejmu będzie dla nich twarde obstawanie przy wydatkach na obiecywane wyborcom mieszkania, „asystencję osobistą” etc. Szczególnie zmuszona będzie od tego Lewica, której depcze po piętach partia Zandberga, ale Hołownia i Kosiniak-Kamysz zapewne nie dadzą się jej w socjalnych postulatach wyprzedzać, wiedząc z sondaży, że takie jest oczekiwanie ich potencjalnych wyborców.

Tusk może oczywiście tym żądanom ulec, jak napisałem powyżej, i zgodzić się na „budżet marzeń”, który potem szybko trzeba będzie nowelizować w warunkach narastającego kryzysu. Ale może też skalkulować inaczej: w przyśpieszonych wyborach koalicjanci, na których przeciwnym już sposobem zrzuci winę za utratę władzy, omskną się pod próg, i – jak to dawno temu zapowiadała – „tak czy owak będzie jedna lista i będzie nią lista PO”, choć w opozycji, bo powyborcza koalicja z Konfederacją jest raczej wytworem PR-u PiS niż realną możliwością.

Istotą sprawy jest to, że Donald Tusk stracił swoją opowieść. W lepszych czasach niosły go dwie sprawy. Po pierwsze, miał wizerunek polityka zdroworozsądkowego, dystansował się od skrajności, mówiąc o ciepłej wodzie w kranie i obiecując, że nie będzie „robić polityki”, cokolwiek by to miało znaczyć, tylko budować mosty, autostrady etc. Dziś Tusk jest dla większości Polaków uosobieniem skrajności i patronem politycznej szurii, w dodatku takim, który najpierw epatuje agresją i spiskowymi teoriami, a w chwili decydującej mięknie i rejteruje, zostawiając Giertychów i Kontków na lodzie.

Stracił też Tusk swój drugi, największy atut: mit sprawczości na Zachodzie byłego „króla Europy”. Po wyrzuceniu z wagonu VIP-ów w drodze do Kijowa wspomnienie zapewnień: „Mnie w Unii nikt nie ogra” budzi śmiech. Nowy kanclerz Niemiec nie ukrywa, że Tuska zwyczajnie nie lubi, prezydent USA ma powody nim gardzić – dość uporczywie powtarzane są pogłoski, że zamierza pozwać Tuska za publicznie wygłoszone oszczerstwa na jego temat przed amerykańskim sądem. Jest to formalnie możliwe (sądy supermocarstwa przypisują sobie jurysdykcję nad całym światem), choć byłoby to działaniem niekonwencjonalnym, ale do takowych Trump zdążył już wszystkich przyzwyczaić. Trudno sobie wyobrazić konsekwencje sytuacji, w której premierem RP jest człowiek skazany w USA i zagrożony, w wypadku pojawienia się tam, aresztowaniem.

Tusk postrzegany jest w Europie jako człowiek, który nałgał, naobiecował i niczego „nie dowiózł”. Bliższe zbadanie przez TSUE zarzutów wobec KRS i „neoseńdźców” wykazało, że wsparcie udzielone PO było pochopne – w dodatku, wbrew zapewnieniom, że nastroje w Polsce są skrajnie antypisowskie i tupnięcie Zachodu poskutkuje szybkim rozpadem niemającej żadnego społecznego zaplecza „nacionalistycznej dyktatury”, to właśnie „obóz demokratyczny” okazał się kruchy i po zaledwie półtorarocznych rządach wydaje się stać na skraju upadku.

IMMUNITET WAŻNIEJSZY NIŻ TWARZ

Jednak nawet to, co pozostało z mitu „Europejczyka”, nie gra już na korzyść Tuska, bo Polacy inaczej już widzą samą Europę. Unia przestaje być postrzegana jako łaskawca obdarowujący nas dobrobytem. Jako promotor Zielonych Ładów, ETS-ów i innych zagrożeń dla polskiej gospodarki i poziomu życia zaczyna być problemem, a nie rozwiązaniem problemów. Udzielając wsparcia oszołomskiej narracji o sfałszowaniu wyborów i konieczności niedopuszczenia do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, kompletnie zawałił Tusk jeden z najważniejszych spośród owych problemów: relokację migrantów i kryzys na granicy niemieckiej. Najpierw upierał się, że Niemcy żadnych migrantów nam nie przysyłają, potem wprowadził kontrole, chwając się,

jak bardzo są one skuteczne i jak wielu migrantów wyłapują, a w końcu skupił się na szczuciu przeciwko „bojówkom na granicy” i rzekomo atakującemu Straż Graniczną Bąkiewiczowi, uwiarygadniając go i popularyzując. Polityka wciskania Polakom kłamstw, że pakt migracyjny nas nie dotyczy, byle do wyborów o sprawie nie myśleli, też miała, jak teraz widać, bardzo krótkie nóżki.

W tej sytuacji próbuje Tusk grać w to, co potrafi. Powiedział to zresztą w Pabianicach, we właściwy sobie sposób, odwracając kota ogonem: że „nie umie tylko jednego, robić polityki na strachu i nienawiści”. W istocie niczego nie umie lepiej i do tego, co najlepiej umie, wraca – więcej polaryzacji, więcej straszenia PiS i „faszyzmem”, więcej Giertycha, „Soku z buraka” i Silnych Razem. Tylko że cały arsenał środków, które wypracował sobie do doprowadzania do furii Jarosława Kaczyńskiego i prowokowania go, by od czasu do czasu wykrzyczał coś o „mordach zdradzieckich”, wobec Nawrockiego zawodzi. Po obrzuceniu prezydenta i jego rodziny najobrzydliwszym hejtem w dziejach III RP ten w pierwszym orędziu zaczyna od deklaracji, że wrogom po chrześcijańsku przebacza. Wygląda na to, że na miotanie się Tuska zamierza odpowiedzieć Nawrocki tym samym sposobem, który swego czasu stosował Tusk skutecznie przeciwko Kaczyńskim – w praktyce zadawać bolesne ciosy i niszczyć krok po kroku, a w retoryce „dusić miłością”; pod stołem kopać boleśnie po kostkach, a nad stołem wyciągać rękę i z bezradnym uśmiechem pokazywać wyborcom – robię wszystko, by skończyć tę szkodliwą dla Polski wojnę, ale sami widzicie...

Pozostaje tylko czekać, kiedy wysługujące się „obozowi demokratycznemu” media dotychczasowe „Tusku musisz” uzupełnią słowem „odejść”. Zresztą uparcie rozsiewane szeptanki o rzekomych neurologicznych kłopotach premiera wyglądają na dyskretnie podsuwanie mu „wymów się stanem zdrowia, odejdziesz, zachowując twarz”. Nie sądzę, by to mogło być skuteczne – Tuskowi bardziej niż na twarzy zależy dziś na immunitecie. Liczy, że wyprosi w Unii jakieś stanowisko, choćby najpodlejsze, które mu go zapewni. To też wątpliwe, ale innej nadziei chyba już dla niego nie ma.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wicepremier to najwyższe stanowisko, jakie kiedykolwiek zajmował Radosław Sikorski. Zaskakujące jak na polityka 62-letniego z bogatym życiorysem, dużym doświadczeniem, a przede wszystkim – z ogromnymi i wciąż niezaspokojonymi ambicjami. Czy to może się zmienić i czy – jak ostatnio można usłyszeć – Sikorski ma szansę, żeby wysadzić z siodła Donalda Tuska? I czy wówczas Platforma Obywatelska (najważniejsza partia przymierza wielu ugrupowań, występującego jako Koalicja Obywatelska) byłaby dla drugiej strony groźniejszym przeciwnikiem?

Na pozór taki scenariusz wydaje się mało prawdopodobny. Radosław Sikorski nosi bowiem na sobie piętno przegrywającego, a to w rywalizacji wewnątrzpartyjnej nie pomaga.

PORAŻKI AMBITNEGO POLITYKA

Zacznijmy od tego, że dwukrotnie przegrywał wybory na nominację na kandydata PO (a następnie KO) na prezydenta. Po raz pierwszy próbował rywalizować z Bronisławem Komorowskim w 2010 r., po katastrofie smoleńskiej. Otrzymał wtedy niespełna jedną trzecią głosów: 31,5 proc. Drugi raz starał się o nominację w ubiegłym roku i wtedy poległ jeszcze bardziej, uzyskując niewiele ponad 25 proc. głosów.

Paradoksalnie jednak ta sytuacja może być dla Sikorskiego atutem. Przegrana Rafała Trzaskowskiego pokazała bowiem, że wybór dokonany przez działaczy KO, a wsparty przez przewodniczącego Platformy nie był optymalny. Minister spraw zagranicznych może teraz argumentować, że gdyby to on był kandydatem, wyborów prezydenckich nie wygrałby Karol Nawrocki – i może mieć dużo racji, choć tego typu argumentacja, jako oparta na hipotezie alternatywnego biegu zdarzeń, nigdy nie jest bardzo mocna. Jeśli jednak przypomnieć sobie niespójność kampanii Trzaskowskiego, jego liczne wtopy, brak energii, dziwaczne, kuriozalne wręcz występy czy pokrzykiwania oraz – to chyba najważniejsze – bardzo mocny skręt w lewo przed drugą turą, który zmobilizował wyborców Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna do wsparcia kandydata PiS, to Sikorski faktycznie

Niepewna przyszłość Sikorskiego



Lukasz Warzecha

W obliczu rywalizacji o przywództwo Platformy Obywatelskiej problemem Radosława Sikorskiego jest nadal jego narcystyczna osobowość, choć potęgujące się z wiekiem mściwość i antypatyczność Donalda Tuska nie pomagają temu ostatniemu

mógłby sobie poradzić lepiej. Szczególnie że ze swoim wciąż utrzymującym się, jakkolwiek śladowo, sznytem prawicowca i państwowca mógł być strawniejszy, a przynajmniej mniej mobilizujący dla prawej strony.

Inna sprawa, że i on jest znany z ryzykownych i karkołomnych wypowiedzi oraz pewnej nieobliczalności podczas publicznych wystąpień. Aby wspomnieć tylko „robienie Amerykanom łaski”, „dorżnięcie watahy” (którą to watahą mieli być PiS-owcy) czy rzekomo opowiedziany kilkanaście lat temu dowcip o prezydencie USA Baracku Obamie, który – według relacji o żarcie Sikorskiego – miał mieć polskie korzenie, jako że jego dziadek zjadł kiedyś polskiego misjonarza. O ten żart toczyła się zresztą batalia, włącznie z tym że ówczesny poseł PiS Zbigniew Giżyński doniósł wtedy – był to rok 2008 – na Radosława Sikorskiego do prokuratury za rzekomy rasizm.

Rzecznik MSZ, nieżyjący już Piotr Paszkowski, wyjaśniał, że minister dowcipu nie opowiadał z aprobatą, a jedynie go „przytaczał” (w domyśle: z należytą dezaprobatą). Kto jednak Radosława Sikorskiego zna, ten wie, że to polityk starej szkoły i że niepoprawne politycznie wypowiedzi, szczególnie w okolicznościach bardziej prywatnych, zdarzały mu się nieraz. Tak jak kilka lat temu w Brukseli podczas przyjęcia pożegnającego jednego z europosłów spoza Polski, gdy – według relacji uczestnika spotkania – Sikorski miał opowiadać z zapałem mocno niepoprawne dowcipy, których bohaterami były osoby homoseksualne. Sęk w tym, że początkowo wśród jego słuchaczy tacy właśnie goście byli, lecz także im bardziej Sikorski się rozochaćcał, tym bardziej krąg jego słuchaczy chudł – co w żaden sposób ówczesnego europosła nie zniechęciło. Sam bawił się doskonale.

■ To być może jedna z największych różnic pomiędzy nim a Donaldem Tuskiem. Premier – jakkolwiek starszy od Sikorskiego o sześć lat – nie stroni od grubiaństwa czy nawet chamskiego tonu w zakulisowych rozmowach (wielokrotnie takie relacje pojawiały się w mediach), lecz także, w ramach adaptowania się do coraz bardziej lewicowej linii własnej partii, którą sam jej przecież nadał, stał się obły i skrajnie politycznie poprawny. Natomiast Sikorski wydaje się nadal bardziej autentyczny i bardziej jest sobą. To jeszcze radykalniej odróżnia go również od 53-letniego Rafała Trzaskowskiego, który w kategoriach politycznych jest wręcz „płatkiem śniegu” (jak określa się przedstawicieli nadwrażliwego młodszego pokolenia przesiąkniętego wokeizmem). O ile Trzaskowski jest chodzącą poprawnością polityczną, a Tusk stara się nią być, o tyle Radosław Sikorski pod tym względem – mimo czasami widocznych wysiłków – jest wręcz dinozaurem. Pytanie brzmi: Czy byłaby to dla jego ugrupowania zaleta czy wada? Z pewnością taki model zachowania jest trudniejszy do zaakceptowania dla polityków młodszego pokolenia.

Drugi wątek przegranych Sikorskiego to fakt, że mimo rozbijałych aspiracji nigdy nie udało mu się zdobyć żadnego istotnego międzynarodowego stanowiska. Podchody czynił zaś wielokrotnie. Mowa była i o sekretarzu generalnym NATO – w możliwość zdobycia przez niego tego stołka wierzył chyba tylko on sam – i o wysokim przedstawicielu UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa (obecnie tę funkcję pełni była premier Estonii Kaja Kallas), i o swego czasu planowanym nowym stanowisku komisarza do spraw obrony. To ostatnie miało mieć szczególny status ze względu na wojnę na Ukrainie, a piastująca je osoba miała mieć do dyspozycji wspólny europejski budżet obronny. Ostatecznie w takiej formie stanowisko nie zostało jednak utworzone, a komisarzem do spraw obrony i przestrzeni kosmicznej został Andrius Kubilius, były premier Litwy.

UPEŁYWAJĄCY CZAS

Złośliwi twierdzą zatem, że Radosław Sikorski jest klasycznym przykładem polityka starszego pokolenia, który wciąż



dobrze się zapowiada – i tak już będzie do końca jego aktywności politycznej.

Problem Sikorskiego polega na tym, że czas nie stoi w miejscu. Niemożliwość skorzystania z szansy, którą stwarzały tegoroczne wybory prezydenckie, oznacza, że następna taka okazja nadarzy się, gdy obecny wicepremier będzie miał już 67 lat. Dla polityka to wciąż dobry wiek, ale jednak znacznie bliżej końca niż początku kariery. Gdyby zaś Karol Nawrocki skutecznie powalczył o drugą kadencję, z czasem na realizację ambicji robi się już naprawdę słabo – w 2035 r. Sikorski będzie starszym 72-letnim panem. Dlatego jeśli ma swoje plany skutecznie realizować, to musi przyspieszyć.

Manewr z powierzeniem Sikorskiemu funkcji wicepremiera w ramach rekonstrukcji rządu wydaje się czytelny. Nie chodzi przecież o to, żeby go za cokol-

wiek nagrodzić. To polityka, tu tego typu motywacje rzadko się pojawiają. Intencje Donalda Tuska mogły być dwie.

Pierwsza – chęć osłabienia potencjalnego rywala poprzez bliższe powiązanie go z ewentualnymi problemami rządu. Ma to sens, ponieważ samo stanowisko szefa MSZ jest dla Sikorskiego bardzo wygodne. Pod względem autopromocji to jedna z najlepszych posad w rządzie, jako że – w porównaniu z ministrami edukacji, nauki, zdrowia czy, co widać ostatnio, funduszy – nie wiąże się z nią niemal żadna bieżąca odpowiedzialność, za to osobę na tym stanowisku widać przy wielu prestiżowych okazjach. Bywają od tej zasady wyjątki, gdy dojdzie do jakiejś wyjątkowej afery, tak jak ta z wizami za rządów PiS – ale są to radykalnie rzadkie przypadki. Co do zasady, publiczność nie dostrzega natychmiastowych skutków działania



wybory władz co cztery lata, te najbliższe zatem muszą odbyć się najpewniej jesienią tego roku. Pozycja Tuska będzie w nich relatywnie słaba. Bierze się to nie tylko z przegranych wyborów prezydenckich, lecz także z rekordowo złych – jak na ten moment rządzenia – sondaży akceptacji rządu i samego premiera. Lipcowe badanie CBOS, robione przecież sporo przed wybuchem afery z rozdziałem środków z KPO, pokazało, że aż 48 proc. to przeciwnicy rządu, podczas gdy tylko 32 proc. to jego zwolennicy. Jeszcze gorzej wypada ocena samego szefa rządu: zadowolonych jest z niego tylko 31 proc., niezadowolonych aż 59 proc. (przy tym pytaniu niższy niż przy poprzednim był odsetek niezdecydowanych). Inaczej mówiąc – blisko dwie trzecie Polaków krytycznie oceniają kierowanie rządem przez Donalda Tuska. Po ośmiu latach sprawowania władzy, przy znacznie większym zużyciu, we wrześniu 2023 r. rząd Mateusza Morawieckiego w sondażu CBOS miał niemal po tyle samo krytyków i zwolenników, nawet z minimalną przewagą tych drugich: 35 do 36 proc.

RACHUBY PREMIERA

Czy zatem możliwe jest, że tym razem Tusk nie będzie jedynym kandydatem na szefa swojej partii, że naprzeciwko niego stanie Radosław Sikorski i wygra? To wciąż mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

Za utrzymaniem Donalda Tuska jako lidera partii przemawiać może przede wszystkim poczucie, że koalicja i rząd i tak są wystarczająco niestabilne, a wymiana szefa ugrupowania mogłaby oznaczać przyspieszone wybory. Stanęłaby przecież wtedy kwestia zmiany premiera – trudno sobie wyobrazić, żeby pozostał nim w takiej sytuacji Tusk – a zatem konieczność uzyskania nowego wotum zaufania, a tutaj mogłoby się już zdarzyć wszystko.

Podczas jednego z przyjęć Radosław Sikorski miał opowiadać z zapałem mocno niepoprawne dowcipy, których bohaterami były osoby homoseksualne

Jest także potężna sieć zależności politycznych, a w grach wewnątrz partii Donald Tusk jest wciąż znacznie lepszy niż wicepremier Sikorski, choć ten ostatni nie jest już, jak wcześniej, postrzegany jako ciało obce. Od jego politycznej konwersji w 2007 r. minęło blisko 20 lat. Nadal problemem jest narcystyczna osobowość Sikorskiego, choć potęgujące się z wiekiem mściwość i antypatyczność Donalda Tuska nie pomagają temu ostatniemu.

Za zmianą może przemawiać chęć doprowadzenia do nowego otwarcia i poczucie, że ta kadencja i tak jest stracona, więc lepiej zaryzykować i postawić na kogoś młodszego, kto mógł być lepszym kandydatem na prezydenta i kto ma mimo wszystko inny styl zarządzania niż Donald Tusk, po to, aby z nową energią powalczyć o władzę w 2031 r. Byłoby to oczywiście rzucenie się na głęboką wodę, ale afera z KPO, z której premier nie zaproponował dobrego wyjścia i którą ewidentnie położył komunikacyjnie, może skłaniać do podjęcia ryzyka. Temu wariantowi dawałbym jednak 10–15 proc. szans na realizację.

Jest możliwy jeszcze jeden wariant: taktyczna wymiana premiera. Tusk pozostałby liderem Platformy, ale postawiłby na Sikorskiego jako szefa rządu. Byłoby to wariant wypróbowanej już przez przewodniczącego PO prewencyjnej ucieczki przed odpowiedzialnością, jak w roku 2014. Jednocześnie Tusk mógłby liczyć na błyskawiczne zużycie się Sikorskiego i na to, że nawet krótki czas w fotelu premiera dowiedzie jego niezdolności do pokierowania całą formacją. Taki manewr stałby się tym bardziej prawdopodobny, im bardziej obecny premier mógłby być przekonany, że władza i tak jest nie do uratowania, a dotrwanie przez niego na stanowisku do samych wyborów zaszkodzi jego własnej pozycji.

Bardzo możliwe, że rachuba okazałaby się trafna i szef MSZ rzeczywiście okazałby się katastrofą na stanowisku szefa rządu. A wówczas Radosław Sikorski na zawsze musiałby się pożegnać z poważniejszymi ambicjami. Ciekawe, czy rozumiejąc to i podejrzewając prawdziwe intencje swojego partyjnego szefa, Sikorski umiałby odmówić, powstrzymując się przed charakterystycznym dla siebie apetytem na prestż.

MSZ, a więc kierując tym ministerstwem, można dużo wizerunkowo zyskać, niemal nic nie tracąc. Gdy jednak jest się jednocześnie wicepremierem, niejako z automatu bierze się większą odpowiedzialność za wszystkie poczynania rządu.

Druga motywacja to realizacja starej, mądrej zasady pragmatycznych władców, aby swoich rywali trzymać możliwie blisko siebie, tak aby mieć nad nimi jak największą kontrolę. Jeśli jednak ta interpretacja jest słuszna, to oznacza to, że Tusk traktuje Radosława Sikorskiego właśnie jako potencjalnego rywala.

Tymczasem zbliżają się wybory wewnętrzne w Platformie Obywatelskiej. Poprzednie odbyły się jeszcze w 2021 r. i wtedy Tusk był jedynym kandydatem na to stanowisko – o czym warto pamiętać, gdy komentuje się podobną sytuację w PiS niedawno. Statut PO przewiduje

FOT. FILIP WALIMENKO/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Sprawa patologicznej dystrybucji dotacji z Krajowego Planu Odbudowy ostatecznie pogrąży rząd Tuska?

GRZEGORZ PŁACZEK: Ta sytuacja powinna pogrążyć rząd premiera Tuska. Trzeba jednak mieć świadomość, że sprawa KPO obciąża nie tylko Koalicję Obywatelską, lecz także Prawo i Sprawiedliwość. Rząd karmi nas informacjami, że Polska otrzyma w ramach KPO 255 mld zł, z czego 147 mld stanowią będą pożyczki, a ta „góra pieniędzy” z Brukseli sprawi, iż staniemy się krajem mlekiem i miodem płynącym. Nikt nie mówi o tym, że zdecydowaną większość tych środków Polska będzie musiała oddać z odsetkami i że potrwa to do 2058 r. Nie zwraca się też uwagi, że warunkiem przyznania tych pożyczek jest realizacja tzw. kamieni milowych. To właśnie w nich, a także w założeniach projektów finansowanych z KPO, znajdują się takie „niespodzianki” jak zgoda na Zielony Ład czy uznanie praw mniejszości seksualnych.

O ile dobrze pamiętam to na wszystkie te warunki zgodził się jeszcze premier Morawiecki, a nie Tusk. Dziś PiS słusznie pomstuje na skandaliczne rozdawnictwo pieniędzy z KPO przez rząd Koalicji Obywatelskiej, ale to przecież nie kto inny jak PiS zaakceptował z całym niedobrodziejstwem inwentarza Krajowy Plan Odbudowy, mając pełną świadomość, że to kolejny mechanizm drenażu polskiego budżetu.

Trzeba powiedzieć jasno, że pieniądze z KPO obciążone są dużą liczbą ideologicznych postulatów – istne kukułcze gniazdo. Zgodę na to wyraził rząd PiS, a obecny rząd w sposób niezwykle nieudolny pozwolił na sfinansowanie z tych środków wielu kontrowersyjnych projektów. W mojej ocenie pieniądze są wydawane według zasady: „Lepiej wydać, niż nie wydać”. W efekcie finansowane są przedsięwzięcia, które przy realnym, biznesowym podejściu nie zostałyby sfinansowane. Będziemy w tym absurdzie grzęznąć, bo nie mówi się o tym, że projekty trzeba będzie przecież utrzymywać w przyszłości. To nie jest wyłącznie kwestia wydania środków tu i teraz, lecz także odpowiedzialności za to, skąd brać pieniądze w przyszłości. W moim przekonaniu KPO nigdy nie powinien powstać. Zgodziły się na niego zarówno rządy PiS, jak i KO. Nie chcę być Kasandrą, ale mam przeczucie, że kolejne pokolenia Polaków jeszcze nieraz z tego powodu zapłaczą.



Z Grzegorzem Płaczkem, politykiem Nowej Nadziei, przewodniczącym klubu poselskiego Konfederacji w Sejmie rozmawia Ryszard Gromadzki

Lot nad kukułczym gniazdem



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Trudno oprzeć się wrażeniu, że podobny mechanizm drenażu budżetu jak w wypadku Krajowych Planów Odbudowy stosowany jest w wypadku Ukrainy. Niemcy, Francja, Wielka Brytania i niestety Polska raz po raz ogłaszają kolejne warte miliardy euro pakiety wsparcia dla walczącej z Rosją Ukrainy, choć cele, których realizacji służyc mają pieniądze europejskich i polskich podatników, są coraz bardziej iluzoryczne. Wydaje się, że dziś to przede wszystkim Europa zainteresowana jest kontynuacją wojny na Ukrainie.

Zachowanie Unii Europejskiej wobec Ukrainy jest dalece niezrozumiałe. Większość podejmowanych działań rzeczywiście może sprawiać wrażenie, że Bruksela nie dąży do zakończenia wojny. Wręcz przeciwnie. Komisja Europejska, Niemcy i Francja, przy bezrefleksyjnym poparciu ze strony Polski, idą w stronę budowy modeli, które służyłyby „wiecznemu” finansowaniu Ukrainy. To głęboko niepokojący trend, ponieważ Polska w wielu obszarach de facto finansuje dziś dwa państwa. Rząd premiera Tuska – podobnie jak wcześniej rząd PiS – uprawia narrację, zgodnie z którą wielostronne i bezrefleksyjne wsparcie Ukrainy jest polską racją stanu. Tak nie jest. Kwestionuje to dziś większość Polaków, a także siły polityczne zyskujące coraz większe poparcie społeczne.

Polska polityka wobec Ukrainy mimo ciągłych upokorzeń ze strony Kijowa w zasadzie nie ulega zmianie. Warszawa nie chce przyjąć do wiadomości, że stosunek Kijowa do Polski określa ideologia banderyzmu. Niedawny występ rapera Maksyma Korża na Stadionie Narodowym w Warszawie zostanie zapamiętany przede wszystkim za sprawą dzikich ekscesów ukraińskich mołojców w wieku poborowym, tańczących pod banderowskimi flagami.

Sceny, które pan opisał, to niestety tylko jeden z wielu przykładów tolerowania przez Polskę probanderowskich wybryków. Brak twardej polityki wobec Ukrainy ze strony Warszawy jest bardzo odczuwalny. Nie osiągnęliśmy postępów w sprawie ekshumacji na Wołyniu. Nie było reakcji na dewastację pomnika ofiar rzezi wołyńskiej w Domostawie. Ekscesy na Stadionie Narodowym są absolutnie niedopuszczalne. W takich sytuacjach państwo polskie powinno reagować zdecydowanie. Polska – po tym, co zrobiła dla Ukrainy od wybuchu wojny w 2022 r. – ma prawo oczekiwać wdzięczności, a nie festiwalu banderyzmu. To, że Ukraińcy nie liczą się z polską wrażliwością, jest dowodem

Jeśli Karol Nawrocki będzie realizował twardą politykę, to może stać się nową twarzą w środowisku PiS

całkowitego fiaska naszej polityki wschodniej. Rzeczywistość powinna pozbawić nas w tej sprawie złudzeń.

Czy rozpoczęta właśnie kadencja prezydenta Nawrockiego daje szansę na zmianę polskiej polityki wobec Ukrainy?

Byłem na placu Piłsudskiego w dniu inauguracji prezydenta Nawrockiego, kiedy zwracał się do narodu i żołnierzy. Byłem także w Sejmie podczas jego zaprzysiężenia. Słuchałem orędzia z wielką nadzieją. Mam świadomość, jakie środowisko polityczne wspiera Karola Nawrockiego i jak mocno Prawo i Sprawiedliwość wspierało Ukrainę w ostatnich latach. Czekają nas bardzo ciekawe miesiące, ponieważ prezydent będzie musiał podjąć decyzje w sprawie chociażby ustaw dotyczących dalszego wsparcia dla Ukrainy. Okaże się, czy Karol Nawrocki je podpisze czy nie. Jeśli na polską klasę polityczną nikt nie wyleje w tej sprawie „kubła zimnej wody”, to prezydent może pozostać odosobniony. Słuchając orędzia, miałem poczucie, że wiele poruszonych w nim wątków brzmi podobnie do postulatów, które od lat stawia Konfederacja. Jeśli prezydent dotrzyma obietnic i będzie kierował się przede wszystkim polską racją stanu oraz interesami Polaków, to jest mała nadzieja, że naiwna i bezrefleksyjna proukraińska polityka prowadzona przez Polskę zostanie wreszcie zrewidowana.

Prezydent Nawrocki może stać się patronem szerokiej prawicowej koalicji? Wyjść z kokonu PiS?

Po pierwsze, poczekajmy, czy to, co mówi Karol Nawrocki po zaprzysiężeniu na prezydenta, przełoży się na praktykę sprawowania urzędu. W polityce to często nie idzie w parze. Po drugie, przekonamy się, czy sytuacja rzeczywiście wymknęła się spod kontroli prezesowi Kaczyńskiemu, który jest politycznym weteranem, czy też mamy do czynienia wyłącznie z „polityczną samowolką” prezydenta Nawrockiego. Wydaje się, że jeśli prezydent

Nawrocki rzeczywiście będzie realizował twardą politykę, którą zapowiada, to może stać się nową twarzą w środowisku Prawa i Sprawiedliwości.

Nową twarzą czy nowym liderem PiS? Prezydent Nawrocki może zdetronizować prezesa Kaczyńskiego?

Myślę, że prezes Kaczyński, będąc szefem PiS, nadal dysponuje takimi narzędziami, które nie pozwolą łatwo go zdetronizować. W sytuacji zagrożenia własnego prymatu może nie współpracować „zero-jedynkowo” z obecnym prezydentem. W mojej ocenie prezes Kaczyński będzie próbował wykorzystywać prezydenta do budowania poczucia, że jest on niezależną głową państwa.

Ponadto pamiętajmy, że otoczenie prezydenta Nawrockiego tworzą byli posłowie PiS, w związku z czym prezes Kaczyński będzie chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: pozostać niekwestionowanym liderem PiS i jednocześnie budować siłę Pałacu Prezydenckiego. Jako Konfederacja pozostajemy pełni nadziei na rzeczywiste zmiany w PiS i jego elektoracie, ale dobrze pamiętamy to, co PiS robił w czasie swoich rządów. Partie polityczne szybko się zmieniają – łatwiej przychodzi im manipulowanie opinią publiczną, przekonując, że robią coś, czego w rzeczywistości nie robią.

PiS, chcąc odzyskać prymat na prawicy, może próbować pogrzebać Konfederację, wbijając klin między Ruch Narodowy i Nową Nadzieję.

Jako szef klubu poselskiego Konfederacja mogę zapewnić, że pogłoski o rozłamie nie mają żadnych podstaw. Współpraca między Nową Nadzieją, której barwy reprezentuję, a Ruchem Narodowym, którym kieruje marszałek Krzysztof Bosak, układa się bardzo dobrze.

Nie ma mowy o rozbieżnościach, z którymi nie potrafilibyśmy sobie poradzić. Konfederacja to dwie odrębne partie, ale mamy jasne i wspólne cele polityczne. Z takim przekazem idziemy do przyszłych wyborów. Bez dwóch zdań Konfederacja jest spójnym monolitem politycznym.

Idziecie po władzę? Premierem Polski po wyborach 2027 r. może zostać polityk Konfederacji?

Wszystko jest możliwe. To byłaby wielka i jakościowa zmiana w polskiej polityce.

Dzieci w sieci



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Sharenting, czyli publikowanie treści z dziećmi w Internecie, wchodzi na nowy poziom. Jedna z mam influencerów założyła fundację mającą „promować wizerunek dzieci w przestrzeni publicznej”



FOT. ANDRZEJ STOK

Nasza misja to nie tylko popularyzowanie wizerunku dzieci w przestrzeni publicznej, lecz także edukacja i ochrona ich praw w cyfrowym świecie – zapewniła obserwowana na Instagramie przez 1,4 mln osób Aniela Woźniakowska. Trzydziestopięciolatka, dziś publikująca materiały family-friendly, zaczęła swą karierę w Internecie zgoła inaczej. Wielu kojarzy ją jako „sexmasterkę” – rozseksualizowaną kokietkę, która w nagraniach poruszała, często w wulgarny sposób, temat seksu. Nagrała piosenkę pod dwuznacznym tytułem „Poka sowe”.

Aniela Woźniakowska przeszła dużą przemianę. Po perukach, lateksowych wdziankach i odpowiadaniu na intymne pytania nie ma dziś śladu. Teraz na nie-

mal każdym zdjęciu są ona, mąż i dziecko. Influencerka gotuje, sprząta i pokazuje od kulis wychowanie dziecka. „Chcemy pokazać naszej córce świat w całej jego różnorodności! Od beztroskiego biegania na bosaka po kałużach na wsi, wśród zwierząt i lasów, po luksusowe wnętrza Dubaju. Każde miejsce ma swoją magię i chcemy, aby mogła je odkrywać!” – pisała pod fotografią z Dubaju. Z kolei na stronie internetowej nowo powstałej fundacji zamieszczono krótki, niemalże hagiograficzny biogram: „Aniela Woźniakowska to niezwykła mama i influencerka, wyróżniająca się charyzmą oraz niepowtarzalnym spojrzeniem na świat. Jej osobowość przyciąga uwagę, a nieskończona energia sprawia, że inspiruje innych do działania. Aniela odważnie

przełamuje schematy, udowadniając, że można łączyć macierzyństwo z pasją do tworzenia treści, które angażują i motywują”. Jednak treści Woźniakowskiej także oburzają. Krytyka pod jej adresem za nadmierne ekspozycje dziecka w sieci (pierwszy krok małej, bolesne kolki, rozszerzenie diety) i zarabianie na wizerunku swojej córki płynęły od długiego czasu. Refleksja nie nadeszła.

MASOWA KRYTYKA

W lipcu Aniela Woźniakowska wraz z mężem Tomaszem, przedsiębiorcą, ogłosił powstanie fundacji „Dzieci są z nami”. Chcą działać na rzecz rozpowszechnienia obecności dzieci w Internecie. Wśród celów wymieniają „promocję wizerunku dzieci w przestrzeni

publicznej. Ponieważ dzieci są z nami zarówno w świecie fizycznym, jak i cyfrowym”; stworzenie „kart dobrych praktyk prezentacji wizerunku dzieci w sieci. Wprowadzanie młodzieży w świat cyfrowy odpowiedzialnie i z szacunkiem”.

Zapowiadają walkę z tymi, którzy chcą uregulowania zasad związanych z publikacją wizerunku najmłodszych. „Stawiamy czoła ruchom, które chcą wyeliminować wizerunek dzieci z Internetu. Wspieramy rodziców w decyzjach związanych z sharentingiem” – wskazują założyciele fundacji. Woźniakowscy twierdzą, że będą „chronić rodzinę” poprzez „bardziej wspierające środowisko dla dzieci”. „Mile zaskoczyła nas siła wsparcia idei naszej fundacji. Choć wiadomo, że w komentarzach zawsze najwięcej jest osób dających upust swoim negatywnym emocjom, które szukają tylko takich okazji” – dodali w kolejnym poście.

Krytyka decyzji o założeniu fundacji była masowa. „Założenie fundacji, która rzekomo ma bronić obecności dzieci w Internecie, a jednocześnie aktywnie promuje sharenting, wygląda jak próba legitymizacji własnych działań i przekonania opinii publicznej, że problem nie istnieje. Problem jednak istnieje i jego konsekwencje odczuwają same dzieci za kilka-kilkanaście lat, gdy dorosną i staną twarzą w twarz z cyfrowym archiwum swojego dzieciństwa, utworzonym bez ich wiedzy i zgody” – zauważyła lekarka Agnieszka Kobylka-Dziki, która działa na Instagramie jako „mama_dermatolog”.

Z kolei ekspert do spraw samoobrony, Grażyna Ferra-Kopocińska, uczyła: „Organizacja monitorująca przestępstwa seksualne wobec dzieci w sieci alarmuje, że aż 20 proc. zdjęć wykorzystywanych przez pedofilów pochodzi z otwartych, publicznych profili rodziców (źródło Internet Watch Foundation, eSafety Office, Europol). Badania australijskiego eSafety Office pokazują, że ponad połowa materiałów wykorzystywanych na stronach pedofilskich pochodziła z otwartych kont społecznościowych rodziców – głównie Facebook i Instagram. Czy Wy naprawdę NIE WIDZICIE TAKICH ZAGROŻEŃ!?”.

Oburzenie wyraził też europoseł Nowej Lewicy Robert Biedroń, który zaznacza, że sharenting to najbardziej kontrowersyjny kontent w Internecie. „Nie uczmy ludzi, jak go spieniężać. Nigdy nie

wiecie, kto może wykorzystać wizerunek Waszego dziecka ani kim będzie chciało zostać w przyszłości. Słuchajmy ekspertów, a nie influencerów” – zaapelował.

Z kolei Mateusz Chrobok, twórca specjalizujący się w cyberbezpieczeństwie i AI, na swoim kanale na YouTube przekonuje, że „(sharenting) to otwieranie drzwi dla nadużyć, kradzieży tożsamości i naruszanie prywatności dziecka. Nie da się bezpiecznie dzielić dzieckiem w sieci. Ryzyko zawsze istnieje bez względu na to, jak ładnie się to opisze”.

Jeden z nielicznych, pozytywnych komentarzy na temat działalności Woźniakowskiej opublikowała jej koleżanka, również influencerka Angelika Trochonowicz. „Andziaki” obserwuje na Instagramie 1,3 mln osób i podobnie jak Aniela pokazuje ona niemal każdy aspekt swojego życia, z córeczką Charli włącznie. Posiadanie dzieci przez influencerki tworzące tego rodzaju „rodzinny” lifestyle’owy content jest postrzegane przez wielu jako element biznesu.

Trochonowicz swoją drugą ciężą również ogłosiła w sieci, robiąc z niej serię nagrań (w osobnych filmach informowała o ciąży mamę, teściową, przyjaciółki itd.). Duże emocje wywołało nagranie z pięcioletnią Charli w sklepie ze świecami, którego właścicielem jest „Andziaki”. „Charli mnie zapytała dzisiaj pierwszy raz, czy może wybrać sobie świeczkę do swojego pokoju, Duża dziewczynka! »Mamo, a my to mamy wszystko za darmo?«” – opisuje influencerka, oznaczając pod postem reklamę sklepu ze świecami.

GDZIE JEST GRANICA?

Nikt nie zarzuca mamom influencerkom, że nie kochają swoich dzieci czy nie spełniają ich potrzeb. Problemem jest wystawianie kilkulatków na oczy – dosłownie – milionów obcych ludzi, których celem nie zawsze jest pozostawienie miłego komentarza. Założenie fundacji na rzecz sharentingu spotkało się z odpowiedzią Rzecznika Praw Dziecka. „Działania te są sprzeczne z aktualnym stanem wiedzy o bezpieczeństwie dzieci w środowisku cyfrowym oraz z kierunkami działań instytucji publicznych. W związku z powyższym chciałabym przypomnieć, że wizerunek każdego człowieka, a więc również dziecka, jest dobrem osobistym i danymi osobowymi,

które w przypadku dzieci należy szczególnie chronić” – pisze w oświadczeniu Monika Horna-Cieślak. RPD przypomina brzmienie art. 16 Konwencji o prawach dziecka, który wyraźnie wskazuje, że dziecko ma prawo do prywatności. „Publikacja materiałów, na których można rozpoznać dziecko oraz publikowanie zdjęć i nagrań z udziałem dzieci, niesie ze sobą szereg ryzyk, o których należy pamiętać, rozpowszechniając tego typu materiały” – zaznacza.

Rzecznik odpiera argumenty Woźniakowskiej o tym, że rzekomo nie ma dowodów na to, iż sharenting jest zjawiskiem szkodliwym. „Warto przy tym zwrócić uwagę na dostępne badania przeprowadzone w 2024 r. przez Rzecznika Praw Dziecka, które wskazują, że aż 74 proc. nastolatków uważa publikowanie zdjęć/filmów przedstawiających kogoś bez jego zgody za jedno ze szczególnie szkodliwych zjawisk w Internecie” – argumentuje Horna-Cieślak. RPD poinformowała, że zwróciła się do organów nadzorujących organizacje społeczne i do prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, a także „weryfikuje kolejne kroki”.

Promowanie sharentingu spotkało się też z sprzeciwem Stowarzyszenia Profesjonalistów Influencer Marketingu (SPIM). „Jako środowisko profesjonalistów działających w obszarze influencer marketingu chcemy podkreślić, że niezależnie od ocen prawnych czy konfliktów między twórcami najważniejszym punktem odniesienia powinna być odpowiedzialność dorosłych oraz dobro i bezpieczeństwo dziecka. Dobrze, że ten temat wreszcie wybrzmiewa szerzej w przestrzeni publicznej. Jeszcze bardziej cieszy nas to, że zdecydowana większość głosów pojawiających się w tej debacie to głosy zdrowego rozsądku – opowiadające się za ochroną prywatności najmłodszych i przeciwko ich nadmiernej ekspozycji w mediach społecznościowych. To ważny sygnał, że jako społeczeństwo dojrzewamy do bardziej odpowiedzialnego podejścia do obecności dzieci w sieci” – czytamy w stanowisku przekazanym portalowi Wirtualne Media. Na razie w rządzie nie trwają żadne prace nad uregulowaniem obszaru publikacji wizerunku dzieci przez ich rodziców i bliskich w Internecie.



Z Markiem Telerem, dziennikarzem i pisarzem

rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Lektura pańskiej książki dowodzi, że granice zdrady bywają płynne.

MAREK TELER: W historiografii czasów Polski Ludowej panowała tendencja do stosowania jasnych podziałów na „dobrych” i „złych”. „Dobrzy” aktorzy nie grali podczas wojny w teatrach koncesjonowanych przez niemieckiego okupanta, lecz kelnerowali w kawiarniach. Z kolei ci „źli” występowali na scenie ku ucieście gawieździ, kiedy wokół panował terror; trwały łapanki, prześladowano Polaków i eksterminowano Żydów, a afisze spektakli sąsiadowały z niemieckimi obwieszczeniami o aresztowaniach i rozstrzelaniach.

Tymczasem do sztuk pokazywanych w teatrach jawnych niejednokrotnie przemycano elementy patriotyczne, w teatrze Komeidia wystawiano m.in. „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej czy „Głupiego Jakuba” Tadeusza Rittnera, a w Teatrze Rozmaitości Jar widowisko „Krakowiaci i górale” z polskimi tańcami ludowymi, które – dla zmylenia cenzury – przemianowano na „Sen nocy lipcowej”. Oczywiście wszystkie utwory pokazywano w języku polskim. Były adresowane do Polaków, a Niemcy mieli wręcz zakaz przychodzenia na przedstawienia wystawiane dla osób „rasowo mniej wartościowych”.

Prezentowane w kawiarniach programy artystyczne także przechodziły przez niemieckich cenzorów. Mało tego, w lokalach tych bywali niemieccy żołnierze, którym polska obsługa artystyczna musiała usługiwać. Zatem zakorzenione w powszechnej świadomości hasło „Tylko świny siedzą w kinie, co bogatsze, to w teatrze” nie pokazuje złożoności problemu. Wręcz przeciwnie – tworzy błędny obraz polskiego świata artystycznego w latach drugiej wojny światowej.

Szczególnie dramatyczny los zgotowały wojenne muzy Bogusławowi Samborskiemu?

Wybitny polski aktor, który w czasie okupacji zgodził się zagrać rolę burmistrza w antypolskim filmie „Heimkehr”, po części realizowanym w Chorzelach. Uległ szantażowi ze strony Igo Syma, który zagroził mu, że jeśli odrzuci propozycję, to jego żona i pasierb zostaną umieszczeni w getcie. Po zlikwidowaniu Syma przez żołnierzy Związku Walki Zbrojnej Samborski uciekł do Wiednia, obawiając się, że za występ w „Heimkehrze” może podzielić los kolegi po fachu.

Melpomena i kolaboracja

Proces aktorów antypolskiego filmu „Heimkehr”, rok 1948 FOT. NAC



Wkrótce pojawił się w kolejnych dwóch filmach III Rzeszy – pod pseudonimem Gottlieb Sambor – a w 1946 r. wyemigrował do Brazylii, gdzie krótko grał w teatrze oraz epizodycznie w filmach – jako Anthony Zamborski.

W Polsce został zaocznie skazany na dożywocie, a komunistyczne władze przez wiele lat bezskutecznie próbowały sprowadzić go do kraju, aby odsiedziały wymierzony mu wyrok. Do dziś nie wiadomo, kiedy Samborski zmarł ani gdzie go pochowano. W połowie lat 50. podobno wyjechał do Argentyny i wcielił się w cyrkowego klauna.

Za rolę w „Heimkehr” najbardziej odcierpiała Wanda Orzechowska vel Szczepańska?

Co prawda, zagrała w tym filmie tylko epizodyczną rolę bileterki, ale po śmierci Szyma została zaangażowana przez Niemców do pomocy w werbowaniu aktorów do tego haniebnego dzieła niemieckiej propagandy. I właśnie to – oraz podróże do Wiednia w charakterze „damy do towarzystwa”, jak to sama niefortunnie określała w trakcie procesu – sprawiło, że sąd skazał ją aż na 12 lat pozbawienia wolności, zupełnie ignorując okoliczności łagodzące winy aktorki: pragnienie ukrycia swojego żydowskiego pochodzenia, udział w kolportażu prasy konspiracyjnej oraz wsparcie udzielone ks. Hieronimowi Goździewiczowi w wyjeździe do Rzymu. Wyszła na wolność po odbyciu połowy wyroku, lecz miała problem ze znalezieniem stałego zatrudnienia w teatrze, pobyt w więzieniu rzutował na jej psychikę.

Stanisław Heinrich wydaje się niejednoznaczną postacią Melpomeny Warszawy doby drugiej wojny światowej.

W meldunkach konspiracji można odnaleźć informację, że był volksdeutschem, lecz on sam przed sądem niemieckim twierdził, iż jest Polakiem w służbie niemieckiej propagandy. Z jednej strony miał udziały w sześciu teatrach jawnych Generalnego Gubernatorstwa – głównie piastując funkcje dyrektorskie; z drugiej pomógł uwolnić z Pawiaka aktorkę Mirę Zimińską za cenę występów na jednej z jego scen. Pod koniec 1941 r. został aresztowany, najprawdopodobniej za handel z gettem, a po wyjściu na wolność i śmierci żony Haliny Heinrichowej z rąk Polskiego



Scena z filmu „Heimkehr” FOT. NAC

Państwa Podziemnego zmienił całkowicie postawę i ponoć włączył się nawet w działalność konspiracyjną. Tajemniczości tej postaci dodaje fakt, że do dziś nie wiadomo, czy zginął w Powstaniu Warszawskim czy też spędził resztę życia pod zmienionym nazwiskiem w Niemczech lub Austrii, ponieważ miał być tam widziany po wojnie.

Poczniana Józefa Artura Horwatha determinowała chęć artystycznego spełnienia czy też ochrona żony?



Aktor Bogusław Samborski FOT. NAC

Już w II RP uchodził za kontrowersyjną figurę. Powiązany był chociażby z aferą dotyczącą fałszywej szkoły filmowej Jana Czesława Sikorowicza, w której, obiecując wielką karierę, młodych adeptów kinematografii uwieczniono w kadrze... z młynkiem do kawy. Mimo że później jego reputacja nieco się poprawiła – był m.in. jednym z artystów poznańskiego kabaretu Różowa Kukułka oraz kierownikiem literackim i administracyjnym Teatru im. Elizy Orzeszkowej w Grodnie – po roku 1939 znów wszedł na niechlubną drogę. Dyrektorował teatrom koncesjonowanym przez okupanta, zagrał sekretarza wojewody w paszkwilu „Heimkehr”. Służalność wobec Niemców ściągnęła na niego uwagę wywiadu i kontrwywiadu Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej, choć jednocześnie przez cały okres okupacji ukrywał on żydowskie pochodzenie swojej żony lub partnerki Hanks Libickiej. Kiedy zostało wykryte przez oficera Kripo Willy’ego Leitgebera, Horwath i Libicka trafili na Pawiak. Wkrótce rozstrzelano ich w ruinach getta.

Myślę, że najlepiej opisała postawę Horwatha aktorka Maria Malicka, mówiąc, że to był „słabutki człowieczek, lękający się o los swój i swojej żony”. O tym, że nie było mu łatwo poradzić sobie z sytuacją, w której się znalazł, świadczy jego pogłębiający się z roku

na rok alkoholizm. Tuż przed śmiercią był już praktycznie wrakiem człowieka, więc na jego losy należy patrzeć raczej z politowaniem niż z pogardą.

Jan Ludwik Kamienobrodzki był bardziej biznesmenem niż artystą?

To celne określenie, ponieważ w interbellum pracował w banku i ze sceną nie miał nic wspólnego. W okresie okupacji został dyrektorem kilku teatrów jawnych oraz zadeklarował się jako Stammeutsch, czyli osoba o niemieckim pochodzeniu, która pozostała wierna swoim korzeniom. Mówiono, że postanowił zająć się działalnością teatralną, gdyż podobali mu się młodzi tancerze, rywalizował też o wpływy ze Stanisławem Heinrichem (posądzano go o to, że doprowadził do jego aresztowania) i wszedł w konflikt z kierownikiem literackim Jaru Zygmuntem Ipohorskim-Lenkiewiczem. Chyba bardziej interesowały go rozgrywki personalne niż kwestie artystyczne. Jednocześnie ten sam Kamienobrodzki pomógł wyciągnąć z Pawiaka znajomego reżysera Witolda Zdzitowieckiego, a także z jego inicjatywy wystawiono w Jarze wspomnianą już przede mną patriotyczną sztukę „Krakowiaci i górale”, czyli „Sen nocy lipcowej” z Barbarą Kostrzewską, Wierczyśławem Glińskim i Andrzejem Szalawskim w obsadzie.

Franciszek Petersile trafił do biertowskiej celi za winy niepełnione?

Ten życiorys pokazuje, jak głęboko zakonspirowani byli niektórzy działacze podziemia. Formalnie piastował stanowisko kierownika administracyjnego w niemieckiej instytucji Film- und Propagandamittel-Vertriebsgesellschaft, zajmującej się m.in. produkcją reklam o charakterze propagandowym, lecz był zarazem specjalnym kurierem Związku Walki Zbrojnej. Choć został aresztowany i przetransportowany do podobozu Auschwitz Monowitz-Buna – skąd udało mu się uciec – to w Polsce Ludowej skazano go na pięć lat więzienia. Petycje matki i córek więźnia nie pomogły w jego uwolnieniu, odsiedział całą karę. Na szczęście po odzyskaniu wolności udało mu się odzyskać pracę w filmie. Był choćby kierownikiem produkcji „O dwóch takich, co ukradli



Aktorka Wanda Orzechowska
vel Szczepańska FOT. NAC

księżyc” z Lechem i Jarosławem Kaczyńskimi w rolach tytułowych. Nigdy nie miał wątpliwości, że padł ofiarą procesu pokazowego.

Wyrachowanie albo naiwność. Co bardziej cechowało Helenę Wielgomasową?

Myślę, że to pierwsze. W międzywojniu była urzędniczką pocztową z artystycznymi ambicjami. Kształciła się w szkole filmowo-scenicznej i baletowej, prowadziła po godzinach teatry dziecięce i okazjonalnie pisywała wierszyki do gazet. W czasie okupacji stała się jedną z najpłodniejszych dziennikarek prasy godzinowej, pisząc opowiadania i wiersze, niejednokrotnie o charakterze erotycznym, dla takich pism jak „Nowy Kurier Warszawski” czy „Fala”. Tworzyła też spektakle dla dzieci i układała teksty piosenek dla warszawskich teatrów jawnych: Maska, Miraż, Kometa, Figaro i Jar. W kwietniu 1944 r. wcieliła się w postać Marii Magdaleny w dramacie religijnym „Męka Chrystusa”, wystawionym na deskach Komedii. Nawróconą grzesznicę doskonale zagrała także w prawdziwym życiu. Po

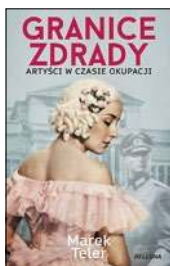
wojnie szczyła się tym, że była sanitariuszką w Sanitariacie Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej „Bakcył”, chociaż – jak wykazał proces w 1948 r. – została przymuszona do pracy wraz z... volksdeutschami. Nigdy jednak nie zdecydowała się na podpisanie volklisty, a swą pozycję u Niemców wykorzystywała do zwalniania ludzi z więzień i przymuso-

wych robót. W zespole dziecięcym teatru Jar ukrywała dwie żydowskie dziewczynki, toteż mimo licznych przewinień nie wydaje się osobą jednoznacznie negatywną. W więzieniu przebywała sześć lat, a po opuszczeniu zakładu karnego utrzymywała się z pracy plastyka dekoratora i prowadziła osiedlowy teatrzyk dziecięcy, sławiący ustrój komunistyczny. Umiiała odnaleźć się w każdym warunkach.

Ewidentnym kolaborantem był za to Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz.

Już pod koniec lat 30. pracował na fatalną reputację, m.in. policzując Antoniego Stonimskiego za wiersz, w którym skamandryta przeciwstawiał się narastającemu w Polsce antysemityzmowi. Prowadził też kabaret literacki Chór Piór; niejednokrotnie atakujący Żydów. Nic więc dziwnego, że kiedy Niemcy zajęli Polskę, od razu wykorzystali „zdolności literackie” Ipohorskiego-Lenkiewicza. Dyspozycyjnego nastawienia wobec nich nie zmienił nawet pobyt w obozie koncentracyjnym w Auschwitz! Odpowiadał za antysemickie broszury czy książkę „Księga losów Europy. Cudowne przepowiednie Nostradamusa roku 1558”, w której zwiastował nieuchronne zwycięstwo III Rzeszy w drugiej wojnie światowej. W maju 1944 r. został zlikwidowany przez Oddział Dywersji Bojowej Żoliborz z wyroku Sądu Specjalnego Cywilnego Okręgu Warszawskiego w ramach akcji „Kośba”, a osobno wyrok śmierci na niego wydał także Wojskowy Sąd Specjalny. Rok wcześniej Ipohorski-Lenkiewicz podróżował wraz z delegacją Polskiego Czerwonego Krzyża do Katynia i – jak wynika z meldunków Polskiego Państwa Podziemnego – był najprawdopodobniej autorem broszury „Katyń” (sygnowanej fikcyjnymi postaciami – Andrzej Ciesielski), ujawniającej prawdę o okrutnym mordzie dokonanym przez NKWD na polskich elitach intelektualnych i wojskowych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



MAREK TELER
„GRANICE
ZDRADY”
BELLONA 2025



Marek Teler – dziennikarz i pisarz, autor książek m.in. „Zagadka Iny Benity”, „Upadły amant. Historia Igo Syma”, „Witold Conti. Każdemu wolno kochać” i najnowszej – „Granice zdrady”.



Grzegorz
Kondrasiuk

Czy będziesz wiedział, na co patrzyłeś?

Najbardziej lapidarny opis książki Jacka Kopcińskiego „Widok z Koziej” brzmiałby tak: krótka, ważna, o teatrze najnowszym. Wydana przez PIW w niewielkim formacie, jest poręczna nie tylko w fizycznym czytelnictwie użytkownikowi, lecz także w lekturze. To zbiór niedługich, felietonowych form napisanych po polsku i językiem zrozumiałym – unikającym nowomodnego bełkotu i naukowego żargonu, ale nie unikającym wyrafinowania.

Jeśli po coś w ogóle uprawia się krytykę teatralną, to zapewne po to: aby była czytana poza branżową „bańką”. Trzeba ją pisać tak, aby sprawdzała się stara, ciągle aktualna definicja Jerzego Stempowskiego: krytyk to ten, który idzie przodem, sprawdzając, w jakich tawernach dają dobre wino, i oznaczając kredą na drzwiach te, do których warto wstąpić. Ale takie „polecajki” – dramatopisarzy, aktorów, reżyserów, teatrów – to zaledwie wstęp, przedsiónek do piekła, gdzie przebywają ludzie myślący, kiedy już otrzępią się z pierwszych wrażeń, wzruszeń i obruszeń. Krytyk jest przecież po to, żeby zapytać: „Czy będziesz wiedział, na co patrzyłeś?”. A skoro już zapożyczyłem się u pewnej badaczki romanizmu, to przeformułuję je jeszcze inaczej: „[...] i w czym brałeś udział?” oraz – co najważniejsze – „[...] i w czym udziału brać już nie zamierzasz?”.

Przepraszam za spojler, ale muszę teraz zacząć od końca. Kopciński zamyka tom artykułem świeżym, jedynym

w zbiorze niefelietonowym, pt. „Krytyk w teatrze krytycznym”. Wykłada w nim jasno swój program, ale zarazem opowiada o sytuacji, w której znalazła się pokaźna liczba widzów teatralnych, częstych trzeciej świeżości eksperymentami, które dziś wygodnie usadowiły się w centrum. Te kilkanaście stron polecam każdemu widzowi po teatralnej „wpadce”, aby następnym razem nie dał się oszukać. Często mi się zdarza, że znajomi, wiedząc, czym się zajmuję, pytają: „Ale jak to?”, czemu towarzyszy wyraz twarzy człowieka podejrzewającego właśnie to – że go nabit w butelkę, i nie chodzi tylko o wyłudzenie gotówki na coraz droższe bilety. „Widok z Koziej” (czyli z okien redakcji miesięcznika „Teatr”, którego autor był naczelnym) to widok na warszawski Teatr Narodowy, ale zarazem na polski teatr narodowy, oglądany w całości, jako instytucja kultury polskiej. Mniej więcej od połowy książki ten obraz ciemnieje, a w jej podsumowaniu Kopciński trafnie stwierdza: „Twórcy postdramatycznych performansów

dosłownie dochodzą do ściany – ze swoimi mikrofonami, kamerami, adaptowanymi na scenie esejami i reportażami, klepanymi mechanicznie didaskaliaми arcydzieł, złą reżyserią, śmiechem prowokowanym parodią, pastiszem i trawestacją dawnych dramatów, wreszcie współpracą z akademickimi dramaturgami/krytykami towarzyszącymi” (s. 320). Kopciński zdaje się tu mówić: teatr pod wpływem nowoczesności zmienia się, ale nie powierzymy tej zmiany politrukowi i dogmatykowi, którzy robią z niego propagandę własnych poglądów (jakoś tak się składa, że zawsze lewicową). Czytane chronologicznie teksty z „Widoku...” z lat 2012–2024 (w oryginalnym kontekście były to wstępniaki do kolejnych numerów „Teatru”) dowodzą, że to już się w dużej mierze stało.

Warto dopowiedzieć genezę tej książki, przekazując „insajderskie”, znane branży teatralnej fakty, które autor dyplomatycznie przemilczał we wstępie. Następnym felietonów nie będzie, bo – na skutek ministerialnego

domykania systemu – Kopciński nie kieruje już piórem i na razie o teatrze pisać nie zamierza. Pod kierownictwem miłośnika, kreatora i kuratora postdramatyzmu, Tomasza Platy, „Teatr” nie jest już drukowanym miesięcznikiem, a portalem internetowym. Bezceremonialnie przechodzi też z pozycji obiektywnego medium w stronę promocji, zajmując się ogłaszaniem „objawień” i kreowaniem „wydarzeń”, czyli krytyką pozorną, wspierającą nurty tak trafnie zdefiniowane w powyższym cytacie.

Mimo wszystko Kopciński wciąż wierzy w sensowną alternatywę. Drogę wyjścia wskazują wciąż możliwe zastosowania czterech klasycznych arystotelesowskich kategorii tworzących teatr w naszej europejskiej tradycji. Nie znaczący to, że mamy sentymentalnie spoglądać wstecz, bo można je uzupełniać ponowoczesnymi zabawkami – dystansującymi, ironizującymi, zawieszającymi iluzję – na co w „Widoku...” podawane są liczne argumenty. Nie zostały unieważnione ani możliwość metafizyki, ani poczucia tragizmu ludzkiej egzystencji, wraz z możliwościami jego oddania w aktorskiej kreacji. W książce nie brakuje zachwytyłów po spotkaniu z takimi fenomenami, tych „urzeczeń”, których autor bynajmniej się nie wstydzi. Jakże to urzeczenia? Niech państwo sprawdzą sami, do których tawern warto wstąpić, a które należy omijać z daleka. ©©



JACEK
KOPCIŃSKI
„WIDOK
Z KOZIEJ”
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY,
WARSZAWA
2025

Ostrze przeznaczenia



Piotr Gociek

Bardziej oryginalny niż „Avatar”, emocjonujący jak „Gra o tron” czy „Szogun” – serial „Wódz wojownik” to wielkie zaskoczenie lata 2025 r.

Dawno, dawno temu, w krainie czterech królestw, przyszedł na świat wielki wódz, który u szczytu sławy porzucił wojenne rzemiosło, by wieść spokojne życie wraz ze swoją rodziną. Jak mówiono w królestwach, „wojna przynosi sławę królom i śmierć niewinnym”, a wódz nie chciał już przelewać krwi. Jednak król, którego porzucił, nigdy o nim nie zapomniał. I wezwał ponownie, gdyż starożytna przepowiednia mówiła o wielkim wodzu,

który zjednoczy królestwa i położy kres wojnom. „Przepowiednia nie wskazuje osoby – mówił król – lecz właściwą chwilę”. I ta chwila nadeszła.

Brzmi to jak prolog to sagi fantasy, ale na ekranie widzimy Hawaje u kresu wieku XVIII. Cztery królestwa obejmują osiem wysp archipelagu, biali goście pozostają wciąż niezwykle rzadkością. Na razie sprawy będą jak zawsze: krucha równowaga militarna jest nieustannie naruszana przez ambicje lokalnych monarchów; każda kolejna inwazja, bitwa, wojna, prowadzi do nakręcenia kolejnej spirali odwetu. Tak było zawsze, tak jest i teraz.

To rozsądne, ale rzadkie postawienie sprawy. Obowiązujący dziś w popkulturze model wygląda inaczej: ludy pozaeuropejskie zawsze żyły w pokoju, w zgodzie z naturą i ze sobą nawzajem; dopiero nadejście Europejczyków, znaczny chciwych kolonizatorów, sprawiło, że

rzeczy tak straszne jak przemoc i wojna zagościły w utopii szlachetnych tubylców. A gdy ktoś, jak Mel Gibson w „Apokalypcie”, pokazuje bezmiar okrucieństwa ludów europejskiej nauce nieznanym, naraża się na zarzuty, że z niego rasista.

KRWAWA BAŚŃ DLA DOROSŁYCH

W serialu „Wódz wojownik” („Chief of War”, 2025) wojna między plemionami zamieszkującymi Hawaje jest stanem naturalnym, nie są tego w stanie zmienić ani pacyfistyczne odruchy wypływające z wyrzutów sumienia, ani negocjacje czy zawieranie kruchych sojuszy przez rodzinne koligacje. Oczywiście pojawia się biały człowiek mocno odmieniony sytuacją, ale nie za sprawą bezpośredniej kolonizacji, lecz przełomu technologicznego. Społeczeństwo walczące dotąd włóczniami i kijami nabijanymi ostrymi muszlami czy kamieniami naraz dostanie do ręki broń palną. To zmieni równo-

wagę sił, ale pomoże także w ocaleniu niezależności. Hawaje przez 100 lat – właściwie cały wiek XIX – zdołały pozostać niezależnym królestwem. Powolny podbój odbywał się nie poprzez najazdy Hiszpanów czy Amerykanów, ale poprzez zmiany demograficzne. Po prostu przez długie lata pokojowej wymiany handlowej na wyspach osiedlało się coraz więcej nie-Hawajczyków. Im było ich więcej, tym łatwiej było o pretekst do interwencji „w obronie praw białej mniejszości”.

Wystawna produkcja Apple TV+ przynosi nas w moment kluczowy dla całej tej historii – tubylcy już spotkali wyprawę Jamesa Cooka (uważają go zresztą za mięczaka), ale jeszcze nie nawiązali szerszych kontaktów z bladokórnymi. Marzenie o zjednoczeniu królestw także nie zostało jeszcze zrealizowane, a przecież proces ten będzie kluczowy dla ocalenia niezależności Hawajów na kolejne 100 lat. Co więcej, choć szybko zapoznajemy się ze szczegółami przepowiedni o herosie, który dokona niemożliwego, to bardzo długo nie mamy pojęcia, kto dokonuje jej właściwej interpretacji.

Zatem: Kogo rzeczywiście czekają wielka przyszłość i sława jednoczyciela? Króla wyspy Maui, Kahakili II, którego gra Temuera Morrison (doskonale znany z sagi „Gwiezdne wojny” z roli łowcy nagród Jango Fetta oraz jego syna i klonów)? A może wezwanego przez niego ponownie na służbę głównego bohatera, wojennego wodza Kaiiana (Jason Momoa, który jest też jednym z autorów całego projektu)? Jeszcze kogoś innego? Młodszego wodza Kamehamehę (Kaina Makua) sztykowanego na przyszłego władcę królestwa Hawaiki? Chętnych jest więcej: skoro przepowiednia ma się ziścić, to wielu chciałoby wypiąć pierś i stać się narzędziem przeznaczenia. Które – jak wiemy z sagi o wiedźminie Geralcie – ma dwa ostrza.

ZLEPEK ANTYKOLONIALNYCH STEREOTYPÓW

Płynnie przechodzę od historii do fantazji i z powrotem, bo taki właśnie jest charakter serialu „Wódz wojownik” – okrutna, krwawa baśń dla dorosłych, a zarazem kawałek autentycznych dziejów archipelagu hawajskiego, bo za kręcenie zabrano się z wielkim pietyzmem,

budując łodzie i chaty takie, jak 200 lat temu; odpowiednio bohaterów odziewając, każąc im mówić archaicznym dialektem hawajskiego, który już nie jest dziś używany, ale został na potrzeby filmowców odświeżony przez specjalistów. Rezultat jest imponujący, wrażenie immersji – pełnego zanurzenia w świat przedstawiony – jest niezwykle.

Powiem więcej – w kategorii czystej rozrywki, budowania emocji owo odwołanie się do historii Hawajów okazuje się lepsze od takiego np. „Avatara”. Opowieść SF Camerona to zlepek stereotypów antykolonialnych na poziomie refleksji z podstawówki, trójwymiarowa i bardzo kosztowna kopia „Tańczącego z wilkami”. Tymczasem pierwszy odcinek „Wodza wojownika” otwarty zostaje przez realistycznie odtworzoną – i świetnie sfilmowaną – scenę polowania gołymi rękami na rekina. I robi to wrażenie dużo większe od wygenerowanych komputerowo cudów z planety Pandora.

No i wszystko to robione jest z rozmachem, jaki znamy z najdroższych produkcji Apple. Szerokie kadry, zapierające dech w piersiach pejzaże, emocjonujące sceny bitewne – to już nie telewizja, to kawałek kina w odcinkach na małym ekranie. Całość liczy dziewięć epizodów i planowana była jako miniseria. Po entuzjastycznym przyjęciu przez widzów, krytyków i... historyków mowa jest już o sezonie drugim i trzecim.

Już widzę podejrzliwość, z jaką część czytelników przyjąć może moją rekomendację: A czy to wszystko nie jest za zbyt politycznie poprawne? Czy nie jest to dowartościowywanie za wszelką cenę ludów prymitywnych i deprecjonowanie cywilizacji Zachodu? Owszem, są tu i takie nuty, ale niezbyt wiele, serial Thomasa Pa'a Sibbetta i Jasona Momoi to nie jest wywiedziona z Rousseau opowieść o szlachetnym dzikusie. Mieszkańcy Hawajów są równie okrutni, krwiożerczy, ambitni, kłamliwi jak biały człowiek – i poniekąd temu właśnie zawdzięczać będą ocalenie suwerenności na kolejny wiek. Bardziej irytujące jest wrzucenie do scenariusza w trzecim odcinku dwóch równoległych romansów homoseksualnych (jednego męskiego, drugiego



„WÓDZ WOJOWNIK”
USA 2025

żeńskigo), które niczego do popychania akcji naprzód nie wnoszą, ale zadowolili, jak rozumiem, mają amerykańskich arbitrować zawartości postępów postępu w telewizyjnej rozrywce.

Ważniejsze w tej całej historii jest jednak coś innego. „Wódz wojownik”, oferując zachwycającą stronę wizualną oraz uczucie autentycznego zadziwienia (jakże trudno dziś o prawdziwy „efekt wow!” w serialach), zajmuje się także pytaniami podstawowymi i bardzo ważnymi. Komu winniśmy lojalność w pierwszej kolejności: społeczności, władzy, religii, rodzinie? Na ile decydować możemy sami o swoim losie, a na ile jesteśmy marionetkami na niewidzialnych sznurkach spajających każdą najmniejszą nawet cywilizację z jej historią, wierzeniami, przepowiedniami, koligacjami, konfliktami dawnymi i obecnymi? Świetnym wehikułem do takich rozważań mogą być i eskapistyczne fantazje, jak „Diuna” Franka Herberta, i opowieści zanurzone w historii, zwłaszcza widzowi mało znanej, więc tym bardziej niezwyklej.

Kolejne odcinki tego serialu otrzymujemy w Apple TV+ w tygodniowych odstępach. Przyznaję, po obejrzeniu pierwszych zacząłem wertować książki historyczne i internetowe źródła, szukając informacji o tym, co tu jest autentyczne, co zostało podkreślone. Zapewniam, że prawdziwa historia była jeszcze bardziej skomplikowana od tego, co oglądamy w „Wodzu wojownik”. Bogatszy o ten research wiem, ku jakiemu finałowi zmierza cała opowieść. Tym bardziej zatem mogę docenić, jak sprytnie scenarzyści mylą tropy, podsuwając nam rozmaitych kandydatów na łotrów i bohaterów. Przy całej egzotyce jest to opowieść bardzo prawdziwa nie dlatego, że etnografowie pomagali twórcom kostiumów w obwieszaniu aktorów odpowiednio odtworzonymi naszyjnikami, ale dlatego, że dotyka prawdziwych mechanizmów: władzy i zderzenia cywilizacji. Tak napisana została cała historia świata; o jednych wydarzeniach wiemy wiele, o innych mało. O dziejach Hawajów dowiemy się tym razem sporo.



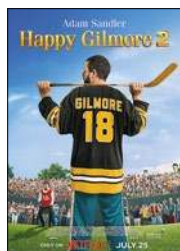
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Farciarz tata



★★★★★

REŻ. KYLE NEWACHECK
„FARCIARZ GILMORE 2”
(„HAPPY GILMORE 2”)
USA 2025

wyst. Adam Sandler,
Julie Bowen, Benny
Safdie

Niemal trzy dekady po premierze „Farciarza Gilmore’a” Adam Sandler powraca jako mistrz golfa sekretnie zakochany w hokeju. Pierwszy film był bajką o młodzieńcu, który zdobywa sławę i piękną dziewczynę, komedią chwilami prostacką. W filmie drugim pojawiają się konserwatywne przesłanie i odrobina refleksji – cóż, Adam Sandler dorósł i jako aktor, i jako ojciec rodziny.

Sandler od mistrzostwa doprowadził gatunek współczesnej komedii żenującej, ale potrafi też grać świetne role dramatyczne („Lewy sercowy”, „Nieszlifowane diamenty”, „Rzut życia”). Nie należy więc mylić Sandlera

twórcy z postacią, którą stworzył na potrzeby komedii i stand-upu: nieco głupekowatym ciamajdą o złotym sercu, któremu wiele udaje się przez przypadek. Gilmore jest inny, zapracował na sławę i szczęście, by potem je utracić. O ile śmierć żony (wydarzenie otwierające akcję drugiego filmu) była nieszczęśliwym wypadkiem, o tyle na resztę katastrof zapracował sam: zbyt często zaglądając do butelki i trwoniąc rodzinny majątek.

„Farciarz Gilmore 2” jest opowieścią o drodze powrotnej. Ale przede wszystkim o rodzinie. Jedno zresztą jest z drugim połączone: zapijaczony przegryw staje znów do gry o duże

Npieniądze tylko dlatego, że chce ukochanej córce zapewnić studia. Wzór ojca? Ani trochę, szybko dowiadujemy się, że cała piątka jego dzieciaków (oprócz córki jeszcze czterech synów) porzuciła własne marzenia, by opiekować się zdruzgotanym śmiercią mamy tatą.

Rodzina jest centrum wszystkiego, tylko ta podstawowa wierność, lojalność i miłość spajają świat Gilmore’a. Z kolei komediowy wątek sportowy (rywalizacja tradycyjnych golfistów z barbarzyńcami pragnącymi unowocześnić szlachetną grę) staje się okazją do wychwalania tego, co dobre, bo staromodne. Old is good, old is cool – nie chodzi tylko o starzejącego się, posiwiatego bohatera. Jego główny przeciwnik to nuworysz bez szacunku dla tradycji, który chce przerobić sport na cyrk rodem z TikToka, ale przede wszystkim cyniczny oszust. Nic więc dziwnego, że dawni przeciwnicy Gilmore’a w drugim filmie stają się jego sojusznikami. Z nowoczesnością łatwiej walczyć razem. ©©

GRA TYGODNIA: „TWIERDZA KRZYŻOWIEC: EDYCJA OSTATECZNA”

Dwa lata temu zadebiutowała edycja ostateczna „Twierdzy” – tym razem do rąk graczy trafia odświeżony dodatek do tej kultowej strategii. Dla wielu graczy „Krzyżowiec” pozostaje ulubioną częścią serii. Fantastyczny klimat krucjat, odbijania Ziemi

Świętej z rąk niewiernych łączy się tu z wymagającą, ale satysfakcjonującą rozgrywką. Rozbudowywanie twierdz, dbanie o zasoby, dowodzenie w bitwach smakują jak przed laty. Remaster zachowuje ducha pierwowzoru, ale przynosi też nową



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

zawartość. Odświeżona oprawa robi wrażenie. Aż chce się znów chwycić za miecz. ©© **Radosław Wojtas**

- **Gatunek:** strategiczne, RTS
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Firefly Studios

Skarb narodowy

KINO

Sarah Bernhardt. Jak długo będziemy o niej pamiętać? Odkąd Paryż przestał być wyrocznią mód wszelakich, znajomość dramatów Corneille'a i wierszy Baudelaire'a leci u nas na łeb na szyję. Podobna dewaluacja może stać się udziałem „aktorki wszech czasów”. Za życia była otoczona powszechnym uwielbieniem, ekstrawagancje i skandale uchodziły jej na sucho. Film, nakręcony 100 lat po śmierci Bernhardt, czyni z niej prototyp dzisiejszych celebrytek. Coś jest na rzeczy: artystka w trosce o swój wizerunek kolaborowała z brukową prasą, rozdawała autografy, a oprócz armii fanów miała legion hejterów. Sypiała w trumnie. Jako zdeklarowana miłośniczka



★★★★★
REŻ. GUILLAUME NICLOUX
„BOSKA SARAH BERNHARDT”
FRANCJA/BELGIA 2024

wyst. Sandrine Kiberlain, Laurent Lafitte, Laurent Stocker

zwierząt, gościła w paryskim apartamencie małpy, dzikie koty, aligatora i węża boa. Ludzi traktowała gorzej. Wykorzystując status gwiazdy, gnębiła reżyserów, scenografów, dramaturgów, o scenicznych partnerach i partnerkach nie wspominając.

Kino biograficzne z reguły grzeszy bylejakością, grawituje w stronę bezpiecznego banału. Nie inaczej jest z „Boską”. Tytułowa heroina, przykuta do łoża boleści,

wspomina dni chwały. Na ekranie pojawiają się napisy typu „20 lat temu” i „tydzień później”, scenarzystka odhacza w kajecie kolejne sławne nazwiska. Zola, Ronstadt, Mucha, Freud zasłużyli na epizody. Hugo, Wilde, Renoir – tylko na wzmianki. Sarah, córka kurtyzany, idzie przez życie z wysoko podniesioną głową. Mówi o sobie: „Jestem skarbem narodowym, powinni mnie trzymać w Luwrze”. Roznosi ją energia, także poza teatrem. Rzeźbi, maluje i kolekcjonuje kochanków płci obojga. Twórcy filmu sugerują, że w głębi duszy była monogamistką. Serce zламаł jej kolega po fachu, który szybko pojął, że bogini nie jest dobrym materiałem na kurę domową.

Sandrine Kiberlain to aktorka wszechstronna, lecz reprezentuje zgoła inny typ urody niż Bernhardt.

Wiarygodność postaci osłabia również to, że wyznaje ona poglądy mile widziane raczej we współczesnej Francji niż w czasach III Republiki. Ekranowa Sarah jest feministką, pomstuje na antysemitów, wierzy w niewinność Dreyfusa i kontestuje karę śmierci. Na szczęście ma fantazję oraz poczucie humoru. Dopóki to się nie zmieni, dopóty Paryż wciąż będzie wart mszy. ©©

Wiesław Chelminiak

BANDA IDZIE!



Czy „Pułkownik Kwiatkowski” był ekspiacją za „Znikąd donikąd”? Pięćdziesiąt lat temu Kazimierz Kutz próbował wejść w buty Andrzeja Wajdy. Zatrudnił kwiat polskiego aktorstwa, muzykę napisał Wojciech Kilar, ale film jest tyleż świadectwem talentu reżysera, co polityki historycznej PRL. Rzecz dzieje się po wojnie. Z gór schodzą uzbrojeni antykomuniści z opaskami rozwiązanej już AK, by przekonać się, że „kochani rodacy mają ich w dupie”. Zdesperowani mordują, gwałcą, chleją wódkę i żebrają o papierosy. Niektórzy mogą wzbudzać współczucie, lecz wszyscy znaleźli się po złej stronie historii (którą wszak piszą zwycięzcy). Nawet ksiądz ma ich za złoczyńców. Zniesmaczony Anglik namawia sowieckiego „doradcę”, żeby zrobił porządek z polską anarchią. Scena gry w karty udała się Kutzowi nad podziw. Cała reszta tumani i przestrasza. ©©



★★★★★
REŻ. KAZIMIERZ KUTZ
„ZNIKĄD DONIKĄD”
POLSKA 1975

wyst. Jerzy Trela, Olgierd Łukaszewicz, Leonard Pietraszak

DO ZOBACZENIA

Kuszenie Witkacego



RADOSŁAW WOJTAS

Zadeklarowany ateista, ale wychowany w tradycji chrześcijańskiej, obcujący z nią nieustannie, odnosił się do niej w swojej twórczości. Robił to Stanisław Ignacy Witkiewicz w sposób kontrowersyjny, bywało, że prześmiewczy, który mógł bulwersować. Wiódł życie, o którym przy konfesjonale mógłby opowiadać godzinami. A jednak wystawiany jest w takim miejscu jak Muzeum Archidiecezji Warszawskiej.

„Warto nie poprzestawać na powierzchniowym ich [dzieł Witkiewicza] oglądaniu, lecz spróbować wejść w ten świat, który pozwoli odkrywać nowe, często zaskakujące treści” – pisze kurator wystawy Anna Żakiewicz. Autorska wizja walki z pokusami tudzież ulegania im jest widoczna w twórczości „Witkacego”, choćby w obrazie „Stworzenie świata” i cyklu „Kuszenie św. Antoniego”. Erotyka, targnięcie się na swoje życie, poku-



FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ

sy nałogów, zażywanie substancji zmieniających świadomość – z tym wszystkim zetknął się „Witkacy”, to wszystko znajduje odbicie w jego twórczości.

Na wystawie prezentowanych jest dziewięć oryginalnych prac Witkiewicza, pozostałe prace ze względów konserwatorskich zastąpiono artystycznymi faksymilami. ©©

GDZIE? Muzeum Archidiecezji Warszawskiej
KIEDY?
 do 21 września

MOJA PÓŁKA

Bob Dylan – więcej niż poeta



KRZYSZTOF
MAŚŁONA

Bob Dylan ma 84 lata. Sześćdziesiąt lat temu na scenie folkowego festiwalu w Newport z gitarą elektryczną w ręku przy akompaniamencie najgłośniejszej muzyki, jaką kiedykolwiek słyszano w tym miejscu, wykrzykuje pierwszy wers „Maggie’s Farm”. Co się dzieje potem, jest już mitem. Czy 17-tysięczna publiczność milknie czy przeciwnie – wyje, do końca nie wiadomo, czy zachwycona czy zagniewana? Pete Seeger, guru festiwalu, legenda amerykańskiego folku, szuka ponoć siekiery, by poprzecinać kable, tymczasem Dylan już pyta:

*Więc jak to jest
no, jak to jest
gdy w krąg pusto tak
gdy dom daleko masz
i przezczystą twarz
jak błędzący łach?*

Mike Bloomfield i Al Kooper grają kto wie, czy nie najbardziej znaczący numer w całej historii rocka – „Like a Rolling Stone”. To, że Bob Dylan zagra jeszcze na tym koncercie na gitarze akustycznej, nie ma już najmniejszego znaczenia. Coś się skończyło, coś się zaczęło. A Dylan – dla jednych odtąd wielki zdrajca, dla drugich wielki reformator – „zelektryfikuje” się, co z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się może drugorzędne, ale wszystko wskazuje na to, że właśnie wtedy dla ogromnej rzeszy swoich odbiorców, głównie, choć niewyłącznie młodych, stał się – jak pisze Elijah Wald w wydanej właśnie po polsku książce „Bob Dylan i muzyczna rewolucja” – „kimś więcej niż muzykiem, więcej niż poetą, z całą pewnością więcej niż dostarczycielem rozrywki. Był Zeitgeistem, duchem czasów”.

Ta właśnie książka znanego amerykańskiego dziennikarza

muzycznego, zresztą tak jak Dylan także muzyka folkowego i także żydowskiego pochodzenia, posłużyła za inspirację i w pewnej mierze kanwą Jamesowi Mangoldowi w realizacji jego filmu „Kompletnie nieznany” z Timothéem Chalametem w roli twórcy „Blowin’ in the Wind”.

Tak jak „Blowin’ in the Wind” stawia pytania, na które niepodobna znaleźć odpowiedzi („Przez ile dróg musi człowiek przejść / Zanim człowiekiem go nazwiesz”), tak książka Walda nie wyjaśnia nam żadnej z zagadek życia i twórczości Roberta Allena Zimmermana z Minnesoty, którego dziadkowie ze strony ojca przybyli do Ameryki z Odessy w początkach zeszłego wieku, a pradiadkowie mamy – z litewskim rodowodem – zjawili się tam mniej więcej w tym samym czasie. On sam z nazwiskiem definitywnie pożegnał się w roku 1962. I odtąd był już tylko Bob Dylan, przyszedł – jak miało się okazać – laureat Oscara, Grammy (osiem razy), Pulitzera i, na okrasę, Nobla.

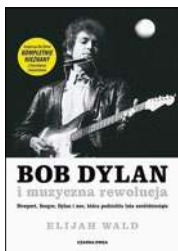
Jego utwory wykonywali wszyscy, znamy je zresztą lepiej z innych niż autorskie interpretacji, że przypomnę tylko „Like a Rolling Stone” Stonesów, „Knockin’ on Heaven’s Door” Guns N’ Roses czy „All Along the Watchtower” Hendrixa. A już „Blowin’ in the Wind” czy „The Times They Are a-Changin’” śpiewali wszyscy. Co prawda, taki np. Mick Jagger utrzymywał, że sam Dylan robił to najlepiej, ale była to czysta kurtuazja, jako że manieryczny śpiew Dylana jako żywo przypominał beczenie kozła, a wirtuozem gitary, a i harmonijki, na której grywał z upodobaniem, też z pewnością nie był. Ale to on przekonał wreszcie Amerykanów (Europejczycy wcześniej na to wpadli), że tekst jest w piosence

równie ważny jak muzyka i dobrze jest, gdy mówi o czymś ważnym, a nie o dupie Maryni. Z tym że jeśli chodzi o zrozumienie jego songów, to swego czasu istotę sprawy uchwycił Jacek Kaczmarski, pisząc w „Epitafium dla Boba Dylana”:

*Twoją żywią się krwią
I zonglują słowami twych pieśni
Lecz nic nie śni się im
A najlepiej wiesz że
Nie istnieje wszak to co się nie śni.*

Książka Elijah Walda ze znaczącym podtytułem „Newport, Seeger, Dylan i noc, która podzieliła lata sześćdziesiąte” pokazuje przy okazji podglebie tego, na czym wyrosła amerykańska kontrkultura lat 60., to wszystko, co było wcześniej. A warto wiedzieć, że artystyczny mentor Dylana – Pete Seeger – w czasach miłości Hitlera i Stalina sprzeciwił się udziałowi Stanów Zjednoczonych w wojnie, za obrazę Kongresu podczas zeznań przed Komisją Izby Reprezentantów do spraw Działalności Antyamerykańskiej dostał rok i jeden dzień więzienia, co uczyniło go męczennikiem, a jego płyta „Talking Union”, nagrana z formacją nazwaną The Almanac Singers, była – czytamy – „w każdym postępowym domu wraz z podobnymi dziełami Guthriego, Paula Robesona, Joshua White’a i Chóru Armii Czerwonej”.

No dobrze, ale co ma z tym wspólnego Dylan? Może to, że w odpowiedniej chwili zmienił swój image, podłączył gitarę do wzmacniacza i – jak powiada Wald – „wykrzyczał odczuwane przez nas osamotnienie”. Gdyby tak się nie stało, smędziłby rzewne dumki o ludziach ciężkiej pracy, solidarności i grożącym zewsząd faszyzmie. Oczywiście faszyzmie amerykańskim. Na szczęście stało się inaczej. Odezwał w nim się bowiem Zeitgeist. ©



★★★★★
ELIJAH WALD
„BOB DYLAN
I MUZYCZNA
REWOLUCJA”
CZARNA OWCA,
WARSZAWA 2025



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

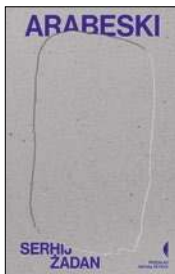
Ciemność i śmierć

Mniej znaczący więcej. Drobne epizody w dużym zbliżeniu poruszają bardziej niż wielkie sceny batalistyczne. Dwóch przyjaciół wywozi trupa sąsiadki, która zamarła we własnym mieszkaniu. Szefowie korporacji rozmawiają o pracy dla niewidomego weterana. Rodzina i przyjaciele zabitego oficera żegnają go w cerkwi; na uboczu stoi jego kochanka, z którą dzielił los frontowego żołnierza (to zresztą najlepsze opowiadanie w tomie, proza wybitna: „Wtedy Bóg wezwie kobietę”). Dawni kumple odwiedzają boisko, na którym nikt już nie gra. Przypadkowi znajomi wynajmują hotelowy pokój, lecz zamiast oddawać się miłośnikom, po prostu po raz pierwszy od dawna mogą spokojnie zasnąć, bo obok jest drugi człowiek.

Miniatury, ironicznie nazwane przez Żadana „Arabeskami”, przeplatają się ze sobą – bohaterowie różnych opowiadań czasem okazują się znajomymi, niekiedy obserwują tę samą scenę, ale z innej perspektywy. Na wojnie wszystko się łączy, ale też wszystko się rozpada. Najważniejsza jest bliskość, bo nie pozwala zwariować, ale najważniejsza jest osobność,

bo zwiększa szanse na przetrwanie. Tych antynomii jest więcej, najważniejsze jest przeciwstawienie światła – ciemność, motyw światła (zapalnego, gaszonego, braku światła) jest tu wszechobecny. Chodzi o coś więcej niż widzenie i niewidzenie. Ciemność niosą ze sobą ci, którzy wracają na chwilę z wojny do domu. „Ciemność, której nie widziała, ale którą czuła. Ona ma sens. Ona poruszała nim, ona przez niego przemawiała”. A jasność to być może przyszłość. Być może, bo świat jest kruchy, pęka pod bombami, pod obojętnością, pod rozpaczą. Przyszłość, która nie musi być świetlista, wystarczy, by było to „coś, co nie bardzo cieszy, ale i nie przeraża”.

Dwanaście króciutkich opowiadań pisarza, który po rosyjskiej agresji prowadził przez ponad rok dziennik życia Charkowa pod ostrzałem, koordynował transporty humanitarne, podróżował za granicę, zbierając pomoc finansową. A od czerwca roku 2024 z bronią w ręku walczy na froncie. I wciąż pisze, daje świadectwo. I patrzy na śmierć. „Jest naprawdę wielka, rzuca zimny, ciężki cień, nakrywa wszystkich mrokiem i wilgocią”. ©©



★★★★★
SERHIJ ŻADAN
„ARABESKI”
CZARNE 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czym kończy się nadmiar informacji i jej kult? „Wiedza moralna wszędzie przeżywa poważny regres”. Zbiór proroczych szkiców belgijskiego filozofa, który pół wieku stawiał celne diagnozy choroby toczonej cywilizacją Zachodu.



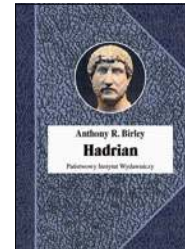
MARCEL DE CORTE
„CZŁOWIEK PRZECIWKO SAMEMU SOBIE”
ANDEGAVENUM

„Włoczyłem się dziś po mieście, jak to jest w moim zwyczaju” – zapisał Goethe w Neapolu 12 marca 1787 r. Cygan latami włoczył się po Italii śladami „Podróży włoskiej” niemieckiego poety. A co widział – opisał z miłością.



JACEK CYGAN
„CIAO, GOETHE!”
MARGINESY

Najobszerniejsza i najgłębsza z poważnych biografii cesarza przez część historyków uważanego za najwybitniejszego władcę starożytnego Rzymu. Na pewno nikt inny bardziej od niego nie dbał o rozwój prowincji imperium.



ANTHONY R. BIRLEY
„HADRIAN”
PIW

Zapomniana klasyka grozy: tom opowiadań o duchach brytyjskiego autora aktywnego twórczo głównie w pierwszych trzech dekadach XX w., znanego dotąd w Polsce z pojedynczych opowiadań w antologiach. ©©

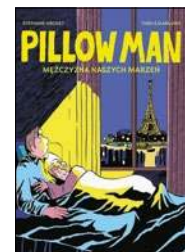


ALFRED MCLELLAND BURRAGE
„KOSZMARNY DOM”
ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: NA DOBRANOC

Fabuła pasowałaby zarówno do komedii romantycznej, jak i gorzkiej przypowieści o atomizacji współczesnego świata, którym rządzi samotność: francuscy twórcy bliżsi są tej pierwszej wersji. Tytułowy „pillow man” to mężczyzna do wynajęcia. Dla tych, których nęka bezsenność, gdyż... nie



STÉPHANE GRODET, THÉO CALMÉJANE
„PILLOW MAN. MĘŻCZYZNA NASZYCH MARZEŃ”
EGMONT 2025

mają się do kogo przytułić. No i po co było rozwałać tradycyjny model rodziny? ©©

Piotr Gociek



Michał Krupa

Każdy, kto odważy się mówić dziś o potrzebie rozmowy z Rosją, naraża się na oskarżenia o prorosyjskość, uległość, a nawet agenturalne powiązania z Moskwą. Tymczasem największym aktem suwerenności jest umiejętność działania wbrew zewnętrznym oczekiwaniom, w interesie własnego państwa

W polskiej polityce zagranicznej od lat obowiązuje dogmat: z Rosją się nie rozmawia. Rosję się izoluje, piętnuje, a każda próba trzeźwego spojrzenia na relacje z tym państwem uważana jest za kapitulację lub zdradę. W świecie, w którym emocje coraz częściej zastępują myślenie strategiczne, może warto sięgnąć do historii. Bo właśnie historia uczy, że największe przełomy w relacjach z Moskwą osiągnęli nie miękcy liberałowie, lecz twardzi konserwatyści. Richard Nixon i Ronald Reagan – jastrzębie, którym nikt nie zarzuciłby sympatii do komunizmu – potrafili rozmawiać z Sowietami. I zmieniali historię.

Czy prezydent Nawrocki, jako przywódca z wyrazistym zapleczem ideowym, mógłby pójść ich śladem?

W 1972 r. świat zamarł, gdy Richard Nixon wylądował w Pekinie. Największy antykomunista Ameryki, senator, wiceprezydent u boku Dwighta Eisenhowera, który zbudował swoją karierę na walce z lewicą i ZSRS, jako pierwszy prezydent USA odwiedził komunistyczne Chiny. Nie dlatego, że zmienił poglądy. Wprost przeciwnie – właśnie dlatego, że ich nie zmienił, ale rozumiał wagę geopolityki i interesu narodowego. Ta wizyta, a także otwarcie dialogu z Moskwą, zakończone podpisaniem układu SALT I, były początkiem końca pierwszego etapu zimnej wojny.

Ronald Reagan – ikona amerykańskiej prawicy, symbol nieprzejednania wobec

Moskwy – nazwał w 1983 r. Związek Sowiecki „imperium zła”. Jednak pięć lat później, w 1988 r., w Moskwie powiedział dziennikarzom: „To były wtedy inne czasy, dziś nie sądzę już, by ZSRS był imperium zła”. Mimo krytyki neokonserwatystów podpisał traktat INF, który likwidował całą kategorię broni nuklearnej średniego zasięgu w Europie. Reagan nie zrezygnował z wartości, ale pokazał, że wartościami są również pokój i bezpieczeństwo. Prawdziwy stosunek Reagana do Rosji był złożony: oparty na zasadniczej opozycji, lecz kierowany Realpolitik, gdy pojawiała się ku temu sposobność, oraz zdolnością odseparowania bolszewizmu od prawosławnej duszy rosyjskiej.

Prezydent Nawrocki, wywodzący się z IPN, mający za sobą lata działań w obronie pamięci historycznej i walki o prawdę o komunizmie, nie potrzebuje udowadniać swojej tożsamości ideowej. Jego „jastrzębi” mandat daje mu wyjąt-

cyjami i moralną presją, jest złudzeniem. Tymczasem żadne państwo w Europie Środkowo-Wschodniej nie ponosi dziś takich kosztów wojny jak Polska. Od destabilizacji rynku pracy, przez napięcia społeczne, aż do rosnących zagrożeń hybrydowych.

To właśnie w takim kontekście głowa państwa, niezależna od układu partyjnego i kampanii wyborczych, mogłaby odegrać historyczną rolę. Nawrocki – bez ciężaru bieżącej polityki, ale z silnym mandatem ideowym – mógłby zaproponować kierunek zrównoważony: kontynuację humanitarnej pomocy dla Ukrainy, ale z równoległą inicjatywą odbudowy kanałów dyplomatycznych z Moskwą, na warunkach polskiej racji stanu.

Największym błędem ostatnich lat była polityka życzeniowa: że Rosja się zawałi, że Kreml upadnie, że przyjdą demokratyczne elity i odmienią kurs. To projekcja marzeń, nie polityka. W rzeczy-

Wschodnia szansa

kową szansę: może otworzyć drzwi do racjonalnej, chłodnej polityki wschodniej. Nie na kolanach, nie z pozycji słabości, ale właśnie z pozycji słuszności własnych przekonań – tej samej, którą miał Reagan, gdy siadał z Gorbaczowem do stołu.

Nie chodzi o reset ani o kapitulację. Chodzi o realizm – zrozumienie, że Polska, by przetrwać jako państwo bezpieczne i suwerenne, musi realizować własną politykę, a nie tylko wyrażać moralne oburzenie i trwać w stanie permanentnej konfrontacji z Moskwą. Nie może być wyłącznie agitatorom interesów amerykańskich ani stroną emocjonalnego konfliktu na wyniszczenie. Musi być graczem.

PORZUCIĆ ROMANTYZM, PRZYWRÓCIĆ GEOPOLITYKĘ

Obecna linia Warszawy wobec Moskwy przypomina romantyczne zrywy, a nie twardą kalkulację. Wyobrażenie, że Rosję da się pokonać wyłącznie sank-

wistości państwo rosyjskie – słabe czy silne – przetrwa. Nic też nie wskazuje na to, aby Władimir Putin wybierał się na emeryturę. Polska zaś powinna mieć z nim kanały komunikacji choćby po to, by reagować na kryzysy, zabezpieczać granice, negocjować sprawy humanitarne, a w dalszej perspektywie – budować fundament pod przyszłe stabilne relacje sąsiedzkie. Nie chodzi o sympatię. Chodzi o przetrwanie w świecie bez złudzeń.

Tymczasem każdy, kto odważy się mówić dziś o potrzebie rozmowy z Rosją, naraża się na oskarżenia o prorosyjskość, uległość, a nawet agenturalne powiązania z Moskwą. Tymczasem największym aktem suwerenności jest umiejętność działania wbrew zewnętrznym oczekiwaniom, w interesie własnego państwa. Prezydent Nawrocki ma szansę pokazać, że Polska potrafi być podmiotem – nie wasalem czekającym tylko na instrukcje z Waszyngtonu lub Brukseli.

Taka polityka wymaga odwagi, konsekwencji i świadomości, że historia ocenia

nie intencje, lecz skutki. Reagan i Nixon byli krytykowani, ale dziś pamiętani są jako ci, którzy umieli zakończyć konflikty, i wielcy mężowie stanu. Nawrocki może przejść do historii jako prezydent, który – nie rezygnując z pryncypiów – przywrócił Polsce polityczne manewrowanie w realiach zimnej wojny 2.0, tak jak to czynią obecnie Słowacy, Węgrzy czy Turcy.

Weźmy Słowację, gdzie demokratycznie wybrany rząd Roberta Ficy otwarcie głosi, że interes Słowacji nie polega na przedłużaniu wojny za wszelką cenę, lecz na działaniach dyplomatycznych, które prowadzą do stabilizacji i pokoju. Słowacy, choć pamiętają o interwencji wojsk Układu Warszawskiego w 1968 r., potrafią oddzielić historię od teraźniejszości i pragmatycznie chronić swoje zasoby, armię i suwerenność decyzji.

Podobnie Węgry – państwo, które w 1956 r. doświadczyło brutalnej sowieckiej interwencji – prowadzą

Natomiast na spodziewane zarzuty ze strony liberałów i lewicy, że takim ruchem prezydent „ulega Moskwie”, warto przypomnieć słowa obecnego sternika politycznej emanacji liberalizmu w Polsce, premiera Donalda Tuska, wypowiedziane w 2008 r.: „Polska osłabia swoją pozycję tak długo, jak jest awangardą niechęci do Rosji”.

Choć zgodnie z konstytucją RP politykę zagraniczną prowadzi Rada Ministrów, a główne decyzje w tej sferze należą do rządu i ministra spraw zagranicznych, to nie oznacza to, że prezydent jest postacią symboliczną. Wręcz przeciwnie – prezydent, jako głowa państwa, może nadawać ton debacie publicznej, przemawiać z autorytetem i inicjować kierunki refleksji strategicznej, które z czasem mogą zyskać poparcie instytucjonalne.

To właśnie prezydent ma możliwość organizowania konferencji międzynarodowych, debat na wysokim szczeblu, spotkań z ekspertami i przywódcami,

Polska potrzebuje dziś polityki zagranicznej, która przestanie być funkcją lęków i sloganów

von Bismarck, jeden z architektów europejskiej równowagi sił i świadek burzliwej historii kontynentu, miał w 1863 r. wyrazić myśl, która powinna stać się probierzem również dla Polski: „Sekret polityki? Zawrzeć dobry traktat z Rosją”.

W kontekście zbliżającego się szczytu Trump-Putin na Alasce coraz wyraźniej widać, że nadchodzi moment możliwego przełomu w wojnie na Ukrainie. Jeżeli Moskwa i Waszyngton rozpoczną realne negocjacje, to może to oznaczać początek końca tego konfliktu. Warto zaznaczyć, że oprócz wojny na Ukrainie rozmowy też będą dotyczyły stosunków bilateralnych, czyli tych, których kompletnie brakuje na linii Warszawa – Moskwa. Choć nie wiemy jeszcze, jakie będą ostateczne skutki nadchodzącego szczytu na Alasce, to sam fakt, iż obie strony rozmawiają, a przywódcy USA i Rosji pozostają w stałym kontakcie, świadczy o dojrzałości dyplomatycznej obu ekip. Niestety, Polska w obecnym układzie odgrywa jedynie rolę biernego obserwatora, ograniczając się do powielania stanowiska Brukseli czy Berlina. Brakuje własnej, wyrazistej agendy i strategii, która uwzględniałaby zarówno nasze bezpieczeństwo, jak i długofalowe interesy gospodarcze oraz polityczne w regionie. Prezydent Nawrocki, jeżeli chciałby zapisać się w historii, powinien wykorzystać tę okazję, by wyjść poza dyplomatyczną kalkę i przedstawić plan, który uczyni Polskę aktywnym, a nie reaktywnym graczem w procesie układania nowej architektury bezpieczeństwa w Europie.

Jeśli Ronald Reagan mógł uznać w 1988 r., że ZSRS nie jest już imperium zła, to znaczy, że dialog nie wyklucza pryncypiów. Przeciwnie – wymaga ich, by był skuteczny. I właśnie dlatego Polska za przyczyną nowego prezydenta powinna rozważyć nowy kierunek. Bo ostatecznie tylko polityka suwerenna zastępuje na miano wielkiej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Nawrockiego

niezależną politykę wschodnią, nie zamykając się na dialog z Rosją, a zrazem zachowując członkostwo w UE i NATO. Władze w Budapeszcie potrafiły ochronić węgierską gospodarkę przed skutkami radykalnych sankcji, nie ponosząc przy tym kosztów ludzkich i materialnych na skalę, której doświadcza dziś Polska (według najnowszych obliczeń jest to kwota 368–399 mld zł, co stanowi ok. 9–10 proc. PKB).

Niezwykle wyrazistym przykładem jest również Turcja – państwo członkowskie NATO, a jednocześnie partner Rosji w dziedzinie energetyki, handlu, a nawet dyplomacji (patrz: rola Ankary w rozmowach na temat eksportu zboża z Ukrainy i mediacje pokojowe między Moskwą a Kijowem). Mimo historycznych konfliktów z Rosją Turcja nie pozwoliła się wciągnąć w konfrontacyjną spiralę – budując własną, autonomiczną politykę regionalną, której podstawami są suwerenność decyzji i elastyczność manewru.

stając się architektem nowych idei i platformą rozmowy, której nie da się zignorować. Właśnie taka funkcja – bardziej intelektualna i koncepcyjna niż wykonawcza – może okazać się dziś najważniejsza.

PEWNOŚĆ WŁASNEGO STANOWISKA

Jeśli więc prezydent Nawrocki zdecyduje się skorzystać z tej przestrzeni, to może w sposób pośredni, lecz realny, wpłynąć na przyszły kształt polskiej polityki wschodniej, a nawet poszerzyć margines suwerenności polskiej dyplomacji.

Polska potrzebuje dziś polityki zagranicznej, która przestanie być funkcją lęków i sloganów. Potrzebuje męstwa – nie tylko na polu bitwy, lecz także przy stole rozmów w sztuce uprawiania dyplomacji. Prezydent Nawrocki, ze swoją reputacją obrońcy wartości, ma unikalną szansę: zbudować most – nie z naiwności, lecz z pewności własnego stanowiska. Otto



Flaga banderowska eksponowana przez publiczność na koncercie Maksy Korza w Warszawie
FOT. KONFEDERACJA-LIMANOVA/FACEBOOK

Kto się gniewa, komu smutno?



Dariusz Wieromejczyk

Teoretycy demokracji twierdzą, że sensem jej działania jest budowanie mechanizmu wytwarzania i ucierania w działaniu różnorodnych alternatyw politycznych. Tymczasem polskie elity od stulecia wmawiają Polakom, że dla najważniejszych w naszej historii decyzji nigdy alternatywy nie było

Bardzo ciekawe reakcje wywołała najnowsza burda, urządzona przez młodych Ukraińców na Stadionie PGE Narodowym w Warszawie. Sprowokowali tam oni bijatykę ze służbami porządkowymi, wymachując

przy okazji czerwono-czarnymi flagami UPA i innymi emblematami odnoszącymi się do tej zbrodniczej organizacji. Trudno odnieść wrażenie, by były to dla ukraińskiej publiczności symbole obce. Choć polska klasa polityczna i uczeni eksperci przekonywali nas do niedawna wytrwale, że kult dla dokonania UPA jest na Ukrainie zjawiskiem marginalnym i rzadkim jak niedźwiedzie w Karpatach, to najwyraźniej mijali się oni z prawdą. Trzeba przy tym zaznaczyć, że ekscesy na warszawskim stadionie nie różniły się od obrazków, jakie zobaczyć można na koncertach innych ukraińskich zespołów w Polsce. O imprezach masowych odbywających się na Ukrainie nawet wspominać nie warto. Kult Stepana Bandery i Romana Szuchewycza jest wśród naszych sąsiadów powszechny, a co gorsza – intensywnie propagowany przez władze.

Ludzie, współtworzący w ostatnich latach polską politykę zagraniczną, zaczęli

się w tej sytuacji zachowywać niczym wycieczka pensjonarek, niespodziewanie otoczona na prerii przez plemię Indian. Jedni, niczym były ambasador RP w USA Marek Magierowski, poczuli wściekłość. „Setki sprawnych fizycznie Ukraińców w wieku poborowym, wczoraj wieczorem na koncercie w Warszawie. Z dumą eksponowali czerwono-czarną flagę nacjonalistyczną, co jest oburzającą zniewagą dla większości Polaków. Jako polski ambasador w USA zaciekle broniłem sprawy ukraińskiej w Waszyngtonie. Teraz jestem naprawdę wściekły” – poskarżył się dyplomata.

BRAK PONOSZENIA KONSEKWENCJI

Wydawać by się mogło, że od osoby „zaciekle broniącej sprawy ukraińskiej w Waszyngtonie” moglibyśmy oczekiwać rozbudowanych wyjaśnień, a nawet przypomnienia ciągu decyzji, które doprowadziły naszą politykę wschodnią na skraj tak spektakularnego bankructwa. Po co to jednak komu? Zdziecinniałe społeczeństwo nie wymaga od swoich przedstawicieli racjonalnych analiz. Wymaga emocji. Ambasador opowiada więc o tym, że jest na Ukraińców „naprawdę wściekły”. Być może straci z tego powodu apetyt lub nabawi się problemów ze snem? Z pewnością powiadomi o tym media na czas. Podobnie były prezydent Andrzej Duda – on również wspominać zaczął publicznie o swoim oburzeniu na „ukraińską niewdzięczność”. Zamiast snuć poniewczasie rojenia o zamknięciu dla „sojuszników” lotniska w Rzeszowie, powinien on urządzić z Markiem Magierowskim konkurs groźnych min, w którym dyplomata lingwista wściekle by zgrzytał zębami, a prezydent Duda groźnie wydymał policzki. Inni nasi eksperci – jak choćby prof. Andrzej Nowak – od miesięcy wzruszają internetową publiczność rzewnymi opowieściami o uczuciach zawodu i smutku – odczuwanymi boleśnie wskutek małostkowości i niewdzięczności ukraińskiej elity politycznej.

Czy można wyobrazić sobie sytuację, w której niemieckie klasy wyższe, po załamaniu się planu Schlieffena, pozwalają Helmutowi von Moltkemu opowiadać na prawo i lewo, że co prawda kampanię nad Marną przegrał, lecz jest mu z tego powodu niezmiernie ponuro, co może się skończyć depresją? Czy w efekcie ban-

kructwa polityki „appeasementu” premier Neville Chamberlain odbywał ze współpracownikami rajdy po redakcjach prasowych, opowiadając o stanach swej duszy, miotanej pomiędzy rozpaczą, rozczarowaniem i gniewem? Politycy i eksperci, których prognozy okazały się nietrafione, a decyzje fatalne w skutkach, ponoszą, w normalnych warunkach, konsekwencje swoich pomyłek. W Polsce, gdzie pójdzie, po „zawaleniu w robocie”, „na chorobowe” jawi się powszechnie jako kara najgorsza i ostateczne zmycie wszelkich popełnionych przewin, takiego rodzaju pojękiwania i fuknięcia całkowicie ludowi wystarczą. Ambasador się gniewa, prezydent oburza, profesorowi jest smutno. Co więcej można zrobić? Wyrwać sobie serce z piersi?

PODNIOSŁE SŁOWA

Lamentowaniu o stanach swej duszy towarzyszą zazwyczaj zapewnienia, że wszelkie podejmowane decyzje nie miały alternatywy. Polska elita polityczna robi to z wprawą, z jaką dżygici jeździli konno. Bezalternatywna była, zdaniem Jarosława Kaczyńskiego, polityka covidowa, bo „pole-

cenia wydawali lekarze”. Według Mateusza Morawieckiego nie było alternatywy dla Zielonego Ładu, bo w Brukseli jest on „traktowany jak religia”. Nie było alternatywy dla członkostwa w Unii Europejskiej – partia PiS potwierdziła to nawet uchwałą. Dziś także jej nie ma – dla „najściślejszego sojuszu z USA”, o wsparciu Ukrainy nie wspominając. Od co najmniej 20 lat jedyną różnicą pomiędzy partią aktualnie rządzącą a jej naprzemienną opozycją jest to, że rządzący wykonują polecenia „sojuszniczych” ambasad w 100 proc., a opozycja obiecuje, że wykona je nawet w 200 proc.

Teoretycy demokracji twierdzą, że sensem jej działania jest budowanie mechanizmu wytwarzania i ucierania w działaniu różnorodnych alternatyw politycznych. Tymczasem polskie elity od stulecia wmawiają Polakom, że dla najważniejszych w naszej historii decyzji nigdy alternatywy nie było. Doskonały tego przykład stanowią wrzesień roku 1939 i Powstanie Warszawskie. Poddani takiej pedagogice Polacy, na przestrzeni ostatnich stuleci, większość fundamentalnych decyzji nauczani zostali traktować

jako konieczności bezalternatywne, które, z racji pryncypiów, należało bezwzględnie podjąć. Ten moralizujący determinizm sprowadza sprawczość wyborców do roli wytartego fraczka, zakładanego przez historyczną konieczność.

Wdrażanie w życie decyzji, „które były jedyne możliwe”, zostawić trzeba, przy takim sposobie myślenia, garstce mobilizujących elektoraty, bo rozemocjonowanych do granic hysterii, politycznych celebrytów. Zrozumienie „konieczności historycznej” zapewni obywatelom wąskie grono profesorów historii, wspomagane przez literatów, filmowców i bardów. Ci zdołają nam podniosłymi słowami wyjaśnić, że kiedy setki przyjętych do naszej ojczyzny młodych mężczyzn, zamiast walczyć w obronie swego kraju, wymachują przed naszymi nosami symbolami ludobójstwa Polaków – pozostaje nam jakiś wybór. Możemy np. ogłosić, że się na nich „naprawdę gniewamy” albo że jest nam z tego powodu „bardzo smutno”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

„DUCH BANDERY NAD WISŁĄ” NA STR. 58

REKLAMA

67 lat
historii filmu
2536 wydań

Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej

Filmopedia 
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





Mapa Polski i Śląska z XVII w.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Komu przeszkadza polskości Śląska?



Marcin Skalski

Specyfika Śląska, w tym miejscowe gwary, bezspornie stanowi narodowe bogactwo Polski. Polityka państwa powinna to dziedzictwo zachowywać, rozwijać i upowszechniać. Ponadto należy położyć kres uroszczeniom tych, którzy konfrontują Śląsk z resztą kraju, a na śląskości bezpodstawnie roszczą sobie monopol

W dyskursie naukowym nie mało jest opinii, że współcześnie wykształcił się jako odrębny od polskiego język śląski. Od dawna istnieje też grupa ludzi uważających się za członków osobnego śląskiego narodu. Uzurpacją jest jednak postulowany monopol grup separujących się od Polski na pojęcie śląskości. W rzeczywistości dziedzictwo i kultura Śląska należą do nas wszystkich, a jego spuścizna jest nasza nie od dziś i nie od wczoraj.

GERMANIZACJA

W styczniu 1741 r. Prusacy po zwycięskim konflikcie zbrojnym z Austrią, zwanym pierwszą wojną śląską, wkraczają do Wrocławia. Jest to epokowe wydarzenie w dziejach Śląska, niemal cały region znajduje się odtąd pod władzą prote-

stanckiej monarchii Hohenzollernów, której unifikacyjne dążenia nie pozostaną później bez wpływu na miejscową ludność polską.

Jeszcze w roku 1787 na całym Śląsku pruskim ludność polska liczy 402 tys. osób, z czego 100 tys. mieszka na Dolnym Śląsku. W 1791 r. Johann G. Schimmel, wieloletni prorektor wrocławskiego Gimnazjum św. Marii Magdaleny, wnioskuje po odbyciu podróży po regionie, że „język polski jest na Śląsku bezspornie starą mową kraju, a język niemiecki dopiero stopniowo wkraść się tu i wtargnął”. Z kolei pastor Johann W. Pohle z Tarnowskich Gór na Górnym Śląsku stwierdza, że „Górnoślązak o wiele lepiej mówi po polsku, aniżeli Dolnoślązak po niemiecku”.

Niemiecka mapa wydana w 1896 r. we Wrocławiu zarysowuje zasięg polskiego

etnosu w roku 1790 wzdłuż linii Korfanów – Syców (ówczesny Polnisch Warthenberg). Ten z kolei wciną się klinami aż pod Wrocław i Strzelin, obejmując przy tym Oławę i Namysłów na południu, a na północy Trzebnicę. Sto lat później jednak, w roku 1890, kliny te już nie istnieją, cofa się też zwarcie zamieszkanego terytorium polskie.

Niemiecki napór na Wschód postępuje dzięki systematycznej i konsekwentnej polityce Królestwa Prus, z którą z czasem współgrała posunięcia miejscowych kościołów. Już w czerwcu 1764 r. pruski król Fryderyk II wydaje rozporządzenie mające na celu „wprowadzenie języka niemieckiego na Górnym Śląsku oraz w innych okolicach polskich na Śląsku”. Z kolei w roku 1810 król Fryderyk Wilhelm III zakazuje odprawiania polskich nabożeństw w ewangelickich kościołach na terenie Śląska. Stopniowo naciskowi państwa w polityce wyznaniowej i szkolnej ulega także miejscowy Kościół katolicki. W roku 1823 na podwrocławskich wsiach polszczyznę usuwa się bowiem zarówno ze świątyń protestanckich, jak i katolickich.

W rezultacie tej polityki w trakcie XIX w. rodzimy komponent polski utraci Wrocław, pozostaje on jednak na obrzeżach miasta. Jest to ludność niezbyt zamożna, wyłączonej także z perspektyw awansu ekonomicznego z racji słabej znajomości języka niemieckiego. Ich własną mowę określa się często mianem języka wasserpolskiego – „wodnego” czy też „rozwodnionego”, ponieważ jego użytkownicy trudnią się m.in. flisactwem, spławiając towary Odrą. Później stanie się to nawiązaniem do specyficznego, gwarowego charakteru stosowanego przez „Wasserpolaków” języka.

Bastionem polskości pozostaje jeszcze przez jakiś czas dolnośląska prowincja, a język polski na Dolnym Śląsku nadal potrafi zachować żywotność. Zarządzenia germanizacyjne napotyka tu bowiem na opór miejscowej ludności. Chociażby w 1825 r. mieszkańcy ewangelickiej parafii Laskowice spisują petycję, w której proszą o możliwość dalszego odprawiania polskich nabożeństw w każdą niedzielę. W uzasadnieniu miejscowi argumentują, że na 391 polskich gospodarstw przypada zaledwie 48 niemieckich. Jeden z chłopów zeznaje: „Moim

językiem ojczystym jest język polski”. W 1851 r. udaje się jeszcze wywalczyć otworzenie proseminarium nauczycielskiego w Wołczynie koło Kluczborka, a w roku 1858 – oddziału polskiego seminarium nauczycielskiego w samym Kluczborku.

Ustępstwa władz pruskich są jednak tymczasowe i co najwyżej opóźniają germanizację, lecz nie mogą zastopować jej całkowicie. Mimo to na prowincji polskość potrafi utrzymywać się dość długo. Miejscowa ludność polska może też jeszcze przez jakiś czas liczyć na oparcie w duchowieństwie ewangelickim. „Pastorowie umieli »rzykać« po śląsku, ale jednak propagowali w piśmiennictwie polszczyznę literacką” – pisał prof. Józef Majchrzak, wybitny znawca dolnośląskiego folkloru („Polska pieśń ludowa na Dolnym Śląsku”). Tego typu życiwe językowi polskiemu postawy w końcu staną się jednak wyjątkiem. „W XIX stuleciu pastorowie stali się już narzędziem polityki germanizacyjnej, współdziałając z pruską biurokracją tępiącą język polski” – zaznaczał prof. Majchrzak. W efekcie dolnośląska polszczyzna stała się martwa i nie dotrwała do naszych czasów. Germanizatorzy i ich potomkowie musieli ustąpić dopiero w roku 1945, gdy po wiekach Polska odzyskała Dolny Śląsk.

PO POLSKU, ALE TAK NORMALNIE

Tymczasem jeszcze w okresie austriackim śląska polszczyzna obecna jest w formach urzędowych, które powstają także na bazie miejscowych gwar. W zależności zaś od rodzajów sporządzanych dokumentów większy wpływ na taki język urzędowy miał bądź to literacki polski, bądź też jego lokalne warianty. W roku 1673 w Brzegu ukazuje się z kolei „Doskonały kancjonał polski”, pieśnioksiąż będący dziełem pięciu wrocławskich pastorów, wielokrotnie potem wznowiany. Śląsk dostarcza wówczas wielu innych cennych pomników ówczesnej polszczyzny. „Od XVI wieku drukarnie w Brzegu i Oleśnicy oferowały śląskiemu odbiorcy polskie katechizmy, śpiewniki i modlitewniki. Rozwijała się też literatura świecka” – pisze prof. Anna Tokarska z Uniwersytetu Śląskiego („Biblioteki polskie na Górnym Śląsku w XIX wieku”).

Właśnie w Oleśnicy i Brzegu drukiem ukazują się po polsku m.in. kazania „ślą-

skiego Reja”, protestanckiego kaznodziei z Kluczborka Adama Gdacjusza. „Jako twardy Ślązak z krwi i kości, zrośnięty z ojczystym Kluczborkiem, jest entuzjastą polszczyzny. Kult polszczyzny uprawia on w słowie pisanym, a przede wszystkim w słowie żywym. Cokolwiek zanotował po łacinie czy po niemiecku, to przekuwał na polszczyznę” – pisał prof. Roman Pollak, historyk literatury z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu („Pamiętnik Literacki LXII” 1971, z. 3).

Adam Gdacjusz rozpowszechnia z kolei z jednej strony ówczesną polszczyznę literacką, cytując choćby Mikołaja Reja, Jana Długosza czy Jana Kochanowskiego, a z drugiej strony jego twórczość to pomnik śląskiej polszczyzny gwarowej, którą także wpłata on w swoje kazania. Wywodzący się ze Śląska prof. Henryk Borek twierdził, że stosowane przez Gdacjusza archaizmy „istnieją po dziś dzień jako żywe elementy narzecza śląskiego”. Z wnioskiem tym korespondują spostrzeżenia poczynione w kontekście Śląska Cieszyńskiego przez prof. Karola Kadłubca, polskiego językoznawcy rodem z Zaolzia: „Gwary są jakby dokumentem historycznym, sięgającym początków danego języka narodowego. Tak jest również z naszymi gwarami śląskimi” – stwierdził.

Na Śląsku Cieszyńskim tymczasem, ze względu na pozostanie przy monarchii Habsburgów aż do jej rozpadu w 1918 r., zarysowuje się własna specyfika miejscowych gwar. Jak podaje prof. Leszek Bednarczuk, oddzielenie od Śląska pruskiego sprzyjało izolacji językowej („Z historii i geografii śląszczyzny polskiej”). Uczony zaznacza ponadto, że „na tle innych gwar polskich obszar językowy Śląska charakteryzuje się archaicznością oraz bardzo silnym zróżnicowaniem wewnętrznym”, co zgodne jest z wnioskami cytowanego powyżej prof. Henryka Borka o archaizmach jako charakterystycznej cesze gwar śląskich. Ich zróżnicowanie podkreśla z kolei prof. Bogusław Wyderka: „Gwary śląskie stanowią kompleks językowy systemowo zróżnicowany na stosunkowo niewielkim terytorium” („Zasięg terytorialny gwar śląskich”). Doktor Urszula Burzywoda z Uniwersytetu Śląskiego twierdzi zaś, że „polszczyzna śląska już w czasach habsburskich była archaiczna, nasyciona dialektyzmami, których frekwencja

wzrastała, oraz licznymi czechizmami i germanizmami” („Peryferyjność XIX-wiecznej polszczyzny górnośląskiej”).

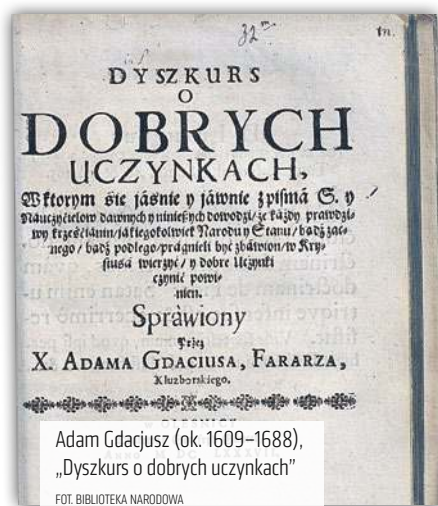
Gdy z kolei w wiekach XIX i XX na Śląsku dochodzą do głosu typowe dla tej epoki dylematy tożsamościowe, to określenie używanego języka staje się jednym z kryteriów przynależności narodowej ludności. Osobliwości tego typu opisał w ramach fikcji literackiej pisarz Szczepan Twardoch w niezwykłe wciągającej powieści „Pokora”. Pada w niej charakterystyczne zdanie, które mowie Ślązaków nadaje zarówno przymioty, jak i samą nazwę języka polskiego:

„Książd Scholtis wypilił szklonkã gorzołki, czyli szklanekę wódki, i zaczęli mówić po polsku, lecz także tak normalnie, jak się u nös döma gōdało, mówiło, to znaczy po wasserpolsku, nie tak, jak piszą w »Katoliku«”.

Tytuł wspomnianego „Katolika”, gazety wydawanej literacką polszczyzną w Bytomiu, to ważne ogniwo uświadamiania Ślązakom, że skoro mówią tym samym (lecz także – co istotne – nie takim samym) co reszta Polaków językiem, to również oni sami są Polakami. To właśnie w przyszłej Polsce Ślązacy nie byłiby już narażeni na germanizację, na utratę mowy, wiary i obyczajów przodków. Nabierająca w XIX w. rozpędu akcja wydawania polskiej prasy na Śląsku, rozbudowy bibliotek i powstawania polskich oficyn znajduje swój finał w postaci politycznego postulatu zjednoczenia Śląska z Polską. Walkę tę wienczą zmagania plebiscytowe, z których najbardziej miarodajne było to, kto gotów jest przelewać krew za śląską ziemię. W ten właśnie sposób doszło do trzech powstań śląskich, ale to już jednak materiał na zupełnie inną opowieść.

ŻADNYCH ODWIEDZIN W SZPITALACH

Rzeczpospolita Polska nie dyskryminuje Ślązaków. Spis powszechny w roku 2021 pozwalał na wskazanie tożsamości śląskiej i takich deklaracji padło łącznie 596 tys. 360 tysięcy osób zadeklarowało przy tym narodowość polską jako pierwszą, a śląską jako drugą. 49 tysięcy osób uznało się najpierw za Ślązaków, a w drugiej kolejności za Polaków. 187 tysięcy osób uznało się wyłącznie za Ślązaków. Jak więc widzimy, bezwzględna większość Ślązaków to zarazem zadeklarowani Polacy.



Nie jest też zabronione publiczne używanie gwar śląskich, trudno również o przykłady systemowej dyskryminacji na tym tle. Co innego jednak, gdy mowa o nadaniu oficjalnego statusu „językowi śląskiemu”. Wprawdzie język taki rzeczywiście powstał, lecz także jest to coś w rodzaju „śląskiego esperanto”: wymyślony odgórnie, czerpiący zasób słownictwa z co najmniej kilku źródeł, a jako sztuczna konstrukcja spontanicznie i na co dzień nieużywana w tej formie przez nikogo. Dlatego zatem Polska ma wbrew swojemu interesowi oraz wbrew znanym faktom o licznych lokalnych gwarach uznać, że istnieje jakiś niepolski „język śląski”? Państwo nie jest przecież od spełniania zachcianek głośnej mniejszości uważającej, że na śląskość posiada monopol. Nietrafiona jest też analogia z mającym oficjalny status języka regionalnego kaszubskim, ten bowiem jest pamiątką po istnieniu osobnego języka pomorskiego, gwary śląskie to natomiast żywe pomniki archaicznej polszczyzny.

Zwolennicy odseparowania Śląska dążą przy tym do regionalizacji nauki historii i zwiększania kompetencji lokalnych władz w dziedzinie szkolnictwa, lecz jednocześnie na swoją propagandę oczekują pieniędzy z budżetu centralnego. Towarzyszy temu zresztą argumentacja podobna tej, że „oni chcą się przecież tylko odwiedzać w szpitalach”, a w tym wypadku – iż chodzi rzekomo jedynie o zachowanie miejscowej spuścizny. Nie ma jednak żadnego powodu, by w państwie polskim szkoły wykładały wiedzę nt. Śląska jako regionu niepolskiego, tak jak uczyniono to już z historycznym pojęciem Litwy. Dyskusja na ten temat powinna być więc ucięta raz na zawsze, a zwolennicy tego typu pomysłów – po-

zbawieni wszelkich złudzeń. Żadnego zatem „odwiedzania w szpitalach” – niech bezskutecznie czekają na zewnątrz.

ŚLĄSKOŚĆ TO NORMALNOŚĆ

W istocie niektóre mniejszościowe grupy na Śląsku pozostają po prostu nieutulone w swym żalu do historii, że w jej trakcie to Polakom udało się obudzić Ślązaków do narodowości polskiej, że to polską prasę chcieli czytać Ślązacy, na polskich kandydatów do niemieckiego jeszcze parlamentu Ślązacy głosowali w wyborach i że to literacki język polski dawał Ślązakom akces do kultury wysokiej, lecz także pozwalał na zachowanie własnej tożsamości. Ruchy na rzecz śląskiej odrębności miały wysokie poparcie, największe najprawdopodobniej na Śląsku Cieszyńskim w ramach tzw. ruchu koźdoniowskiego – i jest to historyczny fakt, lecz także to za opcją polską oddano najwięcej głosów w najważniejszym bodaj ze wszystkich plebiscytów na Śląsku – w tym, który wymagał chwycenia za broń. Opcja „ślązakowska” przegrała, bo ostatecznie nie było ludzi gotowych do ponoszenia za nią ofiar. To musi rodzić zrozumiałą frustrację, bo z kolei polskość Śląska została przypiecztowana przelaną krwią, a więc znamię niemożliwym do wymazania z kart historii, do której „ślązakowski” separatyzm stanowi co najwyżej skromny przypis i ciekawostkę przyrodniczą. Polska nie zajęła Śląska w roli intruza ani nie podbiła go – to Ślązacy chcieli Polski, bo jedyną alternatywą był dalszy ciąg wynaradawiania, germanizacji, upokorzeń, a ostatecznie powtórka scenariusza z Dolnego Śląska. I tego „ślązakowcy” nie wybaczą Polsce nigdy.

Jednakże zagrożenie dla śląskiej spuścizny to dziś przede wszystkim kwestia atrofii tradycyjnych wspólnot i tożsamości. Jest to zatem problem szerszy niż rzekoma „dyskryminacja Ślązaków przez Polskę”. Śląskość przetrwa więc, gdy w całej Polsce powróci normalność. Utrzymywanie śląskości w jej dotychczasowej postaci jako opcji konserwatywnej, będącej przejawem zdrowych postaw i odruchów społecznych, leży przecież w interesie nas wszystkich. Dziedzictwo Śląska to bowiem nasz polski skarb narodowy i to Ślązakom w dużej mierze zawdzięczamy, że możemy być dziś sobą – przede wszystkim mówić i myśleć po polsku. Amyn.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczmy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.

POLITYCZNA
kawa

w każdą niedzielę

11:30

w Republice



 www.radiotvrepublika.pl

 [Telewizja Republika](https://www.youtube.com/TelewizjaRepublika)

 [@RepublikaTV](https://twitter.com/RepublikaTV)

 [RepublikaTV](https://www.facebook.com/RepublikaTV)

 [@RepublikaTV](https://www.instagram.com/RepublikaTV)

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzyj na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.



SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA



W roku 2022 ówczesnie opozycyjny ruch Obywatele RP próbował zablokować 7. Hajnowski Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych

FOT. MICHAŁ KOŚC/FORUM

Komu władzą Żołnierze Wyklęci?



Filip Memches

Chociaż w wydanej przez Instytut Narutowicza książce komunizm jest przedstawiany jako zjawisko negatywne, to jednocześnie wyłania się z niej teza o tym, że kult zbrojnego podziemia antykomunistycznego stanowi emanację prawicowej koncepcji narodu jako zwartej, kulturowo jednolitej wspólnoty wykluczającej wszelkie odmienności, włącznie z mniejszościami seksualnymi

Rodzima historia jest w Polsce przedmiotem ostrych sporów politycznych. Nic więc dziwnego, że zajmujące się nią instytucje są zakładnikami polityków. W zależności od tego, kto jest u władzy, serwują one taką, a nie inną narrację historyczną.

Przykładem takiej instytucji jest Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza. Powstał on w roku 2024 z przekształcenia Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskie-

go i Ignacego Jana Paderewskiego w nowy podmiot. IDMN został zaś powołany za rządu Zjednoczonej Prawicy w roku 2020 – po to, żeby pracą badawczo-edukacyjną w pewnym sensie uhonorować coś, co w III Rzeczypospolitej było wyszydzone i piętnowane przez lewicowe i liberalne środowiska opiniotwórcze: intelektualny i polityczny dorobek ludzi związanych z obozem narodowo-demokratycznym oraz chrześcijańską demokracją (takich jak patroni tej instytucji).

Wystarczyła jednak zmiana u władzy, a Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej został zastąpiony przez Instytut Narutowicza. To rezultat tego, że w rządzie Donalda Tuska politykę historyczną, kulturę i edukację oddano środowiskom lewicowym. Te zaś odmawiają Dmowskiemu wszelkich zasług. Dla nich nie jest on jednym z ojców odzyskanego w roku 1918 niepodległego państwa polskiego, lecz guru antysemitów (nie wnikają one choćby w to, że jego stosunek do Żydów był pokłosiem rośnięcia w siłę żydowskich grup interesów w zaborze rosyjskim). Natomiast Narutowicza środowiska te kreuja na politycznego męczennika, ponieważ w roku 1922 jako prezydent Polski – świeżo wybrany głosami parlamentarzystów reprezentujących ugrupowania lewicowe i centrowe oraz mniejszości etniczne – został zamordowany przez zwolennika endecji, Eligiusza Niewiadomskiego, choć

zamachowiec ten działał na własną rękę i formalnie nie był związany z żadną organizacją. Swoją drogą, o ile Dmowskiemu można uznać za myśliciela politycznego, o tyle o Narutowiczu – wbrew sugestii zawartej w nazwie instytutu jego imienia – powiedzieć tego nie sposób.

Warto przypomnieć, że za rządów Zjednoczonej Prawicy ówczesnej polityce historycznej państwa zarzucano, iż została całkowicie zawłaszczona przez środowiska narzucające Polakom jednostronnie prawicową wizję dziejów. Ktoś naiwny mógł wtedy pomyśleć, że gdy zmieni się władza, to zapanuje na tym polu pluralizm. Oczywiście nic takiego się nie stało. A zatem zgruzowanie IDMN przez lewicowych aktywistów z historykiem Adamem Leszczyńskim na czele (został on szefem Instytutu Narutowicza) nie powinno dziwić. Nowy podmiot też prowadzi pracę badawczo-edukacyjną, ale jest ona zgodna z lewicowym dyskursem, na którego gruncie obowiązuje następująca wykładnia: po dobrej stronie dziejów Polski stoją ofiary ucisku i wyzysku – chłopci pańszczyźniani, proletariats, mniejszości etniczne, religijne, obyczajowe, migranci z krajów globalnego Południa – oraz wspierające je postępowe ruchy społeczne, po złej – ziemiaństwo, fabrykanci, konserwatywne i nacjonalistyczne siły polityczne.

Niemniej Instytut Narutowicza w swoich inicjatywach próbuje zachować



KRZYSZTOF JASKUŁOWSKI, PIOTR MAJEWSKI „POLITYKA PAMIĘCI »ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH« W POLSCE” PRZEŁOŻYŁ MAKSYMILIAN NAŁĘCZ, INSTYTUT NARUTOWICZA, WARSZAWA 2025

pozory obiektywizmu, więc unika ostentacyjnego szermowania taką prostą dychotomią. Jednym z dowodów na to jest wydana przez IN książka „Polityka pamięci »żołnierzy wyklętych« w Polsce”. Jej autorami są dwaj socjologowie: Krzysztof Jaskułowski i Piotr Majewski. Warto odnotować, że pierwotnie ukazała się ona po angielsku. Mamy zatem do czynienia – co istotne – z przekazem eksportowym.

PRAWICOWY BRAK KRYTYCYZMU

Warto na „Politykę pamięci »żołnierzy wyklętych« w Polsce” zwrócić uwagę również z tego powodu, że polskie zbrojne podziemie antykomunistyczne to temat mocno polaryzujący polską debatę publiczną. W tym przypadku spory o przeszłość są odzwierciedleniem bieżących podziałów politycznych. W tym, jak się opowiada o Żołnierzach Wyklętych, skupiają się jak w soczewce sympatie i antypatie obu głównych politycznych „baniek”.

Jaskułowski i Majewski starają się jednak swoje sympatie polityczne schować za fasadą żargonu naukowego. Poza tym, kiedy przedstawiają rys historyczny, pisząc o walce zbrojnego podziemia antykomunistycznego z reżimem „władzy ludowej”, to nie sposób się do nich przychylić o to, że uprawiają lewicową dekonstrukcję dziejów Polski. Bądź co bądź zajmują się zagadnieniem polityki historycznej nie jako publicyści, lecz jako naukowcy. W książce referują wyniki swoich badań przeprowadzonych na podstawie 160 rozmów z różnymi kategoriami respondentów.

Tyle że wystarczy przeczytać przedmowę do wydania polskiego, a nasunie się wniosek, że autorzy przyjmują perspektywę lewicową. Oto wymowny cytat: „Nie sposób analizować figury »żołnierza wyklętego« w oderwaniu od procesów jej instytucjonalnego formatowania. Nie mamy tu do czynienia z pamięcią oddolną, lecz z pamięcią skolonizowaną – efektem kuratorskiej inżynierii, realizowanej przez aparat dyskursywny państwa i jego kulturowych akolitów. Szkolne podręczniki, przemówienia polityków, widowiska patriotyczne, historyczne rekonstrukcje,

patriotyczny rap – wszystkie te formy składają się na hegemoniczny projekt, mający za zadanie nie rekonstrukcję złożonej przeszłości (ta mało kogo interesuje), lecz produkcję emocjonalnie skonsolidowanej normatywnej pamięci narodowej [...]. Figura »żołnierza wyklętego« nie zostaje przedstawiona, lecz uruchomiona jako narzędzie afektywnej dyscypliny: nie edukuje, lecz kontroluje. Jej dominacja nie wpływa z historycznej oczywistości, lecz z ideologicznej użyteczności – jako politycznej konstrukcji zdolnej do skondensowania lęków, resentymencików i pragnień narodowej czystości”.

Taka retoryka już na wstępie prawicowego czytelnika zraża. Niemniej warto wspiąć się ponad bieżące podziały polityczne i się zastanowić, czy Jaskułowski i Majewski nie mają w czymś racji. Główne oskarżenie, które formułują oni pod adresem prawicowej polityki historycznej w zakresie upamiętniania zbrojnego podziemia antykomunistycznego, brzmi: brak krytycyzmu. I akurat z tym trudno się nie zgodzić. W kręgach polskiej prawicy krytyczne spojrzenie na działalność Żołnierzów Wyklętych jest czymś z gruntu podejrzanym, bo przecież wyciąganie bohaterom z ich życiorysów ciemnych spraw to podawanie piłki przeciwnikowi, który uprawia „pedagogikę wstydu”. Tymczasem zbrojne podziemie antykomunistyczne stanowili niepozabawieni skazani ludzie z krwi i kości. Wystarczy przywołać kontrowersje wokół postaci Romualda Rajsa „Burego”. Jego oddział w roku 1946 pacyfikował wieś na Podlasiu zamieszkaną przez cywilną prawosławną ludność białoruską.

W książce Jaskułowskiego i Majewskiego jest rozdział, który wskazuje przyczyny owej występującej na prawicy awersji do krytycznego traktowania Żołnierzów Wyklętych. Zbrojne podziemie antykomunistyczne było przez „władzę ludową” zwalczane nie tylko fizycznie. Jego żołnierze mieli w świadomości Polaków zostać okryci hańbą jako „bandyci” i „faszysci”. Systemowo zrehabilitowani zostali dopiero w III Rzeczypospolitej. I właśnie rehabilitacja Żołnierzów Wyklętych zaowocowała na prawicy ich

mitologizacją, która sama w sobie ma to do siebie, że z jakimkolwiek krytycznym podejściem koliduje.

Szkopuł w tym, że trafne spostrzeżenia poczynione przez autorów książki nie są jej sednem. Liczy się w niej przede wszystkim rozprawa z prawicowym imaginariem. Choć w książce komunizm jest niewątpliwie przedstawiany jako zjawisko negatywne, to jednocześnie wyłania się z niej teza o tym, że kład zbrojnego podziemia antykomunistycznego stanowi emanację prawicowej koncepcji narodu jako zwartej, kulturowo jednolitej wspólnoty wykluczającej wszelkie odmienności, włącznie z mniejszościami seksualnymi.

POLSKA KSENOFOBIA?

Czy Jaskułowski i Majewski sugerują, że Żołnierze Wyklęci znaleźli się po złej stronie dziejów Polski? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Natomiast „Politykę pamięci »żołnierzy wyklętych« w Polsce” należy czytać w kontekście współczesnych polskich sporów kulturowych. Stanowisko biorące w nich udział lewicy można streścić następująco: to prawda, że zbrojne podziemie antykomunistyczne walczyło z czerwoną totalitaryzmem, ale komunizm jest bezpowrotnie minioną przeszłością. Tymczasem inaczej rzecz się ma z polską ksenofobią. Żołnierze Wyklęci splamili swoje ręce krwią mniejszości etnicznych. I nie wnioskujmy w to, czy w tym przypadku były to mordy na niewinnych cywilach czy na wprowadzających z sowieckiego nadania nowe porządki komunistach. Liczy się co innego: zbrojne podziemie antykomunistyczne zabijało Żydów, Białorusinów, Ukraińców. A to już świadczy o polskiej ksenofobii, która dziś daje o sobie znać choćby wobec migrantów przybywających do Polski.

Książka Jaskułowskiego i Majewskiego jest zatem ilustracją lewicowej polityki historycznej w Polsce – w tym działalności Instytutu Narutowicza – prowadzonej na użytek bieżącej konfrontacji z prawicą. I choć dziś lewica, kładąc nacisk na emancypację jednostki – także względem narodu – deklaruje antykomunizm, to trudno oprzeć się wrażeniu, że tropiąc przejawy polskiej ksenofobii, poniekąd nawiązuje do propagandowych klisz „władzy ludowej”, która wśród patriotów węszyła „faszystów”.

TOMASZ D. KOLANEK: Dlaczego minister Barbara Nowackiej tak bardzo zależy na wprowadzeniu do polskich szkół tzw. standardów edukacji seksualnej WHO, które dla niepoznaki minister nazwała „edukacją zdrowotną”?

SŁAWOMIR SKIBA: Minister Nowacka jest wiernym wykonawcą woli międzynarodowych gremiów, takich jak Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) czy też Unia Europejska, które dążą do ideologizacji polskich dzieci m.in. w ramach Europejskiego Obszaru Edukacyjnego. Projekt ten zakłada ujednolicanie czy też umasowienie jednostek, przedstawicieli poszczególnych narodów w ramach UE. Mówiąc wprost: chodzi o ulepienie bądź – jak podkreślają niektórzy eksperci – wyhodowanie „nowego człowieka” będącego de facto częścią bezkształtnej masy ludzkiej, łatwej do zarządzania.

Jaką „masę” chce ulepić minister Nowacka? Pytam, ponieważ to, co pan powiedział, diametralnie różni się od haseł, które towarzyszą całej „rewolucji” minister, że chodzi przecież o zdrowie dzieci, w tym „zdrowie reprodukcyjne”...

Ostatecznym celem działań, które wdraża minister Nowacka – świadomie czy nie – jest ukształtowanie bezwolnych jednostek mających ograniczoną wiedzę o świecie. Takie jednostki stają się łatwym przedmiotem manipulacji. Służą temu celowi m.in. redukcje programów nauczania w takich przedmiotach jak język polski czy historia. A także stopniowe wyругowanie religii ze szkół.

Jeżeli człowiek ma ograniczoną wiedzę ogólną o świecie, jeżeli nie potrafi „łączyć kropek”, czyli ogarniać w całości otaczającą go rzeczywistość, to nie jest w stanie wyciągać również wniosków logicznych z tego, co się dzieje. Staje się on wówczas, jak mawiał pewien ksiądz, „zaprawą murarską cwaniaków kitujących swoją wielkość”, którzy realizują utopijną wizję świata. W tym wypadku cwaniakami są urzędnicy i działacze UE i WHO, którzy chcą zapędzić nasze dzieci do budowy „nowego wspaniałego świata”, czyli świata, który wyśnili sobie marksiści i ich duchowi oraz ideowi spadkobiercy.

Aby zbudować taki świat, potrzebni są „nowi obywatele”, których trzeba wychować, ulepić czy też wyhodować. Nowy obywatel UE ma być z jednej strony pozbawiony umiejętności logicznego rozeznawania, co się dzieje w świecie, a z drugiej ma



FOT. YOUTUBE.COM/@POTRUSKARACZY



Ze Sławomirem Skibą, członkiem zarządu Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi, działaczem Koalicji na rzecz Obrony Polskiej Szkoły rozmawia Tomasz D. Kolanek

Deprawacja to nie edukacja!

być odpowiednio zideologizowany i temu właśnie ma służyć edukacja seksualna, której ostatecznym celem jest wepchnięcie dzieci w objęcia tyranii pożądań i nieuporządkowanych namiętności.

Jeżeli bowiem motorem działania człowieka jest przede wszystkim, a może i jedynie popęd seksualny, to wtedy staje się zakładnikiem tego popędu. Wówczas o wiele łatwiej nim manipulować.

Popęd seksualny ma zastąpić rozum?

W klasycznej edukacji chrześcijańskiej mamy do czynienia z porządkiem hierarchicznym, w którym rozum oświecony łaską kontroluje wolę, a wola panuje nad uczuciami. Ten porządek, zgodnie z chrześcijańskim wychowaniem, pozwala człowiekowi być wolnym, nie stać się niewolnikiem uczuć, emocji i popędów.

Jeżeli zaczynamy kształtować, wychowywać w oparciu o to, że emocje, uczucia, popędy, nieuporządkowane

namiętności dominują nad wolą, a wola, poddając się wszystkim tym czynnikom, kieruje rozumem, to człowiek staje się tak naprawdę zakładnikiem swoich rozbuchanych popędów, w tym seksualnych.

Człowiek, który rozbudza swoje namiętności i nie panuje nad nimi, otwiera się na najrozmaitsze dewiacje i perwersje i cały czas przesuwa ostateczną granicę swoich niezaspokojonych chuci. Dowodem na to jest sam ruch LGBTQ+. Ten znaczek na końcu pokazuje otwartość na przyszłe możliwe aberracje, wszelkiego rodzaju „inwencje” seksualne, które wciąż niezaspokojone mogą człowieka doprowadzić do rozpacz, a następnie do najróżniejszych czarnych scenariuszy, dekadencji, której skutkiem mogą być myśli samobójcze, czyli samozagłada.

Taki człowiek jest podatny na manipulację, a manipulacja jest tym, co marksiści i ich następcy opanowali do perfekcji. Na każdym kroku zalewają nas pseu-

donaukowe analizy pseudoekspertów i pseudofilozofów, którzy chcą sterować naszymi umysłami, a przede wszystkim umysłami naszych dzieci. Oni oczywiście twierdzą, że dzięki temu świat będzie lepszy, że jest to najlepsza i najkrótsza droga do rajy na ziemi. Historia jednak uczy nas, czym kończy się budowa przez człowieka utopii, że przywołam tylko tę budowaną przez jakobinów we Francji i przez komunistów w Rosji, Chinach, Kambodży czy PRL.

A co z prawem rodziców do wychowania dzieci? Odnoszę wrażenie, że minister chce ograniczyć, a może i odebrać rodzicom to prawo...

Podzielam pańskie obawy. Postawa minister Nowackiej jest bardzo charakterystyczna dla marksistów, których zdaniem „państwo wie lepiej” i „państwo ma monopol na wszystko”, w tym również – a może przede wszystkim – na wychowanie dzieci. To jest myślenie totalitarne, w którym człowieka nie traktuje się jako wolną jednostkę, która ma jakieś powołanie, ma jakąś misję do spełnienia. Człowiek jest tutaj narzędziem do realizacji pewnego planu, idei, ideologii, która klóci się z ludzką wolnością.

Marksista robi wszystko, żeby dla zbudowania tego nowego porządku, „nowego, wspaniałego świata” podporządkować sobie jednostkę. Proszę jednak zwrócić uwagę: do niedawna jednostka miała być podporządkowana państwu, a obecnie ma być ona na pasku organizmów ponadpaństwowych, o których już mówiłem. Mamy więc obecnie do czynienia z etapem, na którym państwo też staje się przeszkodą, ale to temat na inną, długą dyskusję.

Odpowiadając na pana pytanie: Tak, dzieci mają być upaństwowione i w związku z tym potrzebne jest przejście kontroli nad nimi na jak najwcześniejszym etapie ich rozwoju, aby poddać je skutecznej indoktrynacji.

Dlaczego tak wielu rodziców nie ma nic przeciwko temu, aby ich dzieci wychowywali ludzie motywowani np. ideologią LGBT? Może po prostu współczesny świat zatracił rozumienie, czym są władza i autorytet rodzica oraz to, czym są normalnie, naturalnie, klasycznie pojmowane macierzyństwo i ojcostwo?

Jednym z fundamentalnych elementów rewolucji jest dążenie do absolutnej

równości. W ramach walki o ten totalny egalitaryzm zwalczano się rodzinę, która ma charakter hierarchiczny. Rodzina rozumiana po chrześcijańsku jest jakby małą monarchią, czyli tym wszystkim, czego nienawidzi rewolucja. Na obecnym etapie rewolucja zakłada więc zniszczenie ostatniego bastionu porządku hierarchicznego w cywilizacji chrześcijańskiej, czyli właśnie rodziny.

Seksrewolucję minister Nowackiej w polskich szkołach trzeba łączyć z innymi pomysłami rządu Tuska, np. wprowadzeniem związków partnerskich czy też ułatwieniami w dostępie do antykoncepcji czy tzw. aborcją na żądanie?

Tak! Tak zwana edukacja seksualna ma zdeprawować dzieci, a to, co pan wymienił, to plany ideologiczne związane z deprawacją społeczeństwa na dużą skalę, czyli rozbudzeniem tych wszystkich namiętności, które powodują, że ludzie zatracają się w tym rozpasaniu. Taka władza nie będzie przecież namawiała do panowania nad popędami, no bo to oznaczałoby wezwanie ludzi do jakiejś kontroli nad samymi sobą, a to z kolei oznaczałoby używanie rozumu, który powinien stać na straży naszej, skażonej grzechem pierwotnym zmysłowości.

I tutaj wracamy do początku naszej rozmowy: rozum programowo ma być odrzucony, a w jego miejsce mają wejść uczucia, emocje i popędy. Temu ma właśnie służyć edukacja seksualna zawarta w tzw. edukacji zdrowotnej minister Nowackiej. To indoktrynacja, w której nie będzie miejsca na jakąkolwiek odpowiedzialność, na zrozumienie, czym naprawdę jest rodzina i jej rola w społeczeństwie.

Zamiast tego dzieci dowiedzą się, że ma im być dobrze, mają się samorealizować i spełniać, a rodzina może być ku temu przeszkodą. Stąd cały wysiłek, aby pokazywać wszelkiego rodzaju techniki antykoncepcyjne, stąd coraz częściej pojawiające się głosy, że aborcja jest elementem samorealizacji, który może uratować czyjeś życie, przyszłość, karierę...

Wielu rodziców nie wie, że trzeba wypisać dziecko z lekcji tzw. edukacji zdrowotnej. Żyje w błędnym przekonaniu, że wystarczy, iż dziecko po prostu nie będzie chodzić na ten przedmiot.

Jest to bardzo sprytna pułapka, którą zastawiło MEN na rodziców i dzieci. Jeśli

nie chcemy, aby nasze dzieci znalazły się w łapach systemu seksualizacji, to musimy podjąć działanie, to znaczy: nie wystarczy, że nasze dziecko nie pójdzie na lekcję tzw. edukacji zdrowotnej. Do 25 września należy wypisać dziecko z tych zajęć. Trzeba złożyć w tej sprawie pisemną deklarację u dyrektora szkoły, w której podkreślimy, że nie chcemy, aby nasze dziecko uczestniczyło w zajęciach tzw. edukacji zdrowotnej. Wzór odpowiedniego pisma wszyscy zainteresowani znajdują na stronie internetowej Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły i w dziesiątkach innych organizacji, które wchodziły w skład KROPS.

Jeśli nie złożymy takiego pisma, to nasze dzieci zostaną włączone z przymus, z rozpiski, z sowieckiego nakazu do uczestnictwa w tych zajęciach. Apeluję tutaj do wszystkich rodziców, a przede wszystkim do rodzin katolickich: Jeżeli chcecie dobra swoich dzieci, jeżeli nie chcecie, aby szkoła zdeprawowała wasze dzieci, to jak najszybciej złożcie taką deklarację!

Do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów trafiło ok. 35 tys. kart „STOP DEPRAWACJI DZIECI” przygotowanych przez Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi. To dużo czy mało?

Z jednej strony cieszymy się, że jest liczny odzew na nasze apele, ale to jest wciąż za mało. Postawię sprawę wprost: rodzice, którzy ochrztili swoje dzieci, zobowiązali się przed Panem Bogiem, aby wychować je po katolicku. W związku z tym powinni oni podjąć odpowiedzialną i konsekwentną walkę w obronie niewinności swoich pociec i w trosce o zbawienie ich dusz.

Tak więc raz jeszcze powtórzę: to dużo, ale stanowczo za mało jak na nasze zobowiązanie jako ludzi wierzących. Jeżeli popatrzymy, jak wielu ludzi przychodzi jeszcze dzięki Bogu do kościoła na niedzielną Mszę Świętą, jak dużo ludzi się jeszcze spowiada, to cały czas mam takie wrażenie nieodparte, że wielu z nich nie zdaje sobie sprawy, iż musi mieć to przełożenie na ich codzienne życie, a ich wiara musi odzwierciedlać się w ich działaniu, w tym wypadku w kwestii fundamentalnej – obronie własnych dzieci przed demoralizacją i deprawacją.

Wrocławski hierarcha kontra bezpieczeństwa



Rafał Łatka

Z dokumentacji UB/SB wynika, że abp Bolesław Kominek przyjął wobec władz komunistycznych strategię lawirowania. Wyrażał często zgodę na ich postulaty, a następnie i tak realizował swoją wizję, często daleką od oczekiwań rządzących PRL





W czerwcu 1972 r. abp Bolesław Kominek został metropolitą wrocławskim

FOT. ADAM HAWAŁEJ/PAP

Paradoksem polskiej debaty publicznej, a także zainteresowania odbiorców prac historycznych jest to, że tak ważna postać jak kard. Bolesław Kominek pozostaje w cieniu innych wielkich postaci Kościoła katolickiego w PRL. Przy czym, co należy podkreślić, jego życie i działalność cieszą się mniejszym zainteresowaniem niż nie tylko kard. Stefana Wyszyńskiego, kard. Karola Wojtyły, bp. Ignacego Tokarczuka (co nawet byłoby zrozumiałe), lecz także mniejszym niż życie mającego poważne skazy w życiorysie jego następcy na metropolii wrocławskiej kard. Henryka Gulbinowicza. Trudno nawet wskazać powody, dla których tak się stało. Wydaje się jednak, że do najważniejszych z nich należą: brak pogłębionej biografii tego hierarchy; prezentowanie jego postaci w sposób jednowymiarowy – jako twórcy orędzia skierowanego do biskupów niemieckich w 1965 r.; brak zrozumienia dla jego strategii postępowania z władzami komunistycznymi. Poniższy tekst będzie miał za zadanie przybliżenie najważniejszych zasług tego hierarchy dla Kościoła w Polsce oraz przekonanie szerszego kręgu czytelników, że warto się bliżej zainteresować jego życiem i działalnością, gdyż był bez wątpienia ważną postacią w Episkopacie Polski w okresie PRL.

Bolesław Kominek urodził się w 1903 r. w niewielkim miasteczku Radlin położonym koło Wodzisławia Śląskiego. Pochodził z religijnej i wielodzietnej rodziny śląskiej, od dzieciństwa posługiwał się zarówno językiem polskim, jak i niemieckim. Kształcił się w gimnazjum w Rybniku, które ukończył w 1923 r. Bezpośrednio po maturze wstąpił do Śląskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie i podjął studia teologiczne na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1927 r. z rąk bp. Arkadiusza Lisieckiego. Już wtedy ujawniły się jego wybitne zdolności intelektualne. Przełożeni kościelni, dostrzegając to, wysłali go na studia specjalistyczne w Instytucie Katolickim w Paryżu w 1927 r. Trzy lata później je ukończył, uzyskując doktorat z filozofii. Równolegle studiował nauki społeczne, z zakresu których uzyskał licencjat kościelny. Wiedzę o rzeczywistości społeczno-politycznej uzupełnił podczas wyjazdów zagranicznych do państw

Europy Zachodniej (można powiedzieć: analogicznie do innego młodego kapłana, którego wówczas poznał i z którym nawiązał dobre relacje – czyli ks. Stefana Wyszyńskiego).

TRZY CZYNNIKI

W 1930 r. ks. Kominek powrócił do Polski i rozpoczął prace w diecezji katowickiej. Początkowo był wikariuszem w parafii Katowice-Dąbie pw. śś. Jana i Pawła, ale już w 1931 r. otrzymał angaż w kurii diecezjalnej. Pełnił tam nie tylko funkcję referenta do spraw Akcji Katolickiej, lecz także sekretarza osobistej kancelarii ordynariusza bp. Stanisława Adamskiego. Oprócz zbudowania struktur AK ks. Kominek zaangażował się w działalność dziennikarską i publicystyczną. Był autorem wielu artykułów publikowanych na łamach „Gościa Niedzielnego” oraz redaktorem miesięcznika „Akcja Katolicka na Śląsku”. Dał się wówczas poznać jako zdolny intelektu-

Po drugiej wojnie światowej ks. Bolesław Kominek jako administrator apostolski w Opolu wykazywał się wrażliwością na potrzeby duszpasterskie stopniowo zmniejszającej się społeczności niemieckiej

alista i organizator. Jego aktywność była doceniana przez bp. Adamskiego, który sam w okresie II RP był znanym społecznikiem. Czas drugiej wojny światowej ks. Kominek spędził w Katowicach. Był zaangażowany w działalność społeczno-polityczną oraz utrzymywał stałe kontakty z Polskim Państwem Podziemnym. Jako delegat bp. Adamskiego przekazał za pośrednictwem nuncjusza Cesare Orsiniego raport dotyczący sytuacji Kościoła w Polsce pod okupacją niemiecką. Bohater niniejszego tekstu był już wtedy uznawany za wybitnego eksperta w zakresie działalności kościelnej na Śląsku.

To – jak się wydaje – te trzy czynniki, czyli: wysoki poziom intelektualny, znakomita znajomość spraw śląskich

oraz bliska współpraca z bp. Adamskim, zdecydowały o tym, że 15 sierpnia 1945 r. ks. Kominek został mianowany przez kard. Augusta Hlonda administratorem apostolskim w Opolu. Okazał się bardzo sprawnym rządcą diecezji, udało mu się zbudować struktury diecezjalne, zorganizować odbudowę wielu zniszczonych kościołów, założył także Drukarnie i Księgarnie św. Krzyża (w 1946 r.). Potrafił sprawnie poruszać się w gąszczu spraw polsko-niemieckich, z wrażliwością także na potrzeby duszpasterskie stopniowo zmniejszającej się społeczności niemieckiej. Jego aktywność na terenie przyszłej diecezji opolskiej przerwały działania władz Polski „ludowej”, które w 1951 r. usunęły wszystkich administratorów apostolskich na Ziemiach Zachodnich i Północnych pod obłudnym i fałszywym hasłem „zastępowania tymczasowości watykańskiej tymczasowością naszą” (czytaj: komunistyczną). Początkowo ks. Kominek był internowany w klasztorze Benedyktynów w Lubiniu, a następnie pozwolono mu wyjechać poza teren administratury apostolskiej w Opolu. Przez trzy kolejne lata przebywał w Krakowie, gdzie pomagał w duszpasterstwie oraz na zlecenie kard. Adama Sapiehy prowadził zajęcia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (do 1953 r.). Komuniści nie dali mu jednak spokoju i musiał opuścić również stolicę Małopolski. Do 1956 r. pełnił funkcję kapelana w klasztorze Urszulanek w Sierczy koło Wieliczki. Stolica Apostolska jednakże o ks. Kominku nie zapomniała (również dlatego, że o niego i innych administratorów apostolskich upominał się prymas Wyszyński) i został on mianowany przez papieża Piusa XII biskupem tytularnym Sophene z zadaniami rządcy polskiej części archidiecezji wrocławskiej i rezydencją we Wrocławiu. Nie miał jednakże możliwości aż do 1956 r. objąć tych funkcji, gdyż komuniści obsadzili na tym miejscu spolegliwego wobec siebie ks. Kazimierza Lagosza. Samą sakrę biskupią ks. Kominek przyjął potajemnie 10 października 1954 r. w Przemyślu z rąk bp. Franciszka Bardy.

PROTESTY KOMUNISTÓW

Odwilż polityczna, która rozpoczęła się w PRL w 1955 r. objęła także relacje państwo – Kościół. Z tego względu w październiku 1956 r. stał się możliwy powrót

do funkcji usuniętych przez władze biskupów. Był to jeden z warunków powrotu do Warszawy postawiony przez kard. Wyszyńskiego. W tym gronie hierarchów wracających do swoich biskupich stolic znalazł się również bp Kominek, który w grudniu 1956 r. objął funkcję administratora archidiecezji wrocławskiej. Udało mu się uporządkować sytuację po nieudolnych rządach poprzednika, ks. Lagosza, związanego z ruchem księży patriotów i narzuconego przez władze w 1951 r. Działania w tej sprawie nowy rządcą archidiecezji podejmował przez dwa kolejne lata, bp Kominek przeniósł wówczas wielu kapłanów spolegliwych wobec władz PRL do małych parafii, a awansował tych wiernych polskiej hierarchii kościelnej. Jego aktywność w tym zakresie była wysoko oceniana przez kard. Wyszyńskiego, a równocześnie spotkała się z licznymi protestami komunistów (okazały się one nieskuteczne, a hierarcha nie zamierzał brać pod uwagę postulatów władz).

W 1958 r. bp Kominek został włączony w skład Komisji Głównej Episkopatu Polski, czyli gremium kierowniczego polskiego Kościoła przez cały okres PRL. Zasiadał w niej do swojej śmierci w 1974 r. i dał się poznać jako bardzo aktywny członek tej kościelnej struktury, mający istotny wpływ na decyzje podejmowane przez ogół polskich biskupów. Z reguły hierarcha wspierał linię działania wskazywaną przez kard. Wyszyńskiego, ale równocześnie nie obawiał się prezentować swojego zdania. Szczególnie dotyczyło to spraw duszpasterskich, w których – jak się wydaje – był największym spośród polskich hierarchów ekspertem. Bohater niniejszego tekstu pełnił także wiele innych funkcji w Episkopacie Polski. Był m.in. członkiem Komisji Duszpasterstwa Ogólnego (od roku 1945, przewodniczący w latach 1958–1974), Komisji Iustitia et Pax (asystent kościelny, a następnie przewodniczący w latach 1968–1974), Komisji do spraw Miłosierdzia Chrześcijańskiego/Dobroczynności/Duszpasterstwa Dobroczynnego (1958–1967), Komisji Maryjnej (1958–1974) oraz Komisji Soborowej (1963–1970). W każdym z tych gremiów odgrywał ważną rolę, ale szczególnego podkreślenia wymaga jego aktywność w przygotowywaniu planów duszpasterskich związanych z Wielką

Nowenną oraz obchodami millennium polskiego chrześcijaństwa. W tym zakresie był bez wątpienia obok biskupów częstochowskich kluczowym współpracownikiem kard. Wyszyńskiego.

Niewątpliwie największe znaczenie dla Kościoła w Polsce miała działalność kard. Kominka na rzecz ustanowienia stałej administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich i starania, które w tej sprawie czynił w Stolicy Apostolskiej. Traktował to zadanie jako wielką życiową misję. W tym dziele konsekwentnie wspierał go prymas Polski. Stosunki obu hierarchów były dość bliskie, cechowały się wzajemnym zaufaniem. W analizie wrocławskiej SB wskazano nawet, że abp. Kominka uznawano za prawą rękę prymasa. Intensywna aktywność abp. Kominka w Watykanie spowodowała w latach 60. zwiększone zainteresowanie hierarchą ze strony władz oraz wzrost jego znaczenia w Episkopacie. Jak słusznie zauważył Marek Mutor: „Podczas swoich bardzo licznych spotkań w Stolicy Apostolskiej pełnił bardzo często funkcję »przedłużonego ramienia prymasa«. Częstokroć prymas Stefan Wyszyński, po załatwieniu najważniejszych spraw, wyjeżdżał w drogę powrotną do kraju, pozostawiając na miejscu abp. Bolesława Kominka, aby ten dalej »pilnował spraw« czy też »doglądał szczegółów«. Nie oznacza to, że wrocławski metropolita był jedynie wykonawcą polityki prymasa. Przeciwnie, wydaje się, że w znacznym stopniu ją kreował, a bez jego wiedzy, znajomości języków i osobistych kontaktów osiągnięcia Episkopatu przychodziłyby z większym trudem”.

KONFLIKTY PERSONALNE

Kardynał Kominek był inwigilowany przez aparat bezpieczeństwa już od 1945 r., a działania SB dotyczące jego osoby trwały nawet po jego śmierci w 1974 r. Wiele materiałów z aktywności UB/SB wobec hierarchy się nie zachowało, ale z samego tylko okresu pełnienia funkcji ordynariusza wrocławskiego jest to ponad 30 tomów dokumentacji. Znajdują się w nich m.in. opisy działań operacyjnych podejmowanych wobec arcybiskupa wrocławskiego, donosy licznych tajnych współpracowników (w tym również z grona osób duchownych), materiały z obserwacji. Znaleźć w nich można także opisy rozmów z przedstawicielami władz

komunistycznych, wobec których hierarcha przyjął strategię lawirowania. Wyrażał często zgodę na ich postulaty, a następnie i tak realizował swoją wizję (często daleką od oczekiwań rządzących PRL). W charakterystyce przygotowanej przez MSW w 1968 r. dość trafnie opisano działalność abp. Kominka (choć oczywiście nie brakuje w niej pewnych złośliwych akcentów): „Czołowy przedstawiciel hierarchii Kościoła katolickiego w Polsce. Inspirator wielu wrogich poczynań Kościoła wobec PRL. Gracz polityczny. Dla osiągnięcia korzyści osobistych skłonny do ustępstw. Usiłuje odgrywać rolę kierującego polityką biskupów Ziemi Zachodnich. Wśród księży diecezjalnych nie cieszy się autorytetem i popularnością”. W analizie Wydziału Administracyjnego KC PZPR z września 1970 r. zwrócono z kolei uwagę, że abp Kominek stwarza pozory dobrej relacji z rządzącymi, podczas gdy tak naprawdę współtworzy wrogą linię polityczną Epi-

Bolesław Kominek był inwigilowany przez aparat bezpieczeństwa już od 1945 r., a działania SB dotyczące jego osoby trwały nawet po jego śmierci w 1974 r.

skopatu: „Unika jakichkolwiek otwartych konfliktów z władzami państwowymi. Wygłosił kilka patriotycznych kazań. Jeden z czołowych inicjatorów uchwał, listów i działań prowadzących do zaostrożania stosunków z państwem. Jeżeli w rozmowach z przedstawicielami władz państwowych i w niektórych wystąpieniach publicznych deklaruje swoją lojalność, to czyni to w zasadzie ze względów osobistych i taktycznych, by uzyskać określone korzyści dla siebie. Potwierdzeniem dwulicowej postawy Kominka wobec władz państwowych jest jego postawa w czasie ostatnich wydarzeń związanych z listem Episkopatu [...]. Istnieje pewna grupa biskupów, w tym kard. Kominek, która widzi możliwość pozytywnego układania stosunków z władzami, licząc, że przyniesie to im określone korzyści”.

Wspomnieć należy w tym miejscu także o pewnych słabościach bohatera

niniejszego tekstu, związanych szczególnie z zarządzaniem archidiecezją wrocławską. Wbrew sądom wielu historyków (szczególnie tych wywodzących się z Wrocławia) kard. Kominek nie okazał się przez cały okres swoich rządów wybitnym ordynariuszem powierzonej mu diecezji. Problemy z tym związane stały się szczególnie widoczne na początku lat 70. w postaci konfliktów personalnych wśród osób piastujących najważniejsze funkcje w archidiecezji (chodziło m.in. o stanowiska kurialistów oraz rektora WSD we Wrocławiu). Trudna sytuacja personalna w archidiecezji doprowadziła do interwencji biskupów pomocniczych abp. Kominka: bp. Andrzeja Wronki, bp. Wincentego Urbana i bp. Pawła Latuska u kard. Wyszyńskiego, który był wyposażony w pełnomocnictwa specjalne udzielone przez Stolicę Apostolską, dzięki czemu posiadał wiele uprawnień legata papieskiego, w tym także do regulacji sytuacji kościelnej na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Wspomniani biskupi najpierw skierowali list, a następnie spotkali się z prymasem 2 września 1971 r. Głównymi zarzutami wysuniętymi wobec kard. Kominka były odsunięcie biskupów pomocniczych od wpływu na archidiecezję, „wszechwładza” ks. Jana Kruciny oraz problemy związane z funkcjonowaniem seminarium duchownego kierowanego przez ks. Józefa Majkę. Prymas miał świadomość istniejących głębokich sporów i stanął po stronie odsuniętych biskupów pomocniczych, na czele z bp. Wronką, którego darzył szczególnie szacunkiem. Z tego względu kilkakrotnie w latach 1971–1973 podejmował interwencje u abp. Kominka mające na celu doprowadzenie do uporządkowania sytuacji w archidiecezji. Metropolita wrocławski nie potraktował działań kard. Wyszyńskiego jako ingerowanie w sferę własnych kompetencji, ale wykazał zrozumienie (choć wiele w swoim podejściu nie zdążył zmienić, gdyż w 1974 r. zmarł). Problemy w diecezji pozostały, o czym świadczy jej funkcjonowanie w okresie przejściowym między śmiercią kard. Kominka a objęciem rządów przez abp. Gulbinowicza.

ULEGŁY NASTĘPCA

Ważną refleksją na temat roli kard. Kominka w działalności Kościoła

w Polsce kard. Wyszyński podzielił się na pierwszym posiedzeniu plenarnym Episkopatu po jego pogrzebie w 1974 r.: „Kardynał Kominek był pierwszym polskim metropolitą we Wrocławiu po przyłączeniu Ziemi Zachodnich do ojczyzny. Wspomagał ks. prymasa w zabiegach u Stolicy Apostolskiej o kanoniczną stabilizację tych ziem. Był członkiem Rady Głównej oraz przewodniczącym Komisji Episkopatu do spraw Duszpasterstwa Ogólnego. Swoją osobowością, pracowitością i doświadczeniem wspierał Episkopat na posiedzeniach plenarnych. Pozostanie na zawsze w pamięci jako dobry człowiek”. Ze znaczącej roli arcybiskupa metropolity wrocławskiego w polskim Kościele zdawały sobie sprawę też władze, toteż po śmierci kard. Kominka rozpoczęła się prawdziwa batalia między komunistami a Episkopatem Polski o to, kto zostanie następcą zmarłego hierarchy. Po dwóch latach konfliktu, w 1976 r., władze PRL wyraziły zgodę, by był to bp Henryk Gulbinowicz. Ich decyzja wynikała z tego, że wspomniany hierarcha prezentował w latach 1970–1975 jako administrator apostolski w Białymstoku uległą postawę wobec władz; prowadził tajne rozmowy z funkcjonariuszami SB (które rozpoczęły się, jeszcze zanim stał się rządcą diecezji) oraz prezentował wątpliwą postawę moralną.

Kardynał Bolesław Kominek swoim życiem i działalnością założył na poczesne miejsce wśród hierarchów kościelnych działających w okresie PRL. Był wybitnym intelektualistą, autorem lub współautorem wielu kluczowych programów duszpasterskich Kościoła katolickiego po 1956 r., odgrywał także istotną rolę w Episkopacie Polski. Niezwykle ważne były jego zabiegi w Stolicy Apostolskiej o ustanowienie stałej administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Udało mu się również odbudować funkcjonowanie archidiecezji wrocławskiej po rządach ks. Lajosza (informatora bezpieki i księdza patrioty). Nie oznacza to oczywiście, że nie miał wad, gdyż te były szczególnie widoczne w braku umiejętności zarządzania podległą mu archidiecezją pod koniec życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest historykiem i politologiem, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, profesorem UKSW, pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERKA

Zbrodnie do końca

Niemcy, widząc klęskę III Rzeszy już od pogromu ich armii pod Stalingradem, do końca trzymali się ideologii i praktyki ludobójstwa. Nawet w ostatnich dniach istnienia ich państwa do końca realizowali doktrynę, że podludzi nie można zostawić przy życiu. Dziś, na skutek fałszywej polityki historycznej i powierzchownego, płytkiego nauczania w szkołach oraz szkodliwej działalności mediów, zdołano wykształcić przekonanie, że Niemcy przyznali się do swych win, dokonali ekspiacji i rozliczyli się przed światem, a szczególnie przed społecznościami najbardziej poszkodowanymi. To nieprawda, poza odpowiedzialnością wobec Żydów (polityczną, moralną i przede wszystkim finansową) inne narody daremnie oczekują sprawiedliwości. W tym przede wszystkim Polacy.

Tylko niewielka część ludobójczych zbrodniarzy poniosła jakąkolwiek odpowiedzialność za swe czyny. Rozliczenia w powojennych Niemczech okazały się kpiną. Niskie wyroki, inne szybko zmniejszane z uwagi na stan zdrowia, wiek i inne okoliczności, świadczą, że mamy do czynienia z kpiną ze sprawiedliwości. A przecież bardzo wielu sprawców budowało „nowe Niemcy”, bez rozliczenia własnych zyciorysów. Prawnicy, aparat partyjny NSDAP, esesmani, gestapowcy itd. byli pełnoprawnymi, zasłużonymi obywatelami, którym nie ograniczano dostę-

pu do struktur państwowych i wojskowych.

Na tym tle warto wspomnieć zbrodnie ostatnie, dokonywane niejednokrotnie prawie na oczach zachodnich aliantów na więźniach nie tylko obozów koncentracyjnych i cywilnej ludności terenów okupowanych do końca, lecz także na więźniach oflagów! Czy to tylko wydawane rozkazy tak oddziaływały czy to jednak była silna więź z wyznawaną ideologią?

Rozpatrmy to na przykładzie obozu jenieckiego Murnau. Na początku 1945 r. przebywało w nim 23 generałów WP, 64 pułkowników i kilka tysięcy innych polskich oficerów. Po Powstaniu Warszawskim doszło prawie 600 jego uczestników (w tym rtm. Witold Pilecki). Pod koniec kwietnia 1945 r. jeńcy byli ostrzeżeni, że do obozu zbliżają się eksterminacyjne oddziały SS. Ale obozowy ruch oporu broni nie miał. Gdy 29 kwietnia na drodze z Monachium pojawiły się amerykańskie czołgi, jeńcy byli uratowani. Z drugiej strony nadciągały niemieckie samochody z mordercami. Dowodził nimi generał SS Otto Fick. Proporcja sił była jednoznaczna – Amerykanie wybili część oprawców, reszta oddała się do niewoli. W teczce generała Amerykanie znaleźli rozkaz eksterminacji jeńców własnoręcznie podpisany przez H. Himmlera. Do pomocy Fick miał mieć doborowe oddziały SS zmierzające już z Monachium. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zdrajca z konieczności

Nie jest celem niniejszego felietonu opisywanie tragedii narodowej zwanej potopem szwedzkim. Warto jednak przypomnieć najważniejsze fakty. Korpusy Skandynawów wkroczyły od północy, a Rzeczpospolita nie wytrzymała uderzenia. Jako pierwsze 25 lipca 1655 r. pod Ujściem poddało się pospolite ruszenie z Wielkopolski, a kilka dni później Szwedzi wkroczyli do Poznania.

Szlachta nie chciała walczyć z najeźdźcami, kolejno rezygnowały z oporu poszczególne województwa. Na początku sierpnia w Rydze przedstawiciel hetmana wielkiego litewskiego, Janusza Radziwiłła, podpisał porozumienie ze Szwecją. Układ został potwierdzony w Jaswojnach 18 sierpnia 1655 r. wspólnie przez hetmanów Radziwiłła i Wincentego Gosiewskiego (hetmana polnego).

Unia polsko-litewska miała zostać zerwana, a Wielkie Księstwo związane ze Szwecją. Jej król, Karol Gustaw, zobowiązał się odzyskać dla Litwy wszystkie ziemie utracone na rzecz Rosji w ostatnich latach, przestrzegać miał również wolności szlacheckich i swobody wyznaniowej. Radziwiłła można łatwo rozgrzeszyć, Litwa faktycznie znalazła się w krytycznym położeniu. Rosjanie opanowali większość jej terytorium, zagony rosyjsko-kozackie wtargnęły już nawet na ziemie Korony, zajmując Lublin, Kazimierz i Puławę. Padły Grodno i Kowno, a w rękach Litwinów pozostała

praktycznie wyłącznie Żmudź.

Książę Janusz czuł się przede wszystkim Litwinem. Po wygaśnięciu Jagiellonów jego rodzina aspirowała do roli miejscowej dynastii, prymat Radziwiłłów uznawano powszechnie w kraju i poza jego granicami. Hetman był mężczyzną w sile wieku (miał 43 lata) i uważał, że przed nim jeszcze wiele lat politycznej kariery.

Radziwiłł odnosił pojedyncze sukcesy w wojnie z Moskwą, ale nie potrafił zmienić układu sił. Cofał się na zachód, niewykluczone zresztą, że pod wpływem klęsk w jego głowie dojrzywał plan przejścia dziedzicznej władzy nad Litwą. Do korony polskiej nie dążył, ale mitra wielkoksiążęca była w zasięgu jego ręki.

Otrzymał ją mógł jednak tylko pod protekcją Szwedów. Porozumienie z Moskalami nie wchodziło w rachubę, dumny magnat zupełnie nie nadawał się na posłusznego wykonawcę rozkazów cara. Podobnie jak nie można było sobie wyobrazić dwóch bardziej różnych od siebie formacji ustrojowych niż Rzeczpospolita i państwo moskiewskie. Swobody szlacheckie i wschodnie samodzierżawie. Polski parlamentaryzm, wolna elekcja kontra carski absolutyzm. Wolność religijna (istniejąca jeszcze w Rzeczypospolitej, pomimo kontrreformacji) i prawosławie jako podpora tronu. Rzeczywiście miał czego obawiać się Radziwiłł i jemu podobni... ©

GRYZĄCA STAŻYSTKA

W nowojorskim biurze kancelarii prawnej Sidley Austin doszło do niecodziennych incydentów. Otóż odbywająca w niej staż młoda kobieta zaczęła gryźć swoich współpracowników. Ofiar takiego zachowania naliczono ok. 10. Ponoć nie było ono samo w sobie agresywne, lecz miało charakter dziwacznych żartów. Z tego powodu początkowo stażystki nie dyscyplinowano, zwłaszcza że uchodziła za sympatyczną koleżankę. Ostatecznie jednak, gdy sytuacja się powtarzała, zdecydowano o zwolnieniu kobiety.

PRACA NA POKAZ

Chodzenie do pracy na pokaz to nowy trend społeczny w Chinach. Młodzi bezrobotni płacą firmom 30–50 juanów dziennie (za tę kwotę można kupić prosty posiłek w niedrożej restauracji), żeby spędzać czas w ich biurach. Robią to po to, żeby z jednej strony wyrabiać w sobie dyscyplinę, z drugiej – żeby podnosić swój prestiż społeczny. Często jest to udawanie pracy przed rodziną lub uczelnią.

FAŁSZYWE RANDKI

Brazylijska influencerka poskarżyła się, że ktoś przez rok podszywał się pod nią on-line. Jej zdjęcia i nagrania były używane, żeby uwieść mężczyznę, który był w związku z inną kobietą. Influencerce przydarza się coś takiego nie pierwszy raz. O tej ostatniej sytuacji dowiedziała się ona od kobiety, za plecami której mężczyzna randkował w Internecie, a która go na wirtualnym romansie przyłapała. ©e

Filip Memches

PIJANY PILOT

Przedsiębiorstwo lotnicze EasyJet zawiesiło jednego ze swoich kapitanów po tym, gdy w hotelu na Wyspach Zielonego Przylądka widziano go nagiego i pijanego. Według świadków uczestniczył on w długiej libacji i przechadzał się w upojnym stanie po recepcji, siłowni i spa. Kilkadziesiąt godzin później miał się za stery samolotu pasażerskiego. Linia lotnicza weszła w tej sprawie dochodzenie.

SKONFISKOWANE LALKI

W Oldham (Wielka Brytania) służby skonfiskowały 104 podróbki lalek Labubu o łącznej wartości 800–1000 funtów. Chodzi o chińskie tanie wersje popularnych zabawek, które zyskały popularność dzięki TikTokowi. Okazuje się, że podróbki stanowią zagrożenie dla dzieci. Takie małe elementy zabawek, jak oczy, ręce i nogi, łatwo się odrywają, ich połknięcie przez dziecko grozi zadławieniem. Oryginalna lalka Labubu kosztuje od 32 do 94 funtów.

FOT. ANDRZEJ STOLIK

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Roboty zastąpią rekrutów?



JACEK PRZYBYLSKI

Aż o jedną piątą zmniejszyła się w ciągu sześciu lat liczebność sił zbrojnych Korei Południowej z powodu gwałtownego spadku liczby mężczyzn w wieku poborowym.

Władze w Seulu alarmują, że najniższy współczynnik dzietności na świecie (zaledwie 0,72 dziecka na kobietę w 2023 r.), z którym borykają się Koreańczycy z Południa, sprawił, że liczba 20-latków zmniejszyła się o jedną trzecią. Już teraz brakuje 50 tys. żołnierzy, aby utrzymać pełną gotowość do obrony kraju. Armia Korei Południowej liczy już bowiem 450 tys. żołnierzy,

choć na początku XXI w. było to niemal 700 tys. Armia Korei Północnej liczy ok. 1,2–1,3 mln żołnierzy.

Brak nowych rekrutów może wkrótce znacząco utrudnić Seulowi prowadzenie operacji wojskowych – pojawi się bowiem również niedobór oficerów. Część Koreańczyków uważa więc, że skoro kobiety nie chcą rodzić, to powinny podlegać obowiązkowi wojskowemu.

Korea Południowa to jeden z wielu krajów, który ma kłopot ze spadającą dzietnością. Rekrutów na współczesnym polu walki mogą więc wkrótce zastąpić nowoczesne roboty.

Spadek dzietności poniżej poziomu zastępowalności pokoleń budzi też obawy władz w Pekinie. Chińczycy opracowali już więc np. watahy uzbrojonych czworonożnych robotowilków. Polujące stadnie oddziały mogą przeprowadzać szturmowe w terenie lub w mieście, prowadzić obserwację lub służyć do transportu. Potrafią wspinać się po drabinach i współdziałać z ludźmi. Zdaniem analityków wojskowych roboty tego typu mogą wywrzeć jeszcze większy wpływ na współczesne pole bitwy niż powszechne już drony. A to dopiero początek robotyzacji wojny... ©e



Duch Bandery nad Wisłą

Policja zabezpieczająca koncert Maksa Korża na Stadionie Narodowym

FOT. KOMENDA STOLECZNA POLICJI

Białoruski raper Maks Korż wypełnił PGE Narodowy po brzegi. Sześćdziesiąt tysięcy biletów zostało wyprzedanych w ciągu zaledwie kilku minut. O koncercie zrobiło się jednak głośno głównie z powodu banderowskiej symboliki i agresywnego zachowania fanów, którzy przeskakiwali barierki oddzielające trybuny od płyty stadionu i atakowali ochroniarzy. Tłum uspokoił się dopiero po tym, jak organizatorzy zagrozili odwołaniem występu, który zaczął się zresztą z opóźnieniem. Dzień wcześniej fani rapera dali się we znaki mieszkańcom Woli, którzy musieli wysłuchiwać nielegalnego koncertu Maksa Korża w swojej dzielnicy. I tutaj już odpowiedzialność leży po stronie samego artysty, który najwyraźniej zapomniał, że w Polsce, inaczej niż na Białorusi, nie trzeba się bawić w partyzantkę i organizować podziemnych koncertów – można zwyczajnie zwrócić się o odpowiednią zgodę. A już zupełnie poważnie: zarówno muzyk, jak i jego wielbiciele wykazali się całkowicie lekceważącym stosunkiem do warszawiaków.

Nacjonalistyczne symbole – banderowska flaga czerwono-czarna i ukraińska flaga narodowa „ozdobiona” wilczym hakiem



Maciej Pieczyński

Skandal wokół koncertu Maksa Korża w Warszawie pokazał po raz kolejny, że Ukraińcy i Białorusini pod wieloma względami więcej wspólnego mają ze sobą wzajemnie i z Rosjanami niż z Polakami. Natomiast banderowskie flagi wśród fanów znanego rapera to kolejny obrazek w galerii przedstawiającej wzrost antypolskich nastrojów nad Dnieprem

– powiewały na Stadionie Narodowym na koncercie białoruskiego rapera, który co prawda potępia wojnę, ale jednocześnie śpiewa po rosyjsku i występuje w Rosji, a w 2016 r. dostał nawet od Kijowa pięcioletni zakaz wjazdu za to, że koncertował na okupowanym Krymie. Brzmi to wszystko dość zaskakująco. Rozwiązanie zagadki nie jest jednak trudne.

WSPÓLNOTA POPKULTURY

Po pierwsze, Maks Korż jest gwiazdą, której słuchają zarówno Białorusini, jak i Rosjanie czy Ukraińcy. Często niezależnie od poglądów politycznych. Te trzy wschodniosłowiańskie narody mają ze

sobą więcej wspólnego, niż się wielu w Polsce wydaje. Często oglądają te same serie i filmy, słuchają tej samej muzyki i śmieją się z tych samych memów. Popkultura na wschodniej Słowiańszczyźnie nie znała granic przed 24 lutego 2022 r., a i po tej dacie wszelkie próby ustalenia takiej linii demarkacyjnej skazane były na porażkę. Nawet ukraińscy żołnierze w okopach oglądali rosyjski serial sensacyjny „Słowo pacana”, który nie był ani anty-, ani proputinowski, był wolny od wszelkiej bieżącej propagandy, ale powstał za kremłowskie pieniądze. Kijów bezskutecznie apeluje do swoich obywateli, aby nie słuchali rosyjskiej mu-

zyki, czym ociera się o śmieszność. „Język agresora” wciąż jest językiem uniwersalnym dla wszystkich trzech narodów. Podobnie uniwersalny charakter ma współczesna popularna muzyka rosyjska i rosyjskojęzyczna – nie stare gwiazdy estrady w stylu Ałły Pugaczowej, tylko młodzi, nowocześni twórcy, łączący hip-hop, pop i elektronikę.

Po drugie, Maks Korż co prawda pośrednio poparł aneksję Krymu, występując na półwyspie, ale już pełnoskalową inwazję w 2022 r. jednoznacznie potępił. Podobną drogę przeszedł też ukraiński, ale rosyjskojęzyczny zespół Pjatnica. Po aneksji występował na Krymie, ale po 24 lutego 2022 r. Serhij Babkin (jeden z duetu) przeobraził pacyfistyczny, wielki przebój grupy „Sołdat” na hymn walki z Rosją.

Wracając do Korża, dodatkowy problem z nim jest taki, że w najbliższym czasie planuje koncerty w Nowosybirsku, Jekaterynburgu i Sankt Petersburgu. Niejednoznaczny jest zresztą jego stosunek nie tylko do Rosji, lecz także do Łukaszenki. Z jednej strony, w utworze „Tiepło” („Ciepło”) w zawaolowany sposób krytykował dyktaturę. Z drugiej strony, w 2020 r. wezwał swoich rodaków do zakończenia protestów przeciwko fałszerstwom wyborczym, przekonując ich, że „i tak zwyciężyli”. Generalnie Korż raczej unika polityki zarówno w swoich tekstach, jak i w wypowiedziach publicznych. Z Białorusi wyjechał dopiero w 2024 r., gdy pojawiło się zagrożenie, że zostanie zatrzymany za paradowanie w biało-czerwono-białych barwach na koncertach. Dlatego wśród jego fanów w mediach społecznościowych toczyła się dyskusja, czy wypada pójść na jego warszawski występ. Biorąc jednak pod uwagę błyskawiczną sprzedaż biletów, dylemat ten nie był aż tak wielki. Natomiast już po koncercie w Internecie pojawiły się głosy Białorusinów, zawiedzionych faktem, że Korż nie powiedział ani słowa po białorusku, a poza tym w żaden sposób nie odniósł się do rocznicy sfałszowanych przez Łukaszenkę wyborów, która przypadła w dniu występu. Wyszedł więc niezły galimatias. AntyŁukaszenkowski Białorusin zaśpiewał dla podobnie myślących rodaków w ważnym dla nich dniu, ale symbolikę tego dnia zignorował, a show i tak skradli ukraińscy neobanderowcy.



Na warszawskim koncercie Maks Korża wśród publiczności pojawiły się emblematy banderowskie. FOT. SŁUŻBY W AKCJI/X

Oczywiście naiwnością byłoby sądzić, że wymachiwanie czerwono-czarnymi flagami nie jest antypolskim gestem. Po tylu latach sporów o prawdę historyczną szczególnie mieszkający w Polsce Ukraińcy po prostu muszą wiedzieć, czym nad Wisłą jest kult OUN i UPA, Stepana Bandery i Romana Szuchewycza. Paradowanie z taką symboliką jest więc absolutnie antypolskim gestem. Wymowny jest przypadek młodego Ukraińca, który opublikował w swoich mediach społecznościowych zdjęcie z koncertu z komentarzem: „Polaków boli i o to w tym wszystkim chodzi”. Na innym zdjęciu pozuje pod Lotniskiem Chopina i komentuje: „Słakani Polacy wygonili z kraju po koncercie Korzha”. A wcześniej ten sam polonofob chwalił się w Internecie dyplomem ukończenia polskiego technikum.

Ukraińskie media, informując o skandalu na PGE Narodowym, temat banderowskich barw komentowały z reguły ostrożnie i eufemistycznie. „Czerwono-czarna flaga UPA nie jest w Polsce oficjalnie zabroniona, jednak u wielu wywołuje sprzeczne emocje z uwagi na trudne strony wspólnej historii” – pisze portal 24tv.ua, po czym „wyjaśnia”, że chodzi o „tragedię wołyńską”, czyli „krwawe konflikty między Polakami a Ukraińcami”, w których „obie strony poniosły wielkie straty, ale w Polsce szczególnie się pamięta o śmierci polskich cywilów z rąk ukraińskich nacjonalistów”. Z kolei portal NV.ua odnotowuje, że „w polskim społeczeństwie flaga czerwono-czarna może wywoływać niejednoznaczną reakcję z uwagi na tragedię wołyńską”. Warto jednak podkreślić, że Ukrainiec, który na

jednym z nagrań z koncertu ze szczególną dumą prezentował banderowską flagę, nagrał potem wideo, na którym przeprosił Polaków i zapewnił, że nie miał złych intencji. Nie wiadomo, co go skłoniło do przeprosin (które można docenić), wiadomo jednak, że to odosobniony głos (wymuszonej czy szczerej) autorefleksji.

Tymczasem ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Bodnar skrytykował swoich rodaków za to, że słuchają Maks Korża. „Koncert był w języku rosyjskim, a ci, którzy posługują się tym językiem, zabijają teraz Ukraińców” – komentował. Ta wypowiedź jeszcze bardziej komplikuje obraz sytuacji.

ROSYJSKI KULT SIŁY

Przebywający w Polsce Ukraińcy w swej masie wychowani są więc z jednej strony na rosyjskojęzycznej popkulturze, z drugiej zaś – na kulcie Bandery. Ani z jednego, ani z drugiego nie zamierzają raczej zrezygnować. Pod względem kulturowo-cywilizacyjnym większą więź czują nie tylko ze swoimi rodakami, lecz także – paradoksalnie – z Białorusinami czy Rosjanami niż z Polakami. Łączy ich nie tylko język, lecz także – co było widoczne na koncercie – agresywne zachowanie. Kult siły to domena rosyjska, jest on jednak nieobcy również dwóm pozostałym wschodniostłowiańskim narodom. Dziesięciolecia wspólnego życia w Związku Sowieckim nie poszły na marne. Można zaryzykować stwierdzenie, że zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy (a także Gruzini, co widać w statystykach dotyczących przestępczości) mentalnie wciąż w pewnym sensie żyją w bandyckich

latach 90., z których Polacy już dawno wyrosli. A to z czasem może się okazać bardzo poważnym problemem. Jeśli zaś chodzi o sam kult Bandery i Szuchewycza, to nie ma co prawda w Polsce (jeszcze!) knajp banderowskich na wzór lwowskiej Kryjówki, działają za to knajpy należące do właściciela tejże Kryjówki. To np. niezwykle popularna sieć barów Pijana Wiśnia, nawiasem pisząc – sama w sobie antypolskiej symboliki pozbawiona.

Rzekoma „przyjaźń” polsko-ukraińska nie tylko w politycznym, lecz także w społecznym wydaniu odeszła już dawno do lamusa. Polacy są zmęczeni ukraińską niewdzięcznością. Nastroje nad Wisłą, jak wiadomo, są Ukraińcom coraz bardziej niechętnie. Z wzajemnością. Oczywiście można się oszukiwać, że wszelkiego rodzaju antypolskie incydenty z Banderą w tle to wynik rosyjskiej prowokacji. Nawet jednak jeśli czerwono-czarną flagę (w co trudno uwierzyć) na Stadion Narodowy wniósł agent Putina, to jakoś żaden z tysięcy bawiących się tam Ukraińców tej manifestacji antypolonizmu się nie przeciwstawił. Albo ich to nie zainteresowało, albo ten gest zwyczajnie popierali. Zdaje się, że właśnie takie są dominujące postawy wśród Ukraińców – zarówno tych na Ukrainie, jak i tych w Polsce. Generalnie zainteresowanie historią jest nad Dnieprem o wiele mniejsze niż nad Wisłą. Ale jeśli już Ukraińcy się przeszłością interesują, to informacje i opinie na jej temat czerpią z książek, pisanych przez ich rodaków. Bo dlaczego mają wierzyć Polakom, a nie swoim? I dlatego, jeśli coś wiedzą o Wołyniu, to tyle, że był to niewiele znaczący epizod „wojny polsko-ukraińskiej”, w której to strona polska była tą agresywną. Znają zafałszowaną wersję wydarzeń. A wszelkie próby tłumaczenia prawdy o ludobójstwie potępiają w czambuł jako kremlowska propagandę. Dialog jest dziś niemal niemożliwy. I chyba

Białoruski raper Maks Korz cieszy się popularnością nie tylko w swoim kraju, lecz także w Rosji oraz na Ukrainie

FOT. MAXKORZHEU

niepotrzebny, bo Polska do niczego obecnie Ukraińców nie potrzebuje.

Promocja banderyzmu na PGE Narodowym to kolejny tego typu antypolski incydent w ostatnim czasie. Poprzednim była dewastacja pomnika ofiar zbrodni wołyńskiej w Domostawie, na którym ktoś namalował czarno-czerwone barwy i napisał cyrylicą „Chwała UPA”. Wiadomo już, że ABW zatrzymała sprawcę – 17-letniego obywatela Ukrainy, który miał działać na zlecenie Rosji. Moskwa z pewnością robi wiele, aby skłócić Kijów z Warszawą. Coraz rzadziej jednak taka „pomoc” jest potrzebna. Ukraina świetnie sobie radzi sama. Nieporozumieniem jest twierdzenie, że Ukraińcy nie mogliby zdewastować pomnika wołyńskiego, bo przecież wiedzą, iż to by pogorszyło ich relacje z Polską. Nasi południowo-wschodni sąsiedzi po 24 lutego 2022 r. setki razy udowodnili, że naszą opinią się nie przejmują. Kult OUN i UPA, blokowanie ekshumacji ofiar banderowców, oskarżenia o prorosyjskość, niszczenie polskiej gospodarki przez ukraińskich oligarchów, sprawa Przewodowa – przykładów lekceważenia Polski jest aż nazbyt wiele i są one aż nazbyt oczywiste.

ALBO POLONIZACJA, ALBO DEPORTACJA

A niedawno doszedł kolejny, wielce symptomatyczny. W połowie lipca ukraińska Rada Najwyższa uznała za ofiary deportacji Ukraińców, wysiedlonych z Polski po drugiej wojnie światowej. Oznacza to, że mogą oni liczyć na odszkodowanie od państwa w postaci jednorazowej zapomogi. Ustawa przewiduje też oficjalne uznanie deportacji za działanie nielegalne i naruszające prawa człowieka, zobowiązanie państwa do pielęgnowania pamięci o przymusowych wysiedleniach, a także kultywowanie pamięci historycznej w przestrzeni publicznej i edukacyjnej. Chodzi o deportacje z lat 1944–1951, których kulminacją była akcja „Wisła” w 1947 r. Ustawa została przyjęta pięć dni po tym, jak Polska po raz pierwszy obchodziła rocznicę

krwawej niedzieli jako Narodowy Dzień Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej. Kijów krytykował tę nową formułę święta (wcześniej w jego nazwie mowa była o „ukraińskich nacjonalistach”, a nie o konkretnych organizacjach). Tak jak zresztą w przeszłości krytycznie odnosił się do wszelkiego rodzaju państwowych uroczystości, upamiętniających Wołyń. Ukraińskim elitom politycznym, medialnym i naukowym nie podoba się nie tylko wzmianka o „ludobójstwie”, lecz także generalnie – dla nas oczywiste – ujęcie sprawy w taki sposób, że to Polacy byli ofiarami Ukraińców, nie odwrotnie. Dlatego ustawę o deportacji, przegłosowaną w takim, a nie innym terminie można traktować jako rodzaj propagandowej zemsty za Wołyń.

Z opublikowanego na początku maja sondażu pracowni Personnel Service wynika, że sympatia Ukraińców do Polaków systematycznie spada. I choć 9 na 10 mieszkających w Polsce Ukraińców dobrze ocenia sytuację zawodową w kraju, to jednak tylko co siódmy planuje na stałe osiedlić się w naszym kraju. Oby ta ostatnia statystyka okazała się prorocza. Bo jeśli nie chcemy być II Rzeczpospolitą-bis, zmagającą się z wrogimi i asertywnie broniącymi swojej odrębności mniejszościami (a w zasadzie jedną mniejszością), to powinniśmy radykalnie zmienić stosunek do ukraińskiej diaspory. Albo polonizacja, albo deportacja. A jeśli nie uda się ani jedno, ani drugie, to przynajmniej trzeba zadbać o odpowiednią edukację młodych Ukraińców w polskich szkołach – zero ukraińskiego punktu widzenia na historię. Tylko prawda o ludobójstwie wołyńskim. Wtedy może po powrocie do kraju przynajmniej zasieją ziarna wątpliwości w oficjalną, neobanderowską narrację. Na szczęście, przynajmniej w konkretnym przypadku awantur na PGE Narodowym, służby państwa polskiego dość szybko i sprawnie zareagowały na wybrki przyszłów ze Wschodu. Trzy dni po koncercie szef rządu poinformował, że wszczęto procedurę wydalania z kraju wobec 63 osób, które będą musiały opuścić kraj dobrowolnie lub przymusowo, jeśli nie zdecydują się na wyjazd dobrowolny. W tej grupie jest 57 Ukraińców i 6 Białorusinów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

TOMASZ CUKIERNIK: Proszę opowiedzieć o pana polskich korzeniach.

TOMASZ FROELICH: Moi rodzice pochodzą ze Szczecina, moi dziadkowie z Opoczna, Płocka, Jodłówki Tuchowskiej oraz z Suwalszczyzny. Moi pradziadkowie walczyli w wojnie polsko-bolszewickiej i w Powstaniu Warszawskim po stronie polskiej. Część moich przodków była, jak można poznać po nazwisku, etnicznie niemiecka, ale zasymilowana w Polsce. Jestem dumny ze wszystkich moich przodków i mojego pochodzenia. W domu pielęgnujemy nasze polskie korzenie, mówimy po polsku i odwiedziliśmy miejsca pochodzenia moich przodków. Kocham Polskę.

Jak ocenia pan aktualny polski rząd z niemieckiego punktu widzenia?

Donald Tusk to polska Ursula von der Leyen. Uważam, że rząd przez niego prowadzony stanowi wielkie zagrożenie dla Polski, Niemiec i Europy. On i jego partia opowiadają się za rezygnacją z suwerenności narodowej, za samobójczym dla gospodarki Zielonym Ładem, za eskalacją geopolityczną, za większą cenzurą w Internecie, a ostatecznie także za masową migracją, chociaż przed wyborami to u nich inaczej brzmi. Zdaję sobie sprawę, że Tusk w Polsce często jest nazywany reprezentantem niemieckich interesów. Ale co z tego, co wymieniłem, jest w interesie Niemiec? Nic! Dlatego moje zdanie o Tusku i obecnym polskim rządzie jest druzgocące.

Moje zdanie o PiS jest łagodniejsze. Jako AfD wielokrotnie broniliśmy suwerenności Polski w Parlamencie Europejskim, gdy rząd PiS był atakowany przez eurokratów: gdy chodziło o tzw. strefy wolne od LGBT, gdy chodziło o zaostrenie prawa aborcyjnego, gdy chodziło o uruchomienie wypłat z tzw. Funduszu Odbudowy. PiS przynajmniej retorycznie bronił wartości chrześcijańskich i tradycyjnych, stawiając opór silnej presji. Dodatkowo postawił na retorykę krytyczną wobec migracji. To było i jest także w naszym interesie. Jednocześnie trzeba zauważyć, że ta retoryka nie zawsze przekładała się na rzeczywistość. Migracja do Polski wzrosła, opór wobec Zielonego Ładu był słaby. I myślę, że PiS popełnił wiele błędów w polityce wobec Ukrainy, które teraz są jeszcze bardziej spotęgowane przez PO.

Czy AfD to partia nazistowska? Czy AfD prowadzi politykę nieprzyjazną Polsce, jak twierdzą media głównego nurtu? Czy AfD widzi rolę Polski jako część niemieckiej Mitteleuropy?

Gdyby AfD była neonazistowska i antypolska, nigdy bym do niej nie przystąpił i nigdy nie wybrano by mnie na wiceprzewodniczącą jej delegacji w Parlamencie Europejskim. Nie, AfD stanowczo odrzuca narodowosocjalistyczną ideologię. Kto wypowiada się w tym sensie, tego wyrzucamy. I mamy, w przeciwieństwie do innych partii, listę niezgodności: kto był lub jest członkiem neonazistowskich struktur, ten nie może zostać członkiem AfD.

nazwa tych regionów, która jest wciąż powszechnie używana. Na przykład publiczna telewizja tych regionów nosi nazwę „Mitteldeutscher Rundfunk” (MDR), bez żadnych oskarżeń o rewizjonizm.

Twierdzenie, że AfD dąży do rewizji granicy niemiecko-polskiej, to czysta dezinformacja. Nie znajdzie się żadnej wypowiedzi polityka AfD, w której żąda on rewizji granic. Żadnej. W programie partyjnym nie ma o tym ani słowa. To nie jest temat w AfD. Jesteśmy nawet zadowolony z tego, że Gdańsk, Wrocław i Szczecin dzisiaj nie wyglądają jak Dortmund, Frankfurt czy Berlin. Mówię to szczerze: AfD nie jest partią propolską,



Z Tomaszem Froelichem, posłem do Parlamentu Europejskiego z ramienia Alternatywy dla Niemiec

rozmawia Tomasz Cukiernik

Tusk to zagrożenie dla Polski i Niemiec

Ciągle słyszę, że AfD prowadzi politykę wrogo nastawioną do Polski. To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, ale wiem, skąd pochodzi ta narracja: w Polsce AfD oskarżana jest np. o domaganie się rewizji granicy niemiecko-polskiej. A to z kolei wynika z tego, że nasza przewodnicząca Alice Weidel w jednym tweecie nazwała dzisiejsze Niemcy Wschodnie „Niemcami Środkowymi”, z czego polskie media głównego nurtu natychmiast skonstruowały żądanie rewizji granic. Trzeba jednak wiedzieć, że „Niemcy Środkowe” to historyczna

lecz proniemiecką. Z pewnością jednak jest to najbardziej przyjazna wobec Polski niemiecka partia. I tak jest od lat. Powyżej o tym wspominałem: kiedy inne niemieckie partie w czasach rządu PiS zaatakowały Polskę, my zawsze broniliśmy polskiego rządu i walczyliśmy o suwerenność Polski.

Po co Elon Musk poparł AfD?

Wsparcie Elona Muska jest dla nas zaszczytem. On zapoznał się z AfD i stwierdził, że AfD nie jest taka, jak to przedstawiają media mainstreamowe: jesteśmy partią patriotyczną, prawicową

■ i wolnorynkową, a nie neonazistowską, skrajnie prawicową czy narodowosocialistyczną. Wsparcie Muska wydaje się kompatybilne z jego światopoglądem. On chce politycznej zmiany: Nie dla woke. Nie dla multikulti. Nie dla masowej migracji. Nie dla interwencjonizmu wojennego. Nie dla klimatycznych dyktatów. Tak dla patriotyzmu. Tak dla własnej kultury. Tak dla własnego narodu. Tak dla pokoju. Tak dla gospodarki rynkowej. Tylko AfD w Niemczech stoi za tymi wartościami.

Wsparcie Elona Muska jest także potwierdzeniem naszej polityki zagranicznej i podnosi naszą renomę w kraju i za granicą. Często oskarża się nas, że jesteśmy piątą kolumną Putina. Oczywiście to nieprawda, a fakt, że Biały Dom teraz staje po stronie AfD, jest najlepszym dowodem na to. My stosujemy po prostu podejście wielowektorowe: kto chce realizować swoje interesy, ten musi mieć pragmatyczne relacje z mo-

Ciągle słyszę, że AfD prowadzi politykę wrogo nastawioną do Polski. To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością

carstwami hegemonicznymi, nawet jeśli ich nie lubi: z USA, Chinami, także Rosją. To odróżnia nas od innych partii, które reprezentują podejście oparte na wartościach, które sięga tak daleko, że chcą je światu narzucić, a potem dziwią się, że Niemcy są międzynarodowo całkowicie izolowani, geopolitycznie nieistotni i militarystycznie impotentni – wszystko to dla idiotycznego pomysłu związanego z przyjęciem skorumpowanej Ukrainy do struktur zachodnich, jak np. NATO.

Anulowanie wyborów w Rumunii to pana zdaniem największy skandal w Unii Europejskiej. Dlaczego?

Pierwszą turę wyborów prezydenckich w Rumunii wygrał Călin Georgescu, kandydat krytyczny wobec Unii Europejskiej, który sprzeciwia się woke i popiera wartości chrześcijańskie oraz tradycyjne. Do drugiej tury wyborów w ogóle nie doszło, ponieważ wybory zostały unie-



ważnione – dwa dni przed głosowaniem, po tym, jak Sąd Najwyższy w Bukareszcie jeszcze kilka dni wcześniej nie miał żadnych zastrzeżeń. Unieważnienie wyborów uzasadniono „obcą ingerencją” na TikToku. Dowody na to? Brak! Ogłasza się Rumunów infantylnymi idiotami pozbawionymi wolnej woli wyborczej, którym TikTok odbiera prawo do głosowania. Przecież to jest niewiarygodne: przegrywają wybory. Następnie unieważniają wybory. Potem cenzurują media społecznościowe. Wyłączają opozycyjny kanał telewizyjny. A potem aresztują zwycięzcę wyborów. I to wszystko w samym sercu Unii Europejskiej, która milczy. To gigantyczny skandal! Być może ma to na

celu stworzenie precedensu do kolejnych wyborów w Europie: jeśli wynik wyborów się nie zgadza, to po prostu unieważnia się wybory. To nie ma nic wspólnego z demokracją.

Skalę ingerencji Unii Europejskiej widać także na przykładzie Gruzji. Tam wygrała partia, która – podobnie jak Georgescu – broni wartości chrześcijańskich i tradycyjnych przeciwko terrorowi ideologicznemu woke i stawia na pragmatyczne stosunki z Zachodem i ze Wschodem, ponieważ rząd w Tbilisi nie chce, by Gruzja stała się drugą Ukrainą. To nie pasuje globalistycznym graczom, dlatego angażują się w operacje zmiany reżimu i prowokują protesty na ulicach.



powodu cierpieć, ponieważ strumienie migracyjne, które są wynikiem takiej polityki, kierują się głównie w naszą stronę. To nie leży w naszym interesie. Powinniśmy szanować tradycje, wartości i decyzje innych narodów, o ile nie wpływają one na nas, zamiast narzucać im nasze wartości. Zachód od dziesięcioleci robi coś odwrotnego. I coraz wyraźniej widać, jak na poziomie globalnym formuje się opór przeciwko temu.

Niedawno wyszedł na jaw kolejny euroskandal. Jak to możliwe, że doszło do lobbowania Zielonego Ładu przez byłego wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej Fransa Timmermansa pieniędzmi ze składek krajów członkowskich Unii Europejskiej?

Realnie istniejąca Unia Europejska niestety przez ostatnie dziesięciolecia coraz wyraźniej przekształciła się w biurokratyczny aparat opanowany przez lewicowo-liberalne elity. Składki krajów członkowskich są wykorzystywane na liczne projekty ideologiczne, które często stoją w sprzeczności z interesami niektórych państw, a w przypadku Zielonego Ładu nawet z interesami wszystkich narodów europejskich. Postacie takie jak Timmermans są właśnie przykładem elity, która jest w zasadzie całkowicie antyeuropejska, planując dziwaczne fantazje o ratowaniu świata na grobie historycznej Europy. Europa nie będzie już mogła pozwolić sobie na takich aktorów i powiązania, jeśli chcemy jeszcze mieć przyszłość w polityce światowej, zwłaszcza w obliczu reindustrializacji, która staje się kluczowym czynnikiem.

Powszechna opinia jest taka, że to Niemcy rządzą Unią Europejską dla realizacji własnych interesów. Czy Unia Europejska jest narzędziem Niemiec, za którego pomocą rządzą Europą?

Czy pakt migracyjny promujący masową migrację leży w niemieckim interesie? Czy Zielony Ład jest w interesie niemieckiego przemysłu, który jest bardzo energochłonny i w związku z tym zależny od taniej energii? Oba te projekty są dla Niemiec samobójcze!

Wyobrazenie, że Niemcy wykorzystują Unię Europejską do realizacji własnych interesów, wynika z nieporozumienia dotyczącego istoty Niemiec jako państwa i ich roli w Unii. Trudno znaleźć jakiegokolwiek państwo Unii Europejskiej, które dobrowolnie przekazuje tak dużo narodowej suwerenności Brukseli, jak Niemcy. U nas mówi się, że nie możemy nawet kontrolować własnych granic czy deportować zagranicznych morderców, ponieważ zabrania tego prawo unijne. A w ogóle kosmopolityzm Unii jest narodowym nacjonalizmem elit panujących w tym kraju. Ich działanie w ramach Unii Europejskiej nie ma nic wspólnego z autentycznymi niemieckimi interesami, raczej jest tak, że wpływ, który elity berlińskie mają w Brukseli, zawsze wykorzystywany jest na niekorzyść Niemiec. W rzeczywistości ich ideologiczny zapach często staje się obciążeniem dla wszystkich państw członkowskich Unii, np. w formie „zielonej transformacji energetycznej”, która podnosi ceny energii elektrycznej i wprowadza kraje takie jak Norwegia w kłopoty.

Skoro ostatni kanclerze Niemiec czy przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen nie działają w interesie Niemiec, to w czym?

Te osoby znajdują się w typowych zależnościach, których można by oczekiwać na podstawie ich życiorysów: przynależność partyjna, bliskość do określonych lobbystów, osobiste powiązania itd. W tym nie ma nic nadzwyczajnego i nie należy tego zbyt uogólniać. Jednakże wiele z sieci, w których ci politycy najwyższego szczebla funkcjonują, nakłada się na siebie. I oczywiście transatlantyczne lobby jest dużym dachem, pod którym dzieje się wiele. To pozostałość po zimnej wojnie i oczywiście elity Unii Europejskiej również nie sprzeciwiły się wpływom zza oceanu. Ale przy tym sprzymierzyły się z pewną globalistyczną frakcją, która potem w organizacjach ponadnarodowych, takich jak WHO, ONZ i inne, podważa zdolność państw narodowych do działania na rzecz celów globalnych. Temu projektowi pozostali wierni politycy tacy jak Merkel, Scholz, Merz, von der Leyen, a także Tusk, mimo że, ironicznie, nawet w Waszyngtonie wiatr się zmienia i zaczyna wać w dobrym kierunku. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wszystko to przypomina Euromajdan. A to nie są dobre wspomnienia.

Zasadniczo zdecydowanie odrzucam ten zewnętrzny interwencjonizm w obcych przestrzeniach geograficznych. Zachodnimi wartościami, prawami człowieka i demokracją uzasadnia się politykę interwencji, która ostatecznie destabilizuje całe regiony. W przeciwieństwie do USA to my musimy z tego

UE przez ostatnie dziesięciolecia przekształciła się w biurokratyczny aparat opanowany przez lewicowo-liberalne elity. A składki krajów członkowskich są wykorzystywane na liczne projekty ideologiczne

Donald Trump: pół Niemiec, pół Szkot



Teresa Stylińska

„Aberdeen mówi nie faszystomwi”, „Nie dla Trumpa”, „Trump stop. Wolność dla Gazy”, „Idź sobie, niedobry człowieku”, znak zakazu, a na nim paskudna karykatura Trumpa – tej treści transparenty, napisy i obrazki witały Donalda Trumpa podczas jego wizyty w Szkocji. Prezydent nie zdradził, jak je odbierał. Zresztą jako polityk, w dodatku budzący wielkie emocje, musi mieć grubą skórę. Tym razem jednak sytuacja była szczególna. Bo Donald Trump jest w połowie Szkotem

Wyobraźmy sobie, że amerykańskim prezydentem jest człowiek mający polskie korzenie. Nie kryje ich, przeciwnie – mówi o nich z dumą. Przyjeżdża do Polski. Czy to możliwe, by witały go protesty, wrogie demonstracje, demonstracje przed konsulem amerykańskim i transparenty ogłaszające: „Nie chcemy widzieć cię tutaj”? To raczej niemożliwe. Również dlatego, że splendor najwyższej rangi urzędu spływałby po trosze na całą społeczność, nie tylko w Ameryce, nie mówiąc już o szacunku dla gościa, o którym możemy myśleć, że jest w jakimś stopniu „nasz”.

Po ojcu Donald Trump ma korzenie niemieckie. O ile jednak lubi podkreślać, jak bardzo kocha Szkocję, ojczyznę swej matki, nad swym niemieckim pochodzeniem raczej się nie rozwodzi. Nie ukrywa go – byłoby to niewykonalne – Niemcy i niemieckich polityków traktuje jednak z widocznym dystansem. Nie przepuszcza okazji, by wbić im jakąś, często zabawną szpilę, czego ostatnio (o czym

dalej) na własnej skórze doświadczył nowy kanclerz Friedrich Merz.

W DOMKU NA HEBRYDACH

– Ta ziemia jest wyjątkowa, cała Szkocja jest wyjątkowa, a ja dla mojej matki chcę zrobić coś wyjątkowego – mówił Donald Trump, gdy w 2008 r. odwiedził wioskę Tong na Lewis, największej szkockiej wyspie, położonej w archipelagu Hebrydów Zewnętrznych. Skromny domek, w którym dorastała Mary Anne MacLeod, jego matka, nadal należy do rodziny prezydenta. Trump, już wówczas rozważający starania o prezydenturę, wszedł do środka, ale tylko na chwilę. Spędził w domku mniej niż dwie minuty; na wyspie – trzy godziny. Była to jego druga wizyta, ale pierwsza z własnej inicjatywy, bo na Lewis był wcześniej jako małe dziecko.

Te krótkie odwiedziny wytykano mu później nie bez złośliwości, sugerując, że Trumpowi bardziej zależało na zareklamowaniu siebie i przedsięwzięcia, którym była budowa pola golfowego, niż szczerze

Trump lubi podkreślać, jak bardzo kocha Szkocję. Tam jednak nie wszyscy go kochają FOT. JEFF J. MITCHELL/GETTY IMAGES



jak jej najstarsza córka Maryanne, sędzia sądu federalnego, która rodzinną wyspę odwiedziła ponad 20 razy.

CZY NALEŻY PIĆ WHISKY?

Mary Anne znalazła w Nowym Jorku pracę jako pomoc domowa i opiekunka do dzieci. Nie na długo jednak, bo błyskawicznie dokonała awansu społecznego: poznała Freda Trumpa, zamożnego przedsiębiorcę budowlanego, w dodatku uchodzącego za jedną z najlepszych partii w Nowym Jorku. Była to z obu stron miłość od pierwszego wejrzenia i w 1936 r. Mary Anne i Fred wzięli ślub. Donald był czwartym z ich pięciorga dzieci. Imię, obok Malcolmna najbardziej szkockie ze szkockich imion, otrzymał po dziadku ze strony matki.

Z matką był zawsze bardzo mocno związany. Właśnie jej pochodzenie miało natchnąć go myślą, by biznesowo zaangażować się w Szkocji. Szkockie interesy Trumpa to przede wszystkim dwa pola golfowe, połączone z wielkimi kompleksami hotelowymi, w Turnberry koło Glasgow i w Balmedie w hrabstwie Aberdeen na północy. Kolejne pole w Balmedie, otwarte podczas ostatniej wizyty, Trump poświęcił matce.

Czy można jednak zakładać, że przez sentymenty traktuje on Szkotów łagodniej niż innych swych partnerów i rozmówców? Sam niekiedy delikatnie to sugeruje, podkreślając, że Szkocja na pewno skorzysta na umowie handlowej zawartej ostatnio z Wielką Brytanią. Być może. Szkotów najbardziej uradowałoby zniesienie 10-procentowego cła na whisky, główny szkocki artykuł eksportowy. Trump, choć sam jest abstynentem, w rozmowie z premierem Szkocji, Johnem Swinneyem, okazał chyba należyte zrozumienie dla stanowiska Szkotów w tej fundamentalnej kwestii. „Będziemy o tym rozmawiać – powiedział po spotkaniu. – Nie wiedziałem, że whisky stanowi problem. Ja jej nie piję, ale może powinienem?”

KAŻDY JEST SKĄDŚ

W Ameryce, poza tzw. native Americans, czyli Indianami, każdy wywodzi się „skądś”. Szkoci z pochodzenia to, obok Irlandczyków, jedna z największych amerykańskich społeczności. Do szkockich korzeni przyznaje się ok. 25 mln Amerykanów, do irlandzkich jeszcze więcej, bo aż 30 mln. To skutek inten-

sywnej imigracji, której początki sięgają przełomu wieków XVIII i XIX, co nie jest bez znaczenia, bo gdy przybywa pokoleń, wspólnota się rozrasta. Co ciekawe, nawet gdy korzenie są już bardzo odległe, poczucie więzi z krajem przodków wcale nie słabnie. Irlandczyków niezmiennie łączy kwestia zjednoczenia Irlandii (IRA zawsze mogła liczyć na pieniądze od diaspyry z USA), Szkotów – znakomity obraz dawnej Szkocji w mediach, dzięki takim m.in. filmom jak „Braveheart” i „Rob Roy”, a także szkockim gwiazdom, na czele z Seanem Connerym, zdeklarowanym zwolennikiem niepodległej Szkocji.

Nawet niewielka resztką celtyckiej krwi wystarczy, by Amerykanin miał się za Szkota czy Irlandczyka. Znakomicie ilustruje to przypadek eksprezydenta Joe Bidena, w którego żyłach, jak skrupulatnie wyliczyli genealodzy, krew irlandzka stanowi nie więcej niż 3 proc. Mimo to parę lat temu Biden odmówił rozmowy z telewizją BBC, dobitnie wyjaśniając, dlaczego unika brytyjskich mediów: „Przecież jestem Irlandczykiem!”

Najbardziej irlandzkim z amerykańskich prezydentów był oczywiście John F. Kennedy, 100-procentowy Irlandczyk z Bostonu. Najbardziej szkockim jest nowojorczyk Donald Trump. „Jak dobrze jest wrócić do domu” – mówił, gdy dwa lata temu po kilkuletniej przerwie odwiedził Szkocję.

Chociaż Szkotów z pochodzenia jest w Ameryce mniej niż Irlandczyków, to na szczyty władzy docierają łatwiej. Na najwyższym szczeblu mają zdecydowaną przewagę. Szkocja dała Ameryce 35 prezydentów, w tym dwóch tzw. ojców USA – Jerzego Waszyngtona i Thomasa Jeffersona, a wśród ostatnich Billa Clintona. Z Irlandii wywodziło się 23 prezydentów, m.in. Ulysses Grant, zwycięzca w wojnie secesyjnej, Harry Truman i Richard Nixon. Dodajmy, że mocne niemieckie korzenie miał Dwight Eisenhower, holenderskie – Theodore i Franklin D. Rooseveltowie, greckie – Spiro Agnew, wiceprezydent za Nixonem.

NIE NASZ CZŁOWIEK W WASZYNGTONIE

Szkoci, choć przecież powinni się cieszyć, że mają swego człowieka w Waszyngtonie, mają z Trumpem problem i właściwie trudno powiedzieć

okazanie przywiązania do korzeni. Niemniej odnotowano słowa, w jakich mówił o matce – „cudownej, pięknej kobiecie” – i to, że w odpowiedzi na prośbę władz wyspy obiecał wyasygnowanie 10 mln funtów na odrestaurowanie zrujnowanego starego zamku w Stornoway, stolicy Lewis.

Mary Anne MacLeod wyjechała do Ameryki, w ślad za starszą siostrą Catherine, dobrze już tam zadamowioną i podobno nieźle sytuowaną, w 1930 r. Miała 18 lat i – jak wielu mieszkańców niesłuchanie wówczas biednej Szkocji – szukała lepszego życia. Dla Szkotów droga za ocean stanowiła bardziej naturalny wybór niż szukanie pracy w zniechęcającej, choć bliskiej Anglii. Rodzina MacLeodów żyła jak wszyscy wokół: dzierżawiła kawałek ziemi, ojciec Malcolm trudnił się też rybołówstwem, w domu było 10 dzieci i oczywiście mówiono po szkocku. Angielski był na wyspach drugim językiem, na ogół poznawanym dopiero w szkole. Mary Anne do końca życia mówiła po szkocku, na Lewis przyjeżdżała często, podobnie

dlaczego. Z badań przeprowadzonych tuż po inauguracji prezydentury wynika, że Trumpa nie akceptuje aż 70 proc Szkotów. Rasista, faszysta, mizogin, potwór, destruktor, bo niszczy demokrację, nie mówiąc o bardzo niecenzuralnych określeniach, których nie wypada tutaj powtarzać – wobec Trumpa najgorsze inwektywy są dopuszczalne i na miejscu. Wrogość skutecznie podsycają aktorzy i celebryci, którzy – jak wszędzie – hołdują wizji nowego, lewackiego świata, mając się za mędrców i panów opinii publicznej. To Brian Cox, bardzo ostatnio popularny, nazwał Trumpa potworem.

Dlaczego? Najbliższe prawdzie wydaje się mniemanie, że ktoś taki jak Trump jest tu po prostu ciałem obcym. Pod rządami – cóż za paradoks! – Szkockiej Partii Narodowej Szkocja stała się boiem ostoją postępu w nowym, nie tylko obyczajowym wydaniu. Krok po kroku wprowadzano tu homomażeństwa, łatwość zmiany płci, nowy wspianiały język, turbiny wiatrowe, kajanie się za niewolnictwo – istną mieszkankę firmową nowego świata. Na swą kolej czekają już tylko eutanazja i zakaz prowadzenia terapii konwersyjnej. Do takiego miejsca nie pasuje człowiek, który upiera się, że są tylko dwie płcie, krytykuje ogromne wiatraki niszczące piękno krajobrazu i dowodzi, że skoro na miejscu jest ropa naftowa, to należy z niej korzystać.

Oto jaskrawy kontrast: gdy dwa lata temu, z okazji 25-lecia porozumienia pokojowego z Wielkiego Piątku, Joe Biden odwiedził Irlandię, był witany entuzjastycznie, jak bohater narodowy, i niemalże noszony na rękach. Wszędzie czekały na niego tłumy ludzi. Trump, nawet jeśli jest doceniany w szkockich kręgach biznesowych, na takie masowe przyjęcie nie ma w Szkocji szans. Na pewno teraz, a być może nigdy.

Na powszechną niechęć wobec niego rzutują też pewne wydarzenia sprzed lat, gdy rozpoczynano budowę pola golfowego koło Aberdeen. Miało ono powstać na terenie chronionym, blisko malowniczych ruchomych nadmorskich wydm, i miejscowy urząd nie wyraził zgody. Decyzję uchyliła jednak wyższa instancja. Trump przegrał wówczas proces z właścicielami dwóch działek, którzy nie chcieli ich sprzedać pod jego inwestycję, a przy okazji stali się nieformal-

nymi przywódcami antytrumpowskich wystąpień. Parę lat później Trump bez powodzenia próbował zablokować budowę farmy wiatrowej w pobliżu Balmedie. Spory, o których było głośno w całej Szkocji, nie przysporzyły mu sympatii.

METRYKA Z KALLSTADT

Podczas wizyty w Waszyngtonie na początku czerwca kanclerz Niemiec Friedrich Merz wręczył prezydentowi prezent. Była to oprawiona w złotą ramkę, tak jak lubi Trump, kopia metryki urodzenia jego dziadka Friedricha, który w 1869 r. przyszedł na świat w miasteczku Kallstadt w Palatynacie. Stamtąd jako 16-latek wyruszył do Ameryki.

Czy był to prezent z podtekstem? Podkreślenie tego, co przed laty rodzina Trumpów uparcie negowała? To możliwe. Dzisiaj Trumpowie bez oporów przyznają się do niemieckiego pochodzenia, przed laty jednak twierdzili, że z Niem-

Donald Trump jako prezydent nigdy, mimo zaproszenia ze strony Angeli Merkel, nie odwiedził Niemiec

cami nie ma nic wspólnego, a wywodzą się ze Szwecji. Tłumaczono to później względami biznesowymi, konkretnie zaś obawą, że niemieckie korzenie mogą zaszkodzić biznesowym kontaktom ze środowiskiem amerykańskich Żydów.

Donald Trump jest pół-Niemcem, bo Niemcem był jego ojciec, Fred. Dziadek Friedrich, który pierwsze większe pieniądze zarobił podczas gorączki złota w Yukonie (gdzie – fakt niespecjalnie budujący – prowadził m.in. dom publiczny dla poszukiwaczy złota), po kilkunastu latach spędzonych w Ameryce wrócił na krótko do Kallstadt. Tam poślubił pannę Elizabeth Christ, dziewczynę z sąsiedztwa. Do Nowego Jorku wrócili razem.

Jak bardzo różnie traktuje Trump dwie nacje, z których się wywodzi! O ile dla Szkotów ma zawsze miłe słowa, o tyle stronę niemiecką właściwie ignoruje. W Niemczech nie bywa, nigdy nie powiedział, że mógłby czuć się tam jak

w domu, a wobec niemieckich polityków zachowuje nieskrywany dystans.

Chodzi zarówno o sprawy poważne, jak i o żarty, bez wątpienia złośliwe. Angeli Merkel Trump uświadamiał, jaką rolę pełni rurociąg Nord Stream: Niemcy płacą Rosji, która zyskuje środki na zbrojenia, sami zaś niefrasobliwie liczą na to, że w razie potrzeby Ameryka ich obroni. Ursulę von der Leyen wyraźnie lekceważy. Po inauguracji drugiej kadencji Trumpa przewodnicząca Komisji Europejskiej czekała parę miesięcy na pierwsze kontakty z nową administracją. Kanclerz Merz zaś został wystawiony na ostrze uwag, które – choć pozornie niewinne – przyjemne być nie mogły. W dodatku padły w Białym Domu, gdzie Merz był gościem, mocno – jak wynika z poufnych relacji – niepewnym tego, co może go tam spotkać.

PRZESTROGA GEN. MACARTHURA

Było tak: rozmowa miała miejsce 5 czerwca, dzień przed rocznicą lądowania wojsk alianckich w Normandii. „Cóż, dla was to nie był przyjemny dzień” – zauważył Trump w odpowiedzi na słowa kanclerza, który rozwodził się nad zasługami Amerykanów. Gdy zaś Merz zapewniał, że Niemcy osiągną zakładany przez NATO pięcioprocentowy poziom wydatków na zbrojenia, prezydent się zadumał.

„Nie jestem pewien, czy gen. MacArthur uznałby, że to dobrze” – powiedział wreszcie i, klepnąwszy Merza po kolanie, dodał, że „będziemy to uważnie obserwować”. Douglas MacArthur, naczelny dowódca wojsk na południowym Pacyfiku, po wojnie bez ogródek przestrzegając: „Nie wolno dopuścić do tego, by Niemcy znowu zaczęły się zbroić”.

Donald Trump jako prezydent nigdy, mimo zaproszenia ze strony Angeli Merkel, nie odwiedził Niemiec. Jak jednak mówi kanclerz Merz, obecne zaproszenie, również do odwiedzenia Kallstadt, zostało przyjęte, prędzej czy później zatem Trump powinien odwiedzić kraj swoich dziadków. Rodzi to wiele pytań – zasadnych, a także budzących lekki niepokój. Jak gościa przyjmą zwykli Niemcy, skoro w ich kraju Trump również nie ma zbyt dobrej prasy? Jak presję chwili zniosą politycy? I ile bon motów, takich jak ten o MacArthurze, zaserwuje im Donald Trump?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Przekłete dotacje. Wszystkie!

Istnieje tylko jedna rzecz bardziej nonsensowna od dotacji w ogóle – dotacje z UE. I wszystkie one – bo nie ma dotacji dobrych i złych, sensownych i bezsensownych – są tylko złe i bezsensowne. I to bez różnicy, czy są to dotacje dla rolników, dla informatyków, dla termoinizujących domy czy kupujących auta na baterie za krocie.

Zawsze, gdy się „w dotacjach” pogrzebie, to wylazi na wierzch masa złodziejstwa lub innego rodzaju przekrętów. A w „najlepszym” razie cwaniactwa. Tak jak wciąż wylazi to w przypadku dotacji z tzw. Zielonego Ładu, tak teraz zaczynają wylazić historie uwłaszczania się na dotacjach z KPO (Krajowego Planu Odbudowy – odbudowy po czym? Po „pandemii” COVID-19?) poprzez a to zakup jachtu (czy nawet dwóch), a to rozwój klubu dla swingersów, a to budowę czterech domków na wynajem itp., itd.

I oczywiście beneficjenci tych dotacyjnych wziętek tłumaczą się, że to nie żadna lewizna, a tym bardziej kradzież, lecz – przeciwnie – niezbędna dla rozwoju ich firm inwestycja. I w dodatku w pewnym sensie mają rację, bo w końcu, jeśli jacyś urzędnicy rozdają pieniądze podatnikom (jako dotacje z KPO, z tzw. Zielonego Ładu czy czegoś innego), czyli pieniądze zabrane złupionym przez innych urzędników podatnikom (bo przecież ani rząd Polski, ani tym bardziej urzędnicy UE innymi nie

dysponują), to jakże ich „nie wziąć”? Skoro w takim razie najpewniej „wezmą” je ich biznesowi konkurenci i wygrażą z nimi walkę o rynek?

I to jest właśnie największe zło, jakie wyrządzają dotacje (jakiegokolwiek i na cokolwiek) – niszczą wolny rynek. Przedsiębiorcom, którym udaje się je „dostać” – uczciwie lub za łapówkę – dają na rynku nieuczciwą przewagę nad ich konkurentami, którzy za zakup tego samego, co oni dostali za darmo – w ramach owej dotacji (np. owych dwóch jachtów), będą musieli zapłacić, a potem z tego powodu drożej sprzedawać swe produkty, żeby odzyskać pieniądze na spłatę kredytu zaciągniętego na ten zakup.

Dlatego Polska powinna czym prędzej zerwać z tym niszczącym normalne relacje rynkowe systemem jakiegokolwiek dotacji – unijnych (takich jak KPO Morawieckiego-Tuska) czy polskich. Tym bardziej że nie są to żadne dotacje w rozumieniu: prezenty, bo takie nie istnieją. Za wszystkie te dotacje płacimy – i to co do grosza – my, podatnicy państw członkowskich UE, a więc także polscy podatnicy. A system dotacyjny polega na tym, że jedni podatnicy przechwytyują pieniądze zabrane innym podatnikom. Czy to ma wiele wspólnego z zachowaniem moralnym, z uczciwością? I o ileż niższe mogłyby być podatki – i to dla wszystkich Polaków! – gdyby ten przekłety system dotacyjny został zlikwidowany? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Przedsiębiorcy jako Cygan

Niełatwo jest pójść pod prąd powszechnego, zwłaszcza po stronie opozycyjnej, oburzenia na sposób, w jaki rozdzielano fundusze z KPO, ale czasem trzeba. A przynajmniej trzeba wskazać w tym wypadku, że spora część oburzenia jest skierowana w złą stronę.

Ogromny hejt wylał się bowiem na przedsiębiorców, którzy skorzystali z możliwości, jakie stworzyli im politycy i urzędnicy. Że cwaniaki, że złodzieje, że wszyscy będziemy za nich

przedsiębiorców. I niestety nas wszystkich.

Pan prezydent Nawrocki trzy dni po swoim zaprzysiężeniu zagrział, że nie chce, aby pieniądze z unijnych funduszy szły na ekspresy do kawy. A dlaczego nie, jeśli są to pieniądze przeznaczone dla branży gastronomicznej, w której ekspres do kawy jest narzędziem pracy? Przedsiębiorca – taki prawdziwy – ma to do siebie, że wymyśla, jak można zrobić biznes w różnych dziedzinach; szuka wciąż możliwości rozwoju. W takich pomysłach jak czartery jachtów czy połączenie solarium z pizzerią samych w sobie nie ma nic oburzającego. Oczywiście lepiej byłoby, gdyby rynek nie był wykoślawiany dotacjami. Przedsiębiorcy pieniędzy na rozwój biznesów powinni szukać w komercyjnym kredycie, a przede wszystkim we własnym sukcesie i zgromadzonych środkach. Tak byłoby najuczciwiej.

Oburzenie należy natomiast przekierować na polityków, którzy w ogóle wciągnęli nas w KPO, który musimy spłacać i który jest skutkiem niszczenia gospodarki lockdownami. Podpowiem, że nie była to obecna władza. Ta obecna natomiast winna jest ustanowienia skandalicznych często kryteriów pomocy. Dlaczego choćby okres trwałości projektu to absurdalny rok?

Oburzenie na przedsiębiorców wygląda jak w przysłowiu: „Kowal zawinił, Cygana powiesili”. ©©

Oburzenie należy przekierować na polityków, którzy w ogóle wciągnęli nas w KPO

płacić. Równie dobrze cwaniakiem można by nazwać podatnika, który korzysta z przysługującej mu ulgi podatkowej, albo nawet klienta w sklepie, który kupuje w promocji. Doprawdy nie wiem, co jest cwaniackiego w korzystaniu z dostępnych legalnie możliwości odzyskania w istocie własnych pieniędzy – bo przecież fundusze NextGeneration EU, na których opiera się KPO, są w całości finansowane ze wspólnego unijnego kredytu. Czyli również z pieniędzy

Sukces?

Oszczędności i brak długów



Jacek Przybylski

Wartość aktywów zgromadzonych w Pracowniczych Planach Kapitałowych (PPK) przekroczyła już rekordowy poziom 40 mld zł. Polacy coraz chętniej oszczędzają również na emeryturę w IKE i IKZE. Mimo to prawie połowie Polaków zarobki wystarczają tylko na życie od pierwszego do pierwszego. Oszczędzanie i brak długu stało się zaś powodem do dumy



Jak ogłosił w ubiegłym tygodniu Polski Fundusz Rozwoju (PFR), wartość aktywów w PPK w sobotę 9 sierpnia przekroczyła 40 mld zł. W niespełna osiem miesięcy obecnego roku wartość aktywów zgromadzonych w PPK wzrosła aż o 10 mld zł. Liczba uczestników Pracowniczych Planów Kapitałowych zwiększyła się zaś o ćwierć miliona, do 3,94 mln osób.

Polacy na emeryturę oszczędzają nie tylko w PPK. Coraz chętniej wpłacają również oszczędności na Indywidualne Konta Emerytalne (IKE) i Indywidualne Konta Zabezpieczenia Emerytalnego (IKZE). Najnowsze dane Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego (UKNF) podają, że liczba uczestników systemu emerytalnego wyniosła w 2024 r. ponad 20,8 mln osób, a wartość aktywów: 307,6 mld zł

(w porównaniu z końcem 2023 r. wzrosła ona o 24,7 mld zł).

BELKA W OKU DOMAŃSKIEGO

Kolejna dobra wiadomość dla oszczędzających to spadająca inflacja. Malejące tempo wzrostu cen pierwszy raz od wielu lat sprawiło, że lokaty i rachunki oszczędnościowe w Polsce nie tylko chronią część siły nabywczej pieniądza



FOT. ANDRZEJ STOK

pod uwagę spadek inflacji do 3,1 proc. w lipcu).

Niestety, zysk ten istotnie pomniejsza podatek od zysków kapitałowych (potocznie nazywany nad Wisłą podatkiem Belki, od nazwiska ministra, z którego inicjatywy daninę wprowadził w 2002 r. rząd Leszka Millera). Pobierany jest on m.in. od zysków z lokat bankowych, kont oszczędnościowych czy papierów wartościowych. Podobnie jak wysoki VAT podatek Belki miał być tylko tymczasowy (do czasu poprawy sytuacji finansowej kraju), lecz został na kolejne dekady. Chociaż od lat różni rządzący plotą banialuki o jego zniesieniu.

Podatki od zysków kapitałowych istnieją w takich krajach jak np. Dania, Norwegia, Finlandia czy Francja. Nie ma jednak unijnej dyrektywy nakazującej stosowanie takiego podatku. Tymczasem w kraju takim jak Polska – gdzie z badań wynika, że oszczędza tylko 7 proc. Polaków – dani na tego typu jest szkodliwa dla polskiej gospodarki w długofalowej perspektywie. Państwo powinno bowiem zachęcać do oszczędzania, a nie rzucać drobnym ciułaczom kolejne kłody pod nogi. Wiedzieli to doskonale politycy Koalicji Obywatelskiej, obiecując wyborcom zniesienie podatku Belki. Takiego rozwiązania chce też od lat zdecydowana większość Polaków.

Niestety, rząd Donalda Tuska kolejny raz nie dotrzymał danego wyborcom słowa. Nareszcie przyznał bowiem otwarcie, że wcale nie zamierza likwidować kontrowersyjnej daniny. Minister finansów Andrzej Domański zaprezentował w zamian za to pomysł, który w teorii ma jednocześnie promować oszczędzanie i wspierać polski rynek kapitałowy. Osobiste Konto Inwestycyjne (OKI) ma umożliwiać oszczędzanie i inwestowanie bez podatku do kwoty 100 tys. zł, lecz jedynie 25 tys. zł będzie można trzymać na lokatach lub w obligacjach skarbowych. Korzyści z OKI mają rosnąć wraz ze wzrostem stopy zwrotu. – Przy inwestycji 50 tys. zł i stopie zwrotu na poziomie 5 proc., podatek od zysków kapitałowych w obecnym systemie wyniosłby 475 zł. W przypadku konta OKI będzie to 0 zł. Przy zwrocie z inwestycji 10-procentowa korzyść jest jeszcze większa – zamiast 950 zł podatku inwestorzy nie zapłacą nic – wyliczał minister finansów i gospodarki Andrzej Domański. Idąc tym tropem rozumowania, przy bardzo wysokiej stopie zwrotu maksymal-

ne oszczędności dla podatnika wyniosą 1900 zł. Czy to zachęci Kowalskiego do długoterminowych inwestycji? Wątpliwe. Tymczasem sam resort finansów wskazuje na to, że kapitalizacja polskiej giełdy w relacji do PKB wynosi dziś niewiele ponad 20 proc., średnio w krajach UE wskaźnik ten przekracza 60 proc., a w Szwecji czy w Stanach Zjednoczonych wynosi odpowiednio 170 proc. i 200 proc.

PODATEK OD STRATY

OKI nie tylko łamie więc kolejną przedwyborczą obietnicę Tuska z listy „100 konkretów na 100 dni rządu” (naprawdę taka była, serio!), lecz także nie zawsze jest lepszy niż zniechęcający podatek Belki. Analitycy finansowi podkreślają bowiem, że OKI może być korzystne wyłącznie dla osób inwestujących niewielkie kwoty albo osiągających bardzo wysokie stopy zwrotu. Zwracając uwagę na kontrowersyjny zapis, który mówi, że choć od aktywów przekraczających 100 tys. zł posiadacz OKI nadal nie będzie musiał płacić podatku Belki, to będzie musiał zapłacić podatek od aktywów w wysokości ok. 0,8–0,9 proc., i to niezależnie od tego, czy udało mu się osiągnąć zysk czy

25 tys. zł

TYLKO TYLE W RAMACH OKI BĘDZIE MOŻNA ULOKOWAĆ NA LOKATACH LUB W OBLIGACJACH

też poniósł stratę. Innymi słowy, Kowalski zapłaci państwu za sam fakt posiadania oszczędności.

Dla osób, które posiadają kilkaset tysięcy złotych i nie potrafią rok w rok osiągać stopy zwrotu niczym Warren Buffett, OKI może się więc okazać nawet mniej opłacalne niż klasyczny podatek od zysków kapitałowych. Jeśli zaś drobny ciułacz będzie chciał mieć gwarancję, że nie straci kapitału, i zdecyduje się jedynie na bezpieczne lokaty i obligacje skarbowe, to podatkowe zyski na OKI, przy zastosowaniu niepotrzebnie przekombinowanego mechanizmu, będą już bardzo niewielkie. Zwłaszcza że wcale nie jest powiedziane, iż banki w ramach OKI zaproponują akurat te najbardziej atrakcyjne.

dzy zgromadzonych w bankach, lecz także mogą przynieść ich posiadaczom niewielki, lecz jednak zysk. Najlepsze lokaty i rachunki oszczędnościowe wciąż są oprocentowane na 7–8 proc. w skali roku. I chociaż tak dobrych ofert jest coraz mniej i należy się spodziewać obniżenia atrakcyjności lokat, to przynajmniej na razie realny zysk może wynieść nawet kilka punktów procentowych (biorąc

Na uruchomienie OKI trzeba też będzie poczekać. Rząd planuje start programu dopiero na połowę 2026 r., bo muszą się do niego przygotować zarówno banki i biura maklerskie, jak i urzędy skarbowe. Gdyby zaś rząd naprawdę chciał zachęcić Polaków do oszczędzania, zlikwidowałby podatek Belki lub choćby wprowadził jak najszybciej kwotę wolną od tej daniny. Można też byłoby dodać zyski kapitałowe do rozliczenia w PIT.

Niestety, mimo częstego gadania o deregulacjach minister finansów zaproponował Polakom nie tylko zły, lecz także niepotrzebnie skomplikowany mechanizm. „Według wstępnych założeń OKI wygląda bardzo średnio, a nowy instrument raczej przesuwają środki od już oszczędzających niż realnie buduje kulturę oszczędzania” – ocenił pomysł rządu główny ekonomista VeloBanku Piotr Arak na LinkedIn. „Polska stopa oszczędności i tak spada (obecnie ok. 17 proc.), a my, zamiast budować realne zachęty do oszczędzania, tworzymy dodatkowy produkt, którego likwidacji będą bać się osoby pamiętające los OFE” – dodał.

OD PIERWSZEGO DO PIERWSZEGO

Aby Polska mogła nadal rozwijać się w szybkim tempie, potrzebuje coraz więcej kapitału. Tymczasem statystyki są dramatycznie złe. Z raportu „Polaków portfel własny: oszczędny jak Polak” wynika, że tylko 25 proc. Polaków stać na bieżące wydatki i budowanie oszczędności. 49 proc. badanych deklaruje, że zarobki wystarczają im na miesięczne utrzymanie, lecz już nie na oszczędzanie. 17 proc. respondentów czasami brakuje pieniędzy pod koniec miesiąca, a 5 proc. pytanych stwierdza, że zarabia zbyt mało, by móc się utrzymać, i muszą albo pożyczyć pieniądze albo sięgać po środki z własnej „poduszki finansowej”. Z raportu Santander Consumer Banku wynika także, że 35 proc. badanych Polaków krótkoterminowo odkłada pieniądze na wakacje i podróże (35 proc.), na remonty i wyposażenie mieszkania (17 proc.) lub na wydatki związane ze zdrowiem (14 proc.). Długoterminowo najważniejszym celem są oszczędności na „czarną godzinę” (42 proc.) i na emeryturę (19 proc.).

O oszczędnościach marzą też młodzi. Z najnowszego raportu Autopay „Finanse Młodych Polek i Polaków 2025” wynika, że wyraźnie wzrósł odsetek młodych, którzy oszczędzają (od 78 proc. w roku 2024

Oszczędności, dobre zarobki i brak długów to według młodych Polaków kluczowe przejawy sukcesu finansowego

do 83 proc. w najnowszym badaniu), jak i tych, którzy inwestują nadwyżki finansowe (wzrost z 26 do 33 proc.).

Z raportu Autopay wynika także, że to właśnie posiadanie oszczędności – a nie np. dóbr luksusowych – jest dla dwóch trzecich Polaków w wieku od 18 do 34 lat symbolem sukcesu finansowego (wzrost z 63 do 68 proc. w porównaniu z ubiegłoroczną edycją badania). Z 54 na 59 proc. zwiększył się udział młodych utożsamiających finansowy sukces z brakiem długów i kredytów. Nieco wyżej (60 proc.) młodzi stawiają wysokie zarobki, a niżej (58 proc.) posiadanie własnego mieszkania.

A co z zakupami luksusowych ciuchów czy egzotycznymi podróżami? Z badania Autopay wynika, że młodzi nie ograniczają wydatków konsumpcyjnych – m.in. na ubrania, podróże, jedzenie w restauracjach, lecz także nie patrzą na nie w kategoriach życiowych osiągnięć.

Pośród znanych produktów inwestycyjnych i oszczędnościowych bezapelacyjnie wygrały lokaty i konta oszczędnościowe (68 proc.), lecz już na drugim miejscu znalazły się kryptowaluty (wskazało je 53 proc. respondentów). Na kolejnych miejscach najbardziej rozpoznawalnych sposobów na lokowanie oszczędności znalazły się akcje spółek (48 proc.), gotówka (48 proc.), nieruchomości (46 proc.) i obligacje skarbowe (44 proc.). A z jakich rozwiązań najczęściej młodzi rzeczywiście korzystają? 41 proc. wybiera konta oszczędnościowe lub lokaty, a 27 proc. trzyma oszczędności w gotówce. 9 proc. wybiera inwestowanie w kryptowaluty. Co czwarty ankietowany nie korzysta z żadnych sposobów na oszczędzanie.

ZAKUPOWY DETOKS

Wśród młodych Polaków popularne – nie tylko na początku roku – stało się również postanowienie radykalnego ograniczenia zakupów. Trend znany w różnych krajach świata jako „No-buy challenge” czy po prostu „No-buy 2025”, czyli „świadomy

mym niekupowaniu”, polega nie tylko na unikaniu zakupów przez określony czas (w tym wypadku przez cały rok 2025, choć są też nieco mniej ambitne plany pod hasłem #nospendmonth). Elementem tego wyzwania jest wdrożenie w życie przemyślanej strategii doboru tzw. garderoby kapsułowej (czyli nabywaniu ubrań ponadczasowych, odpowiednich na każdą okazję i opierających się zmiennym trendom w modzie), kupowaniu dobrych jakościowo produktów z drugiej ręki czy wreszcie na unikaniu drogich i popularnych produktów polecanych w mediach społecznościowych przez mniej lub bardziej przekupnych influencerów.

Moda na świadome ograniczenie konsumpcjonizmu oznacza, że konsumenci rezygnują z zakupów nie tylko kolejnych ubrań, kosmetyków (dopóty, dopóki nie zużyją już tych, które stoją w łazience), biżuterii czy gadżetów, lecz także ograniczają np. liczbę abonamentów streamingowych, a także znacząco rzadziej jadają na mieście czy kupują kawę na wynos (zamiast tego inwestują w termiczny kubek i codziennie przed wyjściem do pracy robią sobie dużo tańszą kawę w domu).

Aby ułatwić walkę z zakupoholizmem, eksperci zalecają m.in. odinstalowanie ze smartfona aplikacji zakupowych (aby niepotrzebnie nie kusily), rezygnację z subskrypcji newsletterów ulubionych marek, zaprzestanie śledzenia w mediach społecznościowych postów publikowanych przez influencerów oraz... powrót do tradycyjnych, papierowych list, z których długopisem można wykreślać te rzeczy, które wcale nie są niezbędne.

Głównym celem tego typu wyzwań nie jest ograniczanie „ślądu węglowego” czy walka z tzw. ociepleniem klimatu. Dzięki wyzwaniom typu „No-buy” młodzi z Pokolenia Z odzyskują bowiem nie tylko miejsce w szafie. Uświadamiają sobie również nagle, ile niepotrzebnych rzeczy wcześniej kupowali, a także zyskują kontrolę nad wydatkami. Ponieważ ograniczają się do płatności za czynsz, rachunki, żywność czy transport, szybko obserwują też nadwyżki w portfelu, co pozwala na unikanie życia wyłącznie od pierwszego do pierwszego. Świadome niekupowanie wielu młodym umożliwia również spłacenie drogiego zadłużenia na kartach kredytowych czy niemal równie drogich kredytów konsumpcyjnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Zjemy w cieniu ideologii Zielonego Ładu – programu transformacji energetycznej forsowanego przez instytucje unijne i międzynarodowe organizacje. Fundamentem tego projektu są dwie dyskusyjne tezy. Pierwsza: pierwsze, że dwutlenek węgla generowany przez działalność człowieka jest głównym sprawcą obserwowanych wzrostów temperatury na Ziemi; teza druga: jedyną dopuszczalną odpowiedzią na ten problem jest szybkie i powszechne zastąpienie stabilnych źródeł energii – takich jak węgiel, gaz czy atom – przez niestabilne i zależne od warunków atmosferycznych odnawialne źródła energii, jak wiatr i słońce. Co gorsza, ta jednostronna wizja nie jest wynikiem otwartej debaty opartej na danych fizycznych, lecz efektem politycznego nacisku i odgórnym regulacji, które nie liczą się z realiami technologicznymi, ekonomicznymi ani fizycznymi.

Rozstrzygniemy raz na zawsze, które technologie wytwarzające energię elektryczną są w stanie zapewnić funkcjonowanie rozwiniętego społeczeństwa. Na początek zdefiniujemy, co oznacza „rozwięte społeczeństwo”. Intuicyjnie jest to społeczeństwo, które posiada środki nie tylko na zaspokojenie swoich egzystencjalnych potrzeb, lecz także na rozwijanie infrastruktury, powszechnie dostępnej edukacji, usług zdrowotnych oraz rozrywki i sztuki.

W tym miejscu warto się zastanowić, czym właściwie są te środki. Niestety, tym razem intuicja często nas zawodzi, gdyż pierwszym skojarzeniem są tzw. środki płatnicze, czyli pieniądze. Dlaczego nie są one miarodajne? Ponieważ pieniądze są jedynie umową i same w sobie nie mają żadnej

Bez prądu



Ziemowit Miłosz Malecha

Zapewnienia polityków o tym, że niestabilne odnawialne źródła energii są w stanie zapewnić rozwój, to sprzeczna z prawami fizyki czysta iluzja

wartości. Tymczasem rzeczywistość posiada użyteczna energia.

Zdefiniujmy, czym jest energia. Przede wszystkim to wielkość fizyczna, wyrażana w dżulach (lub kaloriach). Jeden dżul to ilość energii potrzebna, aby ciała o masie jednego kilograma nadać jednostkowe przyspieszenie i przesunąć je na odległość jednego metra. Natomiast użyteczna energia to taka, którą można bezpośrednio zamienić na pracę. Najbardziej uniwersalną i pożądaną jej formą jest energia elektryczna.

Widzimy zatem, że głównym czynnikiem decydującym o tym, czy społeczeństwo może funkcjonować na wysokim poziomie rozwoju, jest odpowiednia ilość nadwyżki użytecznej energii, którą można przeznaczyć na działania wykraczające poza podstawowe potrzeby egzystencjalne.

Zaletą oceny zamożności i rozwoju społeczeństwa w oparciu o dostęp do energii użytecznej, a nie o ilość posiadanych pieniędzy jest to, że energia jako wielkość fizyczna nie podlega wpływom prawa, regulacji ani polityki. Podobne

rodziny – osmiokrotności, rozwój powszechnie dostępnej edukacji – 10-krotności, dostęp do służby zdrowia – 12-krotności, a możliwość uczestnictwa w kulturze i rozrywce – 14-krotności.

Wynika z tego jasno, że system energetyczny oparty na niestabilnych odnawialnych źródłach energii, takich jak panele fotowoltaiczne czy turbiny wiatrowe, może co najwyżej wystarczyć na reprodukcję samych siebie oraz częściowo wspierać produkcję żywności. Nie jest natomiast w stanie wygenerować wystarczającej ilości dodatkowej energii elektrycznej, niezbędnej do zapewnienia godnego życia rodzinnego, edukacji i dostępu do służby zdrowia, nie wspominając już o kulturze i rozrywce.

Aby lepiej zrozumieć znaczenie nadwyżki energii w rozwoju i utrzymaniu dobrostanu społecznego, należy zdać sobie sprawę z tego, że cały rozwój nowoczesnego społeczeństwa był możliwy wyłącznie dlatego, że udało się stworzyć system energetyczny dostarczający ok. 30-krotnie więcej użytecznej energii, niż sam potrzebował do funkcjonowania. Umożliwiły to paliwa kopalne, w szczególności węgiel i ropa naftowa.

Współczesne społeczeństwo, by mogło funkcjonować jako rozwinięte, potrzebuje systemu energetycznego generującego co najmniej 15-krotną nadwyżkę energii użytecznej. Aby jednak możliwy był rozwój innowacyjnych technologii, nowoczesnej armii czy eksploracji kosmosu, konieczna jest nadwyżka przekraczająca 20-krotność.

Z tego jasno wynika, że zapewnienia polityków o tym, że niestabilne odnawialne źródła energii są w stanie zapewnić tanią energię i rozwój, to czysta iluzja, sprzeczna z prawami fizyki. ©



Joanna Bojańczyk

Dzisiejsi Royalsi starają się swój styl upodobnić do stylu ulicy po to, żeby zmniejszyć dystans, który dzieli ich od ludu. Ale muszą uważać: ubrania wyrażają ich rolę jako symbole kraju, a oni muszą trzymać się cienkiej granicy między ciągłością a nowoczesnością

Po finałowym meczu Wimbledonu, który w lipcu wygrała Iga Świątek, na kortach pojawiła się księżna Walii, Kate. Jej wejście wywołało szmer aplauzu i zdziwienia u publiczności, po czym księżna wręczyła zawodnikowi trofeum.

SZOK I PRZERAŻENIE?

Już kilka miesięcy temu księżna Walii wróciła do życia publicznego po leczeniu raka. Londyński „The Sunday Times” doniósł, że robi to z pewnym zastrzeżeniem: chce skupić się na pracy, nie na ubraniach. Jej biuro nie będzie już udostępniać informacji o tym, co nosi.

„To był szok i przerażenie” – skomentowała tę wiadomość dziennikarka „New York Timesa” Vanessa Friedman.

Bez przesady. Owszem, przyjemnie się ogląda zdjęcia monarszych celebrytów – są zazwyczaj nieskazitelnie szykowni konserwatywną elegancją doskonałego kroju, pięknych materiałów, minimalnej kreatywności i maksymalnej ceny. Ale żebyśmy aż wpadali w przerażenie z powodu nieznamościami autora książęcej szaty?

Księżna Katarzyna na finale Wimbledonu wystąpiła w kremowej marynarce i długiej plisowanej spódnicy. Czy była to wariacja na temat białych tenisówek patronki All England Lawn Tennis and Croquet Club? Zresztą czy to ważne?

Prawdopodobieństwo zastosowania takiego zestawu w życiu zwykłego śmiertelnika jest równie minimalne jak poziom kreatywności tego, kto zestaw zaprojektował. Garsonka nudna i bebarwna – może to i dobre do ślubu



Po finałowym meczu Wimbledonu, który wygrała Iga Świątek, na kortach pojawiła się księżna Walii, Kate, w kremowej marynarce i długiej plisowanej spódnicy
 FOT. ELLA LING/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Suknie, style i sojusze

(raczej drugiego lub trzeciego). Ale gdzież do życia? Czy ubiór królewski jest w stanie coś zmienić w naszym stosunku do ubrań? Czy mamy go naśladować?

SWETEREK NICZYM RELIKWIA

Powiedziałabym, że jest raczej odwrotnie: dzisiaj to Royalsi starają się swój styl upodobnić do stylu ulicy po to, żeby zmniejszyć dystans, który dzieli ich od ludu i zdobyć jego sympatię. Ale muszą być rozważni: ubrania wyrażają ich rolę jako symboli kraju, a oni muszą trzymać się tej cienkiej granicy między ciągłością a nowoczesnością.

Nie można jednak zanegować wpływu, który członkowie rodziny królewskiej, głównie brytyjskiej, mają wpływ na modę. O monarchii duńskiej, belgijskiej czy norweskiej nie mówię. Bo kto w ogóle zna te osoby? Ale mieszkańcy pałacu Buckingham – to potężna siła oddziaływania w branży. O księżnej Dianie już nie będę się rozwodzić – wiadomo, że cokolwiek włożyła, chciał to zaraz nosić cały świat, chociaż moim zdaniem tylko na niej te dziwaczne, staromodne ciuchy wyglądały dobrze. Od jej śmierci minęło prawie 30 lat, a mit trwa. Sweterek w owieczki, który nosiła w roku 1979,

jeszcze jako przedszkolanka, sprzedał się niedawno na aukcji za ponad milion dolarów. Relikwia po prostu! Kto nie ma miliona, ten może sobie zafundować podróbkę na Temu za jedyne 57 zł.

WIELKI BIZNES

Królewska szata, nawet najpiękniejsza, nie miałaby jednak takiego znaczenia, gdyby nie jej przełożenie na sprawę bieżącą. Na biznes – mówiąc wprost. Sukienki (płaszcz, sweter, buty), które mają na sobie Kate czy Meghan, potrafią uruchomić tysiące internetowych zamówień jeszcze tego samego dnia, otwierając drogę do sukcesu autorowi.

Nieznany nikomu człowiek z dnia na dzień staje się celebrytą, bo został wybrany przez Jej Wysokość. Sarah Burton, brytyjska projektantka, która uszyła suknię ślubną Catherine i współpracowała z księżną przy wielu ważnych okazjach publicznych, obecnie jest szefową domu mody Givenchy. Clare Waight Keller, autorka sukni ślubnej Meghan Markle, niedługo po słynnym ślubie zdobyła niezwykle pożądaną w kręgu biznesowym kontrakt: została główną projektantką kolekcji dla japońskiej sieci Uniqlo. Sיעiówka ta ma sklepy na całym świecie (dwa w Warszawie) i w gronie ubraniowych fast fashion cieszy się szacunkiem za przyzwoitą jakość, dobry styl i przystępne ceny. Sprzedają ubrania w setkach tysięcy egzemplarzy, a choć wysokość kontraktu designera jest rzadko ujawniana, to można się domyślać, że chodzi o kwoty sześciocyfrowe.

W tych ciuchach z pierwszych stron gazet chodzi także o coś innego. O reklamę rodzimej gospodarki, którą generuje moda. Od dawna księżna Katarzyna, przerabiając i nosząc na nowo ubrania ze swojej szafy, a nawet wypożyczając okazjonalnie suknię wieczorową, wykorzystywała swoją pozycję, aby zwracać uwagę nie tylko na brytyjskie produkty, lecz także na kwestie obecnie modne, jak zrównoważony rozwój, ekologia itp.

Nabiera to iście satyrycznej wymowy, jeśli przytoczyć niedawną inbę, która rozpętała się wokół białej sukienki Marty Nawrockiej, którą żona prezydenta elekta ośmieliła się włożyć dwa razy. Oberwało się pani Nawrockiej od szerzej nieznaney pani Marty Rodzik, samozwańczej ekspertki wizerunku. Chwilę potem

Internet wyłuskał zdjęcia ze ścianek tej „ekspertki”, świadczące o tym, że sama ma poważne kłopoty z dostosowaniem ubrania do okazji.

Po obejrzeniu u Stanowskiego i Mazurka, jak prezentuje się inny „ekspert wizerunku”, odradzałabym podobnym znawcom pokazywanie się publiczności. Śmieszność to coś znacznie gorszego niż krytyka. Okazało się, że jeśli księżna Katarzyna włoży coś dwa, a nawet więcej razy, to jest to „zrównoważony rozwój”, a jeśli to samo zrobi nasza prezydentowa – to jest to skandal. Ach, tempora i mores!

STOLICA MODY

We Francji moda to wielki motor gospodarki. Generuje przychód w wysokości ok. 150 mld euro rocznie i tworzy milion miejsc pracy. Jak podaje Institut Français de la Mode, jest to 3 proc. krajowego PKB. Wydaje się niewiele, ale w trudnej sytuacji, w której znajduje się Francja, lekceważenie czegoś takiego byłoby błędem. Francuzi wciąż uważają się za stolicę mody, a świat wcale tego nie kwestionuje.

Panie prezydentowe i premierowe są zbyt ważne, żeby pozwolono im ubierać się według swego gustu i u swoich krawców, a co dopiero w sieciówkach.

Władzę nad ich wyglądem przejęli spece od wizerunku, wizażyści, fryzjerzy, kosmetyczki. Każdy szczegół odbija się tysięcznym echem w mediach. Łupież na marynarce, oczko w rajstopach.

Panią Macron ubiera Louis Vuitton, marka obecnie numer jeden na świecie. Jeszcze nie tak dawno był to tylko producent wyrobów kaletniczych, dziś jest w czołówce najbardziej pożądanym marek na świecie. Mimo to szczupła, zadbana, szczytująca się pięknymi nogami prezydentowa w sztywnych ubraniach Louis Vuitton niezbyt podoba się Francuzom. Czy jej samej podoba się to, że musi je nosić, nie wiadomo, ale mus to mus. Wypełnia obowiązek obywatelski – reklamuje francuską markę na świecie. Chodzi o prestiż kraju, który wciąż uważa się za number one mody, a pierwszą damę ubiera jedna z czołowych marek francuskich. Szef LV, niezbyt lubiany miliarder Bernard Arnault, wspierał prezydenta w kampanii prezydenckiej. Jego synowie chodzili do liceum Franklina, gdzie uczyła pani Macron... Jeśli stroje pani prezydentowej krytykowano,

to głównie za cenę – niektóre kosztowały 15 tys. euro. – To są rzeczy wypożyczone. Ja nie wiem, ile kosztują – broniła się Brigitte. Według zasad Pałacu Elizejskiego wszystkie prezenty o wartości powyżej 150 euro muszą być zwrócone.

GRZECZNOŚCIOWY UKŁON

Wracając do Kate: podczas wizyty państwowej w Londynie Emmanuela i Brigitte Macron księżna Katarzyna wystąpiła w różowym garniturze Diora, marynarce New Look i spódnicy pokrytej siateczką. Grzecznościowo i biznesowo: Dior jest francuską marką, ale wkrótce będzie kierowany przez projektantkę z Irlandii Północnej, która kształciła się w Wielkiej Brytanii.

To był przemyślany ukłon w stronę sojuszu politycznego tego, który Katarzyna praktykowała od czasu ślubu z księciem Williamem, który powtórzyła na francuskim bankiecie państwowym, mając na sobie czerwoną suknię Givenchy z wszytą peleryną opadającą z ramion. To było królewskie, ale i strategiczne.

Katarzyna jest zawsze dostrojona do roli, którą kreowanie wizerunku odgrywa w jej pracy. Niebieska, sięgająca do kostek sukienka marki Roksanda, którą miała na sobie na finale mężczyzn w Wimbledonie, komponowała się z niebieską marynarką księcia Williama, niebieskim garniturem księcia Jerzego i białą sukienką księżniczki Charlotte z niebieskimi wykończeniami – wszystko to tworzyło dosłowny obraz jedności rodziny.

To nic nowego. Dłuższe spódnice, sylwetka bardziej opływowa. Jej styl kształtuje się jako nowa formuła ubioru. Równie rozpoznawalna na swój sposób, tak jak monochromatyczna formuła, która służyła królowej Elżbiecie II: buty, płaszcz, sukienka, kapelusz w jednym odcieniu. I wnosi nowy wymiar do symboliki nieodłącznie związanej z rolą księżnej. Reprezentuje ona nie tylko kolejne pokolenie rodziny królewskiej, która sama w sobie reprezentuje tradycję. Reprezentuje ideę elegancji wyłaniającej się z przeciwności losu, ideę, która ma zarówno mikro-, jak i makroskopowe skojarzenia.

Czy my doczekamy się kiedykolwiek chociaż namiastki takiego myślenia? Patrząc na ubiory naszych pań w polityce, słaba nadzieja na zmianę.

Na wysokiej skarpie



FOT. M.A. BUNIAK/REKEX



Cezary Gmyz

Historia Wyszogrodu pełna jest wzlotów i upadków. Nic dziwnego, sięga czasów, kiedy Słowianie byli poganami

O Wyszogrodzie usłyszałem na długo przed tym, zanim pojawiłem się w tym mieście. Podobnie zresztą jak inni mieszkańcy Polski, którzy prawie każdej zimy emocjonowali się, czy słynny najdłuższy most drewniany w Europie, a może i na świecie, przetrwa napór kry i się nie zawali. Jednak o słynnym moście napiszę za chwilę, bo historia miasteczka jest zdecydowanie dłuższa. Liczne źródła podają datę pierwszej pisemnej wzmianki na rok 1065. Taką datą został opatrzony bowiem fałszyfikat mogileński, o którym pisaliśmy przy okazji opowieści o Czerwińsku. Poprzestaśmy zatem na przypomnieniu, że dokument ów, jak najbardziej autentyczny, w rzeczy-

wistości powstał w 1155 r. Tę datę zatem należy uznać jako pierwszą wzmiankę o mieście.

Historia grodu sięga jednak jeszcze czasów, kiedy Słowianie byli poganami. Wykopaliska wskazują, że już w VI w. istniał tu osada i ośrodek kultu. Nic dziwnego, że powstała właśnie tutaj. Miejsce bowiem ze strategicznego punktu widzenia jest idealnie zlokalizowane. Łączy zalety położenia w widłach dwóch rzek (tu do Wisły wpada Bzura), jak Dęblin i Modlin, a dodatkowo jego atutem jest umiejscowienie na bardzo wysokiej, bo 30-metrowej skarpie wiślanej, podobnie jak Sandomierz. I właśnie od tej skarpy wzięła się nazwa miasta oznaczająca po prostu gród na wysokiej górze.

TEMPLARIUSZE I RZEMIEŚLNICY

Wiemy, że właśnie na tej górze był kiedyś murowany zamek, którego wzniesienie przypisywano Kazimierzowi Wielkiemu. Jednak to tylko przypuszczenie, bo żadne źródła historyczne z tego okresu tego nie potwierdzają. Pierwsza budowla w tym miejscu powstała za Konrada Mazowieckiego, którego pamięta się jedynie z tego, że na ziemi polskie sprowadził

Krzyżaków. Rzadziej się wspomina, że syn Konrada, Bolesław I Mazowiecki, sprowadził na Mazowsze inny zakon rycerski – templariuszy – a akt nadający im wsie leżące przy dopływach Wisły, Narwi i Bugu, podpisał właśnie w Wyszogrodzie.

Jednak to nie koniec dziejów zakonów rycerskich związanych z tym miastem. W 1320 r. inny Piast mazowiecki oddał w opiekę przyzamkowy kościół św. Trójcy Zakonowi Rycerskiemu św. Grobu Bożego, tzw. miechowitom. Niestety, osuwanie się skarpy wiślanej sprawiło, że świątynię ostatecznie rozebrano, a nową, stojącą do dziś, wybudowano z dala od rzeki. Dzieje bożogrobców w Wyszogrodzie przerwała kasata zakonu w 1819 r., choć ostatni bożogrobiec jako proboszcz parafii przetrwał aż do 1849 r. Tak więc widać, że pomysł Piastów mazowieckich osiedlania zakonów rycerskich miał też swoje dobre strony, bo templariusze i bożogrobcy w historii tych ziem zapisali się znacznie lepiej niż Krzyżacy. Szkoda tylko, że większość materialnych śladów ich obecności się nie zachowała. Podobnie nie ma dziś śladów po zamku, którego ruiny pruscy zaborcy rozebrali w 1798 r.

Szczyt świetności miasta przypada na wieki XV i XVI. Wyszogród ustępuje wprawdzie Płockowi, ówczesnej stolicy Mazowsza, ale z powodzeniem konkuruje z innymi ważnymi ośrodkami miejskimi na tych ziemiach. Uchodzi za gród ważniejszy od pobliskiego Czerwińska, ale nieznacznie ustępujący rosnącej już wówczas Warszawie. Wszystkie te miasta swoją pomyślność i rozwój zawdzięczają oczywiście Wiśle. Wiadomo, że w mieście istniał skład towarów, co oznacza, że Wyszogród czerpał zyski z tzw. prawa składu. Polegało ono na tym, że część towarów transportowanych Wisłą musiała być wystawiona na sprzedaż w mieście, a dopiero potem mogły być przewożone dalej.

Jednak miasto żyło też z eksportu swoich towarów. A miało co wysyłać w świat. Najważniejszym produktem było sukno. Sukiennictwem trudniły się w szczytowym okresie aż 24 warsztaty. Produkcowały one aż 4,5 tys. postawów sukna rocznie. W przybliżeniu to bela sukna, która liczyłaby ponad 100 km. Imponująca wielkość, zważywszy na to, że sukno było tkane ręcznie. Oczywiście do takiej produkcji (np. pranie runa owczego i namaczanie wełny) potrzebne były duże ilości wody, którą czerpano z Wisły. Woda z Wisły i Bzury napędzała też młyny folusznicze, w których wełnę przerabiano na filc.

Wyszogród był wówczas rajem dla rzemieślników. W 1564 r. naliczono ich aż 368. Przy czym mówimy tutaj o warsztatach, które zazwyczaj zatrudniały też czeladników. Pod koniec XVI w. w mieście działały cechy: krawców, kuśnierzy, złotników, mieczników, ślusarzy, kowali, kotlarzy, stolarzy, bednarzy, kołodziejów, rymarzy, szklarzy i szmuklerzy, którzy wyrabiali pasmanterię. Jeśli dodamy, że skarpy wiślane były obsadzone winoroślą i ogrodami owocowymi, a pola – jęczmieniem i chmielem, z których wyrabiano piwo, to Wyszogród jawi się nieledwie jako ośrodek przemysłowy ery przedkapitalistycznej. Oczywiście tylko niewielki odsetek tej produkcji służył mieszkańcom. Znakomita jej większość była wysyłana dalej w świat Wisłą.

WZLOTY I UPADKI

Wszystko to skończyło się wraz z potopem szwedzkim. W 1704 r. pod Wyszogrodem obozował August II Mocny

po odebraniu Szwedom Warszawy. Tutaj zastała go wiadomość, że car Rosji, Piotr Wielki, pokonał Szwecję i zdobył Narwę, leżącą dziś w Estonii. Polsce wykończony wojną ze Szwedami przyniosło to ulgę, ale niestety zapoczątkowało postępujące uzależnienie od Rosji, które ostatecznie skończyło się pod koniec wieku rozbiarami.

Ostateczny kres świetności Wyszogrodu przyniósł pożar, który w 1747 r. niemal doszczętnie go strawił. Miasto zaczęło zmieniać charakter. Z polskiego niegdyś żydowski sztetl, który w niczym nie przypominał Anatewki z wyidealizowanego „Skrzypka na dachu”. Gmina żydowska powstaje w mieście w 1753 r. Zaledwie pół wieku później 90 proc. mieszkańców miasteczka będą stanowili Żydzi.

Podnoszące się z upadku miasto dobił kolejny pożar w 1801 r., już za rządów pruskich. Prusacy, którzy przejęli Wyszogród, chcąc podnieść te ziemie z ruiny, zaczynają sprowadzać osadników wyznania luterńskiego, przede wszystkim z terenów Wirtembergii. Nawiasem mówiąc, osiedlają ich wzdłuż całego odcinka Wisły, będącego w ich władaniu. Choć większość z nich to Niemcy, to do historii przejdą jako Ołędrzy utożsamiani z Holendrami. Ale o tym fenomenie opowiemy w następnym odcinku.

W XIX w. na Wiśle rusza żegluga parowa, co zmienia charakter transportu. O ile przed epoką pary i żelaza większość ruchu towarowego odbywała się w dół rzeki, o tyle parowce umożliwiają ekonomiczny i szybki transport również w górę rzeki. Korzystają na tym miasta położone poniżej Warszawy, która jest w tym czasie metropolią. W żywność Warszawa jest zaopatrywana nie tylko przez zagłębne ogrodnicze i rybackie w okolicach Góry Kalwarii leżącej powyżej stolicy. Dochodowe staje się też transportowanie żywności i innych produktów pod prąd rzeki. Nie tylko zresztą towarów. Zaczyna kwitnąć również żegluga pasażerska. Na odcinku do Płocka powstają nawet pływające dworce pasażerskie.

Rzeka tętni życiem. Rozwój miasta przerywa pierwsza wojna światowa. I choć spustoszyła ona te ziemie, to właśnie jej zawdzięcza swoją najświetniejszą budowlę, czyli most drewniany. Dokładnie rzecz ujmując, drewniano-stalowy. Przesła są

bowiem z drewna, a nawierzchnia jest stalowa. Niemcy oddają tę przeprawę do użytku w 1917 r. Most ulega zniszczeniu w 1939 r., ale zostaje odbudowany w 1944 r., już jako całkowicie drewniany. Ponownie wysadzony w 1945 r. w czasie odbudowy zostaje wzmocniony elementami stalowymi. Ostatecznie rozebrano go w 1999 r., zachowując część konstrukcji jako taras widokowy, który jednak też rozebrano w 2013 r.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Wyszogród powoli, po raz kolejny w swojej historii, podnosi się z upadku. Nadzieję mieszkańców budzi rozwijająca się turystyka. Planowany jest jej dalszy rozwój w postaci organizacji regularnych rejsów wycieczkowych na trasie Warszawa – Płock. Elementem wycieczki miał być też wypad do leżącej nieopodal Żelazowej Woli. Niestety, druga wojna światowa kładzie kres tym planom. Po wojnie wprawdzie biała flota wróciła na Wisłę i kursowały tutaj nawet wycieczkowce, ale kryzys lat 80., a następnie przemiany ustrojowe po upadku komuny niestety prawie zupełnie zabiły żeglugę na Wiśle.

OBIAD Z WIDOKIEM

Do Wyszogrodu wpaść jednak warto choćby po to, by zobaczyć działające tutaj Muzeum Wisły, będące oddziałem najlepszego chyba w Polsce muzeum regionalnego z siedzibą w Płocku. Wyszogrodzka ekspozycja, jak na dzisiejsze standardy muzealnicze, co prawda trąci myszką, jednak gromadzi naprawdę ciekawe ekspozyty opowiadające o historii miasteczka, ze szczególnym uwzględnieniem właśnie Wisły. Nieopodal eksponowany jest też wrak sowieckiego samolotu znalezionej stosunkowo niedawno w błotach nad Bzurą.

Nad samą zaś Wisłą jest restauracja z cudownym widokiem na rzekę. Dobrze tam karmią. Szkoda jednak, że nie podają wiślanych ryb, które wbrew potocznej opinii są bardzo smaczne. Serwuje się co prawda sandacza, który również występuje w Wiśle, ale pochodzi on z innych łowisk. W szczególności żal, że nie jest podawana certa, która po wyginięciu jesiotrów uchodzi za największy wiślany smakofyk. Niestety, żeby jej spróbować, trzeba łowić samemu albo mieć znajomego wędkarza.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pomoc Moskwy

Niemieża koło Wilna, dzisiejszy Niemież, to wieś tatarska, której historia sięga XIV w. Tutaj właśnie książę Witold osiedlił Tatarów, stronników chana Tochtamysza, władcy Złotej Ordy, którego popierał w walce z Temürem Kutługiem.

W 1656 r. w Niemieży doszło do wydarzenia bez precedensu – zawarcia rozejmu, który wstrzymał działania wojenne pomiędzy Rzeczpospolitą a Moskwą triumfującą w wojnie, którą wywołała unia z Kozakami Chmielnickiego w Perejasławiu. Moskwa pierwszy i jedyny raz w swojej historii zamiast dołączyć do wrogów Rzeczypospolitej i rozszarpać ją na kawałki, wystąpiła w jej obronie. Jak to tego doszło?

Otóż niespodziewany atak Szwecji na Koronę i Litwę w lipcu 1655 r. zburzył moskiewskie plany podbicia całej Rzeczypospolitej. Car Aleksy Michajłowicz jesienią rozkazał wstrzymać działania wojenne, nie licząc się już z możliwością

całkowitego pokonania odwiecznego przeciwnika. Sam zresztą hetman polny Wincenty Gosiewski uświadomił posłów moskiewskich, że pojawiło się śmiertelne niebezpieczeństwo. Oto obejmujący władzę nad Rzeczpospolitą król Szwecji obiecał szlachcie odbicie z rąk moskiewskich wszystkich zawojowanych ziem. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko sojusz państwa polsko-litewskiego z potężną Szwecją, a dla cara nową wojnę. Dlatego w grudniu 1655 r. Aleksy Michajłowicz przyjął posłów cesarza Leopolda I Habsburga, którzy starali się nakłonić

go do podjęcia rozmów z królem Janem Kazimierzem i rozerwania tego porozumienia. Car rozpoczął zatem wojnę handlową ze Szwecją, a potem zdecydował się podbić Inflanty. Jednocześnie przyjął posła polskiego – marszałka orszańskiego Piotra Galińskiego, który zawarł wstępne porozumienie przeciwko Karolowi X Gustawowi.

Prawdziwe negocjacje miały zacząć się w Wilnie zajętym przez Moskwę. Delegacji Jana Kazimierza, która przyjechała w 300 koni, wyznaczono jednak miejsce właśnie w Niemieży, gdzie służba rozlokowała się w dworzech tatarskiej szlachty oraz w... meczecie. Posłowie mieszkali w starym dworze Sapiehów nad stawem, w pobliżu dzisiejszej litewskiej autostrady A3. Dziś znajduje się tam wielki, zdemastowany pałac Tyszkiewiczów, ale pochodzi on z XIX w., więc nie ma nic wspólnego ze wspomnianymi wydarzeniami.

W skład komisji koronno-litewskiej wyznaczonej do pertraktacji z Moskwą weszli: wojewoda płocki Jan Kazimierz Krasiński, marszałek Krzysztof Zawisza, biskup wileński Jan Karol Zawisza, referendarz Cyprian Paweł Brzostowski oraz starosta Stanisław Sarbiewski. Mediatorami byli przedstawiciele cesarza – posłowie Allegretto di Allegretti i Teodor Lorbach.

Miejsce rokowań znajdowało się przy słupie, nieco bardziej w stronę Wilna, gdzie rozstawiono namioty dla delegacji. Rozmowy rozpoczęły się 22 sierpnia 1656 r. od gróźb i pretensji. Polacy żądali oddania zawojowanych ziem, a Moskale – elekcji cara Aleksego za życia Jana Kazimierza. Kolejnym tematem spornym stała się kwestia zbuntowanej Kozaczyzny i jej podporządkowania Rzeczypospolitej.

W piśmie przekazanym posłom 4 września 1656 r. Moskwa zażądała zrzeczenia się Białej i Małej Rusi, a także Podola i Wołynia do Bugu. Dodatkowo domagano się zgody na administrowanie przez 20 lat pozostałą częścią ziem Litwy. Na szczęście późniejsze klęski wojsk cara w Inflantach, a także rozmowy Chmielnickiego ze Szwecją i Siedmiogrodem sprawiły, że wysłannicy cara zmiękli. Na początek tylko pozornie. Najpierw bowiem przekazali list od cara, w którym domagał się on przeprowadzenia elekcji, ale podkreślił, że jego celem jest włączenie Białej i Małej Rusi oraz Ukrainy w granice Księstwa Moskiewskiego. Ta wiadomość doprowadziła prawie do zerwania rozmów. Kiedy posłowie oświadczyli, że nie przyjmą warunków, poseł carski, Nikita Odojewski, niespodziewanie zaproponował, by wszystkie sprawy sporne rozwiązać w trakcie sejmku, na którym oficjalnie miano dokonać elekcji cara na króla. Ostatecznie 3 listopada zawarto traktat zwany wileńskim. Trudno uznać go za rozejm, raczej za zawieszenie broni oraz sojusz. O wszystkich sporach o ziemie, tytułach i elekcji zdecydować miał przyszły sejm.

Układ wileński oznaczał porażkę Moskwy. Car, który zawojował połowę Litwy i Polski, nie uzyskał żadnych ustaleń odnośnie do zdobytych ziem i łudził się, że na kolejnym sejmie zostanie królem Polski, zdobywając resztę kraju bez żadnych wojen. Nie pomyślał jednak, że w realiach szlacheckiej republiki zgromadzenie może w ogóle nie zająć się tą kwestią, a jeśli nawet, to posłowie po prostu nie wyrażą zgody na warunki układu wileńskiego, wykorzystując chwilowe zawieszenie broni do pozbycia się Szwedów. ©



RCS OBA



MG HS 1.5T AT EXCLUSIVE

Druga generacja MG HS to najpopularniejszy chiński model nad Wisłą. Już w połowie ubiegłego roku szybko piął się w rankingach sprzedaży w Polsce. Marka MG – założona 101 lat temu w Wielkiej Brytanii, choć od 18 lat jest w rękach chińskiego koncernu SAIC – w maju obecnego roku świętowała już zaś wydanie 10-tysięcznego samochodu na polskim rynku. Był to również model HS, tyle tylko że tańszej wersji Excite z manualną skrzynią biegów.

My do testów wzięliśmy wersję Exclusive z siedmiobiegową skrzynią automatyczną DCT. Szybko można się przekonać, skąd popularność tego modelu. HS to bowiem wyjątkowo atrakcyjna opcja w segmencie SUV-ów nieco większych niż kompaktowe. Z zewnątrz auto wygląda podobnie jak inne modne

obecnie SUV-y (choć najbardziej przypomina chyba swego niemieckiego konkurenta). Sylwetka jest dynamiczna i elegancka. A kabina? Konia z rzędem temu, kto nie patrzając wcześniej na znaczek, a jedynie na wykończenie wnętrza, zgadłby poprawnie cenę tego samochodu. Auto z jasnobrązową ekoskórą (są nią obite nie tylko fotele, lecz także deska rozdzielcza, podłokietniki, konsola centralna i boczki drzwi) oraz ze spłaszczoną u dołu, grubą trójramienną skórzaną kierownicą na pierwszy rzut oka wygląda bowiem niczym nowoczesny samochód aspirujący do klasy premium, a nie popularny SUV za niecałe 130 tys. zł.

HS wyposażony jest w dwa 12,3-calowe ekrany o wysokiej rozdzielczości. Bez problemów obsługuje Apple CarPlay oraz Android Auto (choć niestety tylko przewodowo). Niestety, wzorem innego

chińskiego producenta sprzedającego SUV-y jako szwedzka marka również w MG zdecydowaną większością funkcji zarządza się z poziomu ekranu centralnego. Dotykowo na wyświetlaczu steruje się nie tylko ustawieniami klimatyzacji, lecz także włącza się nawet światła przeciwmgielne. Jest to proste i intuicyjne, ale zupełnie niepotrzebnie odrywa od drogi wzrok kierowcy. Miejsca w kabinie jest mnóstwo. W drugim rzędzie wysokie osoby poczują się jak w limuzynie – tu można nie tylko swobodnie siedzieć, nie pocierając o nic głową czy kolanami, lecz także można nawet założyć nogę na nogę (nadal mówimy o tylnej kanapie). Na pochwałę zasługuje też dobre wyciszenie wnętrza.

Bagażnik wydaje się mały, ale jest całkiem ustawny. 507 l pojemności to jednak niewiele, aby bez trudu zapakować się na dłuższy rodzinny wypad. HS jest też wyposażony w wiele systemów bezpieczeństwa, z czego co najmniej kilka może na dłuższą metę irytować. Tak jest np. z alarmem o konieczności zrobienia przerwy, który potrafi zacząć piszczeć zaledwie kilka kilometrów po rozpoczęciu podróży.

Pod maską znajduje się czterocylindrowy silnik o pojemności 1,5 litra. Ma 170 KM mocy (maksymalny moment obrotowy wynosi 275 Nm). Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 9,6 s. Prędkość maksymalna: 195 km/h. To jednak auto przeznaczone dla miłośników komfortu, a nie sportowych wrażeń. W cyklu mieszanym (miasto, drogi krajowe i ekspresowe, autostrada) spalał podczas testu średnio ok. 8 l/100 km.

Najtańszy HS kosztuje w promocji 117,9 tys. zł, a wariant Exclusive DCT 129,9 tys. zł. © ©

GŁOŚNIK SONOS ROAM 2

Minimalistyczne wzornictwo, zaskakująco dobra jakość dźwięku, bateria z możliwością bezprzewodowego ładowania oraz lekka, wytrzymała, wodoodporna konstrukcja – to największe zalety udoskonalonego przenośnego głośnika klasy premium amerykańskiej marki Sonos.

Lato wreszcie sobie o nas przypominało. Można więc zrobić gorącą imprezę w ogrodzie lub cieszyć się ulubioną muzyką podczas pikniku czy odpoczynku nad basenem lub większą wodą. Solidnie wykonany głośnik jest odporny na bliski kontakt z ulewnym deszczem czy słodką wodą (ma certyfikat IP67, co oznacza, że przeżyje nawet kąpiel do 1 m przez 30 min). Jest też odporny na upadki i nie zajmuje zbyt dużo miejsca w plecaku (mierzy 16,8 cm x 6,2 cm x 6 cm) i waży zaledwie 0,43 kg. Można go postawić pionowo lub położyć poziomo.

Dużą zaletą Roam 2 jest również to, że potrafi automatycznie przełączać się między Bluetooth a wi-fi (np. gdy będąc w domu, chcemy skorzystać z opcji łączenia różnych głośników Sonosa – tzw. Multiroom – i rzuć tą samą muzyką zarówno gości na tarasie, jak i w salonie czy w kuchni). Obsługuje również



AirPlay 2, co ucieszy posiadaczy urządzeń z logo nadgryzionego jabłka. Mobilny głośniczek Sonosa można też obsługiwać za pomocą odgłosów paszczowych (Sonos Voice Control) lub przycisków na obudowie.

Roam 2 pozwala też na pogawędkę z Alexa Amazona.

A teraz najważniejsze. Jak ten głośnik gra? Bardzo dobrze, zwłaszcza jak na głośnik o tak małych rozmiarach.

Najmocniej, rzecz jasna, słychać zaskakująco potężny bas, ale nie tylko. Ten niewielki głośniczek potrafi dobrze oddać średnie pasmo. Nie brakuje detali i przestrzeni, które pozwalają wyróżnić poszczególne instrumenty. Nieźle działa też automatyczna kalibracja Trueplay, dzięki której Roam 2 automatycznie dostraja się do otoczenia.

Bateria na jednym ładowaniu wytrzyma ok. 10 godzin (podczas testów było to od osmiu do 11 godzin). Można ją ładować przewodowo lub indukcyjnie. Zaletą jest też możliwość łączenia dwóch głośników Roam 2 w parę stereo.

A wady? Brakuje asystenta głosowego Google (który był jeszcze w pierwszej generacji). Wysokie tony mogłyby być wyraźniejsze, a korektor graficzny dużo bardziej rozbudowany. Największą wadą jest jednak to, że Sonos wie, iż Roam 2 to dobry głośnik i każe sobie za niego dużo płacić. Cena: 813 zł.

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK
I ANNA POPEK Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pierogi
z rybą

Nigdy nie jest za późno, aby zacząć wodniackie życie. Ci szczęściarze, których rodzice, jeszcze gdy oni byli dziećmi, zapakowali w kapoku na łódź bądź żaglówkę, zaszczepiając w ten sposób bakcylią żeglarsstwa, nie wyobrażają sobie zapewne, że bez wody można spędzać wakacje.

Ale także pozostali – w tym i my dwie – wcale nie musimy rezygnować z tego ekskluzywnego i jednocześnie egalitarnego wypoczynku. Na wodzie wszyscy mówią sobie na „ty”, w rejs można popłynąć jako załogant, oferując tylko własne umiejętności i osobowość. Dlatego gdy ktoś cię zaprasza na łódź, zawsze skorzystaj. Otworzy to przed tobą nowe perspektywy spojrzenia na świat i na życie, poznasz innych, najczęściej bardzo ciekawych, samodzielnie myślących ludzi. Nie trzeba zaczynać z górnego C i kupować od razu jachtu – co teraz zwłaszcza obarczone jest pewnym ryzykiem wizerunkowym. Można wyczerterować, można zabrać się ze znajomymi, może być to nawet kajak na początek, ale prawdziwa radość to spędzić noc na wodzie, obudzić się przy plusku fal i śpiewie ptaków. Dobrze jest jednak skończyć kurs motorowodny i/lub kurs żeglarski.

Tak więc serdecznie polecamy, aby popłynąć jeszcze w tym sezonie. A co się jada na łódce? Kuchenki są tam bardzo małe, ale wygodne i śmiało można przygotować ciepłe śniadania i większe posiłki, choć

kuchnia na łodzi, zwłaszcza ze względu na konieczność mycia naczyń, musi być siłą rzeczy uproszczona. Jeśli jednak chcielibyśmy zjeść porządny dwudaniowy obiad na ciepło, to najlepiej przybić do brzegu i zjeść coś w lokalnej knajpcie. Jako że przygodę z łodzią zaczynałyśmy nad Zegrzem, znajomy polecił nam (na wodzie najlepiej działa marketing szeptany) tawernę Cicha Zatoka w Wierzbicy. Można tam zjeść smacznego sandacza z pieca, okonki albo... pierogi z rybami! Tak, tak. Brzmi nietypowo? A smakuje jak najbardziej tradycyjnie. Poprosiłam miłą właścicielkę, panią Karinę, o przepis i dostarczyła mi go wraz z pięknym zdjęciem, które tu zamieszczamy. Oryginalnie podane porcje (5 kg ryb) są na solidny obiad, więc nieco je zmniejszyłyśmy, ale wierzcie nam – pierogi szybko znikają z talerza!

Farsz

- morszczuk, dorsz, lin, sum – w sumie 1 kg
- 1 cebula pokrojona w kostkę i podsmażona na maselku
- koperek
- masło – 1/5 kostki
- śmietana kwaśna – 2 łyżki

Rybę trzeba ugotować krótko w osolonej wodzie, odsoczyć i zmielić razem z cebulką, dodać rozpuszczone masło i śmietanę, wymieszać, doprawić solą i białym pieprzem. Można dodać trochę bułki tartej, jeśli farsz będzie zbyt rzadki.

Ciasto

- mąka 0,5 kg
- 1 jajko
- woda (wrzątek)
- szczypta soli
- troszka oleju

Z rozwałkowanego ciasta trzeba wyciąć krążki, wypełnić je farszem z ryby i ugotować. Podawać z lekko podsmażoną cebulką.

Ahój! ©©

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Kojący
Tatarkiewicz

W nieciekłych czasach miło czytać o ciężkich czasach. Myśli się, że one nigdy nie wrócą...

Nie wszystko, nie każdego chce się czytać, ale Władysław Tatarkiewicz może być lekturą na każde czasy, ze wskazaniem na takie jak nasze: skłócone, zacięte, pogmatwane.

Dzienniki „Lata 1944–1960” (Wydawnictwo Marek Derewiecki) przynoszą otuchę, ustawiają rzeczy we właściwym porządku. Nie będąc poradnikiem, a zaledwie skrótowym sprawozdaniem z kolejnych dni i miesięcy, działają terapeutycznie. Dodają otuchy, uspokajają.

Wcześniejsze dzienniki Władysława Tatarkiewicza spłonęły w czasie Powstania Warszawskiego w domu przy ulicy Prezydenckiej. Te są relacją od czasu powstania, od wygnania z Warszawy, przez tułaczkę po Polsce i szukanie miejsca do życia. Poważne wahania mieli państwo T. co do Warszawy. Widok zrujnowanego miasta zniechęcał, nie było pewności, czy władze komunistyczne zgodzą się na uniwersytet. Ale i Kraków nie zachęcał – ponury, zatłoczony uchodźcami, niechętny obcym. Wszędzie brakowało podstawowych rzeczy do życia. Jednak w tych ubogich czasach zawsze zebrała się czwórka do brydza, zawsze znalazło się biurko do pracy, a często i ktoś, kto zagrał na fortepianie.

Ostatecznie państwo T. osiedlili się w Warszawie. Lata 50. były ciężkie, ale

przynajmniej przyniosły jaką taką stabilizację. O stalinizmie nie ma tu wiele, o pozabawieniu profesora wykładów na UW on sam wspomina jakby od niechcenia. Znany to nie z jego ust. Człowiek niezdolny do rzucania oskarżeń wspomina o tym jakby między słowami. Nawet o największych świństwach różnych ludzi (dzisiaj wiemy kogo) pada niewiele słów. Pan Władysław też rzadko chwali – zapamiętałam jeden z niewielu komplementów: dla architekta Macieja Nowickiego „miły człowiek”.

Postawa dystansu, spokoju i życzliwości, nieprzysiężania wagi do rzeczy materialnych zjednywała profesorowi przyjaciół i znajomych wszędzie, gdzie był.

Był zbyt skromny, by pisać o sobie, ale cała ta książka mówi właśnie o tym, jaki był. Tacy ludzie wyginęli – mówi się dzisiaj.

Powstanie wybiło pokolenie przedwojennych inteligentów, wykończył ich stalinizm. Może ich nie ma, myślę sobie; pocieszam się, że jednak są. Gdzieś są.

Przez strony książki przewijają się setki znajomych, współpracowników, kolegów, przyjaciół. Nazwiska z kręgów uniwersyteckich: Lorenz, Jachimec, Marconi, Suchodolski, Miłobędzki, Krzyżanowski, Szyszko-Bohusz. I pełno nieznanych ludzi.

Szkoda tylko, że nie ma przypisów – mojej ulubionej części lektur biograficznych.

©©





DEKAMERONKI

USA – UE – 1:0

JERZY KARWELIS

Mijanka prezydencka przykryła swą dynamiką kilka ważnych zdarzeń. Polacy zazwyczaj skupiają się mocno na sobie, tym bardziej więc to czynili w obliczu niepewności, jaką jedna ze stron wojny polsko-polskiej zaserwowała tej drugiej. Wszystko to przykryło umowę handlową USA-Unia Europejska. Nie dość, że nie patrzyliśmy w tę stronę, to jeszcze wymiar tych uzgodnień nie bardzo zachęcał Brukselę do chwalenia się jej wynikami.

Wynik ustaleń jest słaby, a więc ustanowiono ciszę nad tą negocjacyjną trumną, zwłaszcza że wcześniej buńczucznie wygrażano Trumpowi z Europy, że co to on tam sobie nie chce, a dostanie od Unii figę. A tu okazało się odwrotnie. W dodatku wcześniej poślednie miejsce Europy na świecie wydatnie pokazali Chińczycy, którzy nie przywitali królowej Europy na lotnisku, a całą wierzchuszkę naszego kontynentu przywieźli na spotkanie autobusem. Ursula von der Leyen miała zagwozdkę, gdyż zaraz po wizycie w Chinach miała mieć spotkanie z Trumpem i jakby padły z jej strony zbyt daleko idące deklaracje handlowe wobec Chin, to Trump mógłby się pogniwać i zaostrzyć swoje taryfowe żądania.

Bilans rozmów i ustaleń jest niesymetryczny: Amerykanie będą nas cłić na 15 proc., Europa zaś amerykańskich towarów cłić nie będzie. Trump

wynegocjował dodatkowo zakup przez Europę amerykańskich surowców za 750 mld dol., chipów AI za miliardów 40 oraz zwiększenie europejskich inwestycji o 600 mld dol. Dodatkowo Unia zobowiązała się do zwiększenia zakupu amerykańskiej broni, co stanowi przełom, gdyż w unijnym programie zbrojeniowym ReArm Europe wprowadzono ograniczenia finansowania wobec broni spoza Unii Europejskiej. Trzeba więc będzie Unii wyjść z tego dylematu, co oznacza pewnie, że wydatki na europejskie zbrojenia się podwoją. Trump zatoczył kolejne koło po świecie i trzeba przyznać, że finansowe efekty jego zagranicznych wizyt zadają kłam jego twierdzeniu, iż to Zełenski jest najlepszym akwizytorem na świecie.

Pozostaje jeden problem: Jak to Ursula ma zamiar dowieźć? Poczyła ona bowiem poważne zobowiązania, nie bardzo mając mandat do takich deklaracji. Tu akurat mamy do czynienia jednak z domeną państw, które wcale nie muszą wypełniać ustaleń Brukseli z USA. Wiele krajów już daje temu wyraz, bo wyniknęła choćby kwestia, w jakich to proporcjach poszczególne kraje unijne będą wypełniały obiecanie w ich imieniu, ale bez ich upoważnienia, deklaracje zakupowe. Szykuje się więc u nas niezła zadyma, która potwierdzi tylko tezę Trumpa, że w Europie nie ma z kim gadać. ©



#WARTO

Piątek i Stróżyk! Do roboty!

JAN POSPIESZAŃSKI

Wiem, kto stoi za skandalem z propagowaniem symboliki OUN-UPA, do którego doszło na Stadionie PGE Narodowym. Prowokacje w trakcie koncertu białoruskiego rapera Maksa Korża (popularnego także na Ukrainie) mają swoje źródła w decyzji samego Donalda Tuska.

Posługując się metodą Tomasza Piątka, trudno nie powiązać awantur wywołanych przez Ukraińców i pewnie Białorusinów (wszak koncert zgromadził ok. 60 tys. młodych ludzi, w większości migrantów zza wschodniej granicy) z likwidacją Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich. 31 lipca, bez rozgłosu, premier rozwiązał Komisję gen. Jarosława Stróżyka, która zatrudniała wybitnych ekspertów, m.in. Klementynę Suchanow, Annę Mierzyńską i właśnie Tomasza Piątka. I co? I wystarczyło kilka dni, a spuszczone z czujnego oka Komisji elementy inspirowane przez Łukaszenkę i Putina hulają po Polsce zupełnie bezkarnie.

Najpierw, 8 sierpnia, urągając przepisom o imprezach masowych, zorganizowały nielegalny koncert przy ul. Ordona na warszawskiej Woli. Chaos, huk, zakłócenie ruchu ulicznego i „dziki” dosłownie tłum do późna w nocy zatruwały życie okolicznym mieszkańcom. Jak podaje Miejski Reporter, imprezowicze ze Wschodu pozostawili po sobie sterty śmieci, puszek i butelek, a kilku z nich poli-

cjanci pozostawili w areszcie za posiadanie narkotyków.

Następnego dnia Stadion PGE Narodowy stał się zaś areną burd, bijatyk i starć z ochroną. Krzepcy i silni poborowi radośnie wskakiwali z trybun na płytę stadionu, a nad nimi powiewały czarno-czerwone flagi i symbole OUN-UPA. Polska, która zawsze była liderem pomocy dla walczącej Ukrainy, dziś z publiką na stadionie powinna natychmiast sformować przynajmniej pięć dywizji i odesłać do Kijowa. Premier Tusk przecież podpisał z prezydentem Zełenskim porozumienie, na mocy którego Polska miała wyszkołić ukraińskie legiony. Jak rzadko kiedy nadarza się okazja, a obecnych na koncercie trudno posądzić o brak patriotycznych postaw. Tym bardziej że sam minister Kierwiński zapowiedział, że wobec cudzoziemców łamiących prawo będą uruchamiane procedury wydalenia. Dlaczego więc po nielegalnym koncercie, w przededniu imprezy na Narodowym, nie wydalono samego Maksa Korża? Przecież to on złamał prawo, będąc głównym powodem i bohaterem dzikiego zgromadzenia.

Tak czy inaczej, Komisję Piątka i Stróżyka trzeba natychmiast przywrócić. Na przykład trzeba sprawdzić, dlaczego rzekomo walcząca z Łukaszenką antysystemowy raper zaplanował koncerty u Putina, w Nowosybirsku, Jekaterynburgu i Petersburgu... ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

CWIERKOT

Ale niby po co?

W czasie wybuchu afery z KPO, gdy okazało się, że znajomi królika mogą liczyć na jachty za pół bańki, mobilne ekspresy do kawy i solaria dodawane do pizzy, doradcy Donalda Tuska doradzili mu ucieczkę do przodu i przekierowanie tematu na inny tor. Stop. W związku z tym pokazano film, na którym widać Tuska na... wielkim jachcie. Stop. Naprawdę nowatorski. Dzięki koneksjom i przekupstwu ustaliłem, kto doradza premierowi. Stop. Doradzają mu wrogowie.

Donald Tusk, próbując tłumaczyć aferę z rozdanym miliardem, rzekł: „Sto procent odpowiedzialności za wieloletni bałagan spada na poprzedników, którzy zablokowali środki z Krajowego Planu Odbudowy. Stop. Tu pojawia się pewien problem, ponieważ członkowie Platformy Obywatelskiej, np. jej wiceszef Rafał Trzaskowski, będąc w opozycji, przyznawali, że środki z KPO będą mrożone do czasu, aż PiS przestanie rządzić. Stop. W związku z tym ktoś mógłby zarzucić Tuskowi kłamstwo. Stop. Ale niby po co?

Policjanci chcą dorobić. Stop. Pamiętają państwo akcję policjantów, kiedy pod koniec maja tego roku bez nakazu wdarli się do pokoju hotelowego Batmana tylko dlatego, że w trakcie kampanii prezydenckiej wywiesił napis: „Byłe nie Trzaskowski”? Stop. Stróż prawa dostali polityczny rozkaz, którego nie musieli wykonywać, bo nie było żąd-

nych podstaw, poza polityką, żeby wchodzić do prywatnego pokoju i pacyfikować wesołka. Stop. Wizytę naszych bohaterów uwiecznił znany fotoreporter. Stop. Dzięki niemu poznaliśmy te twarze. Stop. I tu ciekawostka: właściciele policyjnych twarzy z jakiegoś powodu uznali, że fotografowanie ich w czasie pracy narusza ich... dobra osobiste! Stop. Zażądały przez adwokatkę 90 tys. zł od fotoreportera. Stop. Eee, policjanty, wy nie powinniście być dumne, że z narażeniem życia weszłyście w konflikt z samym Batmanem? Stop. Przecież wiadomo, że to nie byle kto... Stop. A może po prostu dotarło do was i wstydzicie się, że cała Polska dowiedziała się, co zrobiliście? Stop. To może trzeba było tego nie robić? Stop. W ramach mediacji proponuję, żebyście zostawili fotoreportera, a ja dam każdemu po stówce. Stop. Więcej nie dam, bo, no cóż, twarze macie, jakie macie...

Żona bardzo bogatego posła Łąckiego z Platformy dostała ponad milion z KPO. Stop. W związku tym Łącki poinformował: „A tak przy okazji do hejterów wszelkiej maści, niedoinformowanych dziennikarzy i w ogóle do wszystkich cynicznych mendpłci obojga: jeśli ktoś będzie naruszał dobre imię mojej żony [...]”. Stop. Dalej nie chce mi się cytować, ale chce mi się zadać państwu pytanie: Czy gdybym nie napisał, że Łącki jest z Platformy, to czy i tak byłoby wiadomo? ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Miotły
w dłoń!

Bardzo ciekawe odkrycia stają się właśnie udziałem polskiej humanistyki. Podzieliła się nimi w wywiadzie dla Tygodnika Interia dr Joanna Malita-Król z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktor Malita-Król zatytułowała swój wywiad diagnozą: „Polacy wracają do wierzeń przodków. Coraz więcej pogan”.

Taki stan rzeczy sprawa badacze zauważalną satysfakcję. Opisywani przez nią poganie górują nad otoczeniem. „To źródnicowana grupa, ale jej członkowie mają na pewno kilka cech, które ich łączą. Jedną z nich jest potrzeba poszukiwania duchowych wykraczająca ponad to, z czym spotykają się na co dzień. Nasz polski krajobraz religijny jest zdominowany przez rzymski katolicyzm, w którym wzrastała większość Polaków. Jednak współcześni poganie szukają czegoś innego” – głosi badaczka. „Kolejną cechą, którą zaobserwowałam wśród współczesnych pogan, jest to, że są to ludzie niesłuchanie wręcz odczytani. W swoich poszukiwaniach sięgają nie tylko po teksty popularnonaukowe, ale i naukowe, etnograficzne, antropologiczne, filozoficzne. Spotykają się, także on-line, i żywo dyskutują nad różnymi tematami – także dlatego, że współczesne pogaństwo, w odróżnieniu od wielkich religii monoteistycznych, nie ma spisanej doktryny”.

Uczona z Uniwersytetu Jagiellońskiego rozwiewa w wywiadzie niekorzystne dla pogan „mity”. „Na przykład wicca, jako religia misteryjna, nieco tajemnicza, czasem wiązana jest z rytualnymi orgiami. Owszem, elementy świętej seksualności są w niej obecne i istotne. Jednak podczas rytuału jednoczenie pierwiastka żeńskiego i męskiego może następować symbolicznie, przez zanurzenie sztyletu rytualnego athame w kielichu z winem” – relacjonuje dr Malita-Król. Zdarza się czasem, że „zjednoczenie symboliczne” nie wystarcza. „W niektórych wiccańskich tekstach, na przykład słynnej »czarownica Witches' Bible« Stewarta i Janet Farrarów, opisano stosunki seksualne odbywające się między kapłanką a kapłanem, jednak najczęściej byli oni parą w życiu pozakawonowym, a kulminacyjny moment rytuału odbywał się bez świadków. Natomiast wszystko powinno się odbywać za obopólną zgodą i to nie jest tak, że co rytuał, to radosna orgia między wszystkimi członkami kowenu”.

Prawdziwy naukowiec potrafi czerpać z pracy radość i satysfakcję. Towarzyszyć im może gorczy rozczarowania, której ślad da się wyczuć w refleksjach krakowskiej badaczki. Tym bardziej żyć jej trzeba, by w trakcie naukowej kariery nie śledziła jedynie zanurzeń rytualnego sztyletu athame. ©©



KRYSZTOF KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Polski sierpień

Idą niezauważeni przez wielkie media, bo to przecież trochę obciach. Idą niezauważeni również przez polityków, choć przecież jest ich niemało. Mogliby wszak stanowić to, co politolodzy określają – dość brzydkim przyznajmy – słowem „elektorat”. A da się ich dostrzec, bo przecież blokują lub przynajmniej utrudniają ruch, nierzadko hałasują, śpiewając, grając czy wydając inne dźwięki.

Zauważają ich za to policjanci, czasem muszą im pomagać. Wczorami można dostrzec ich na poboczach, głównie wiosek, gdzie śpią w przeróżnych zabudowaniach u tzw. dobrych ludzi. Tak, oni jeszcze istnieją, dobrzy ludzie, bezinteresownie wpuszczający

Taszczą wielkie i mniejsze plecaki, rzadziej torby przerzucone przez ramię, zakrywają głowy czapkami i kapeluszami, popijają wodę z plastikowych – choć coraz częściej wielorazowych – butelek, ale najważniejszy spośród elementów wspomnianego ekwipunku najczęściej po prostu trzymają w dłoni. Przydaje się niezwykle często. Ktoś nieobeznany z tematem (a wyrosło już całe pokolenie ludzi niemających pojęcia, co robią owi idący, dokąd zmierzają i o co im chodzi) mógłby stwierdzić, że niosą w dłoniach biżuterie. Korale.

Ale to nie korale. To różańce. Mowa bowiem o pielgrzymach, którzy sierpniowymi dniami i wieczorami przemierzają nasz kraj. Idą w różne miejsca, choć

nie, z niemałą czułością. Prawie taką, jak ponad 60 lat później ich proste, poranione życiem twarze w „Pamiętce z Kalwarii” ukazał młody Jerzy Hoffman, być może już planując przenieść część ich emocji na kręconą prawie dwie dekady później scenę obrony Jasnej Góry.

Gdy mówimy „polski sierpień”, myślimy w pierwszej kolejności o wybuchu Powstania Warszawskiego. Kto inny, z odchodzących już pokoleń, wspomina, że „lato było piękne tego roku”, roku 1939, a więc mając na myśli to, co działo się tuż przed 1 września. Kolejni z polskim sierpniem skojarzą wielki triumf pod Warszawą z roku 1920.

Gdy ja myślę o polskim sierpniu, myślę o bosych ludziach z obrazów sprzed lat, o opisanych przez Reymonta „twarzach prostych, czarniawych od skwarów, o rysach zgrubiałych i ubiorach szarych” i o wąsatych lub opatulonych w chusty postaciach z kadrów Hoffmana. I o tych, którzy pielgrzymowali 20 lat temu i dekadę temu, i dziś. Bo pielgrzymkowy polski sierpień trwa. Sierpień będzie polski jedynie wtedy, kiedy oni nadal będą iść, maszerować, pielgrzymować. Do Matki, Pośredniczki, Pani, Pocięzycielki, Królowej.

A coraz więcej osób, jak późniejszy autor „Ziemi obiecanej”, zaduma się i zapyta, „co im każe rzucić dom, sieci, gospodarstwo, zarobek, zawsze pewną miskę kartofli, łóżko i pierzynę i iść mil kilkanaście do suchym chlebie, sypiać po drogach, znosić trudy niewypowieliane życia koczowniczego?... Cóż to jest za siła, która ich porывa z gniazda i rzuca w różnorodny, taki sam tłum, i wlecze, i odprowała?...”. ©

Gdy mówimy „polski sierpień”, myślimy w pierwszej kolejności o wybuchu Powstania Warszawskiego. Gdy ja myślę o polskim sierpniu, myślę o tych, którzy pielgrzymowali 20 lat temu i dekadę temu, i dziś. Bo pielgrzymkowy polski sierpień trwa

pod swój dach podróżujących w tak ważnych sprawach. No, ale są i szkoły (w sierpniu przecież chwilowo opuszczone), remizy strażackie, hale sportowe, a dla bardziej wprawionych namioty, nawet te rozbite nieopodal ruchliwej drogi.

Idą, choć bolą ich nogi, ale podobno to dobry ból. Bolą też kręgosłupy, nieprzwykłe do tak długiego maszerowania. Kto roztropany, rzecz jasna, wcześniej przygotował nie tylko odpowiedni ekwipunek, lecz także właśnie nogi oraz kręgosłup. A kto nieroztropany czy niedoświadczony, będzie zaskoczony zmęczeniem, bódkami, uciążliwością.

najczęściej do tej samej Osoby. Do Matki Bożej, Królowej Polski. Niektórzy do Zakopanego, inni do Lichenia, kolejni do Kalwarii, Leżajska czy Świętej Lipki. Coraz więcej zmierza ku Gietrzwałdowi. Ale głównym celem wciąż pozostaje Jasna Góra.

Nie pierwszy to rok i nie drugi, kiedy tak idą. Nie pierwsza i nie druga dekada, nie pierwsze i nie drugie stulecie. Od dawna inspirowali artystów. Obrazowali ich liczni malarze. Jeden z kluczowych tekstów w polskim reportażu literackim, a więc „Pielgrzymka do Jasnej Góry”, napisana przez młodego Władysława Reymonta, opisywała ich niezwykle dokład-



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zachowuje się tak jak wcześniej – to były zarzuty, podkreślam ZARZUTY wobec Trumpa, gdy objął urząd prezydencki, ale nie zmienił swoich obyczajów i nie porzucił rozrywek z czasów, zanim został prezydentem. Nadal chodził na mecze, nadal jadł hamburgery itd. Gdy przeciwnicy mówili, że zachowuje się „nieprezydencko”, prychnął i oświadczył, że skoro jest prezydentem, to w takim razie wszystko, co teraz robi, JEST prezydenckie, nawet jeżeli wcześniej tak nie było. Wcześniej hamburgery popijane colą mogły nie być „prezydenckie”, ale teraz są potrawą dyplomatyczną i odwal się pan ode mnie. Inni prezydenci też jadaliby hamburgery, ale robili to po kryjomu, Trump je jada publicznie. Jest prawdziwy i naród to kocha. Gdy odwiedził strażaków, przywiózł im pizzę ze zwykłego nowojorskiego sklepu, za którą sam zapłacił. Przyjechał w odwiedziny i postawił pizzę, jak to robią normalni ludzie. – Czekaliście tu na mnie trochę za długo, nie było wiadomo dokładnie, na którą przyjadę, to pewnie teraz jesteście głodni. Pizza może być?

Ta sama banda stawia teraz podobne zarzuty Karolowi Nawrockiemu. Wychylił się z okna i powiedział ludziom, że zaraz do nich wyjdzie – zachowanie jak najbardziej normalne, ale drugą stroną to drażni, bo oni nie zachowują się normalnie, więc zaczęli wybrzydzać, że to było „nieprezydenckie”.

Gdy Trump chodził na mecze (bo lubi), padały uwagi, że nie powinien, a już szczególnie nie powinien kibicować jednej ze stron. Co innego oficjalne

otwarcie igrzysk, a co innego zwykły mecz. Trump tę krytykę zignorował. Bywa na tych samych imprezach sportowych, na które chodził zawsze – wyścigi samochodowe, walki na ringu, golf, futbol. Gdy Trump wchodzi na mecz, sala wstaje i słycać wiwaty. Zawsze i wszędzie, bez jednego wyjątku.

To samo widzieliśmy, gdy Karol Nawrocki poszedł z synami na mecz Lechii Gdańsk – nasze okrzyki radości. Posadzili go w sektorze dla VIP-ów, ale nie wytrzymał i przeszedł do sektora dla prawdziwych kiboli („kibol” jest u mnie określeniem pozytywnym, po prostu twarde męskie słowo prawidłowo oddające treść). Stadion wiwatował i skandował, czyli naród się ucieszył. Coś w tym złego? Czy naród powinien się cieszyć, gdy widzi swojego prezydenta? Oczywiście! Prezydent powinien być właśnie taki, że naród się cieszy, gdy go widzi. No bo co jest alternatywą? Gdy naród widział Jaruzelskiego, to albo nim gardził, albo robił w portki ze strachu. Gdy naród widział Wałęsę, skandował: „Bolek, Bolek”. Gdy patrzył na Kwaśniewskiego, widział nachlanego bawidamka. Gdy patrzył na Dudę, ziewał. Wiwaty na meczu Lechii Gdańsk były radosne oraz szczere i Nawrocki był radosny i szczery. Dobrze!

Nowy prezydent RP pokazał dobre wycucie i instynkt. Moje pierwsze skojarzenie z nim związane to nadzieja. Minione lata to był narastający brak nadziei na jakikolwiek sukces Polski.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Nawrocki był na

meczu w Gdańsku, na Stadionie Narodowym w Warszawie odbył się koncert rapera z Białorusi, który sławę zdobył w Rosji. Koncert zgromadził kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Proszę obejrzeć filmy z tego, co tam się działo. Zarówno w trakcie koncertu, jak i w trakcie burdy. Proszę te filmy oglądać bez dźwięku, a zobaczą państwo mowę ciała. Ten tłum rusza się inaczej niż polskie tłumy. Na widowni było trochę Białorusinów i ogromną większość Ukraińców. Ten tłum rusza się inaczej. Widać nieposkromioną, groźną siłę. Strach patrzeć. To tylko koncert. Ale skoro oni tak się ruszają z okazji koncertu, to jak rusziliby się w trakcie ataku lub zamieszek? Gdyby te kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn wyszło razem na Warszawę, to nie ma w Warszawie takiego garnizonu, który ich powstrzyma przed czymkolwiek. To nie ich wina, żeśmy ich wpuścili. To nie ich wina, że tu są. Wina jest nasza i zagrożenie nasze, nie ich. Nie ma w Polsce żadnej siły policyjnej ani militarnej, która byłaby w stanie opanować ten rodzaj tłumy. Mamy na terenie Polski diasporę, która jest bardziej witalna, odważna i silna od nas. Nieposkromiona, jak na Wołyniu.

Granica kulturowa pomiędzy światem Zachodu a Wschodem od wieków przebiega przez Polskę. Na zachód od Polski jest cywilizowany Zachód, a na wschód od Polski było i jest coś dzikiego – Sienkiewicz w „Trylogii” pisał o Dzikich Polach. Gdy granice Polski się przesuwają, wraz

z nimi przesuwają się granice pomiędzy cywilizowanym Zachodem a dzikimi ziemiami Wschodu.

To, że na tym koncercie pojawiło się kilka flag z benderowskimi symbolami, to drobiazg w porównaniu z czym innym: proszę popatrzeć, jak ten tłum się ruszał (patrzeć bez dźwięku). Te ruchy były śmiertelnie groźne, gdyby z dowolnego powodu zostały skierowane przeciw nam.

Polska popiera Ukrainę w wojnie z Rosją.

Ukraina nie wytrzymuje już tej wojny, bo brak poborowych.

Czemu Zełenski nie zwrócił się do Polski o pomoc w zamknięciu stadionu kordonami żandarmerii wojskowej po to, by zabrać dziesiątki tysięcy poborowych? W co gra Zełenski, że mu nie zależy na uzupełnieniu liczebności wojska? Dekrety o poborze wydał. Czemu nigdy nie prosił o pomoc w celu odzyskania swoich poborowych z terenu Rzeczypospolitej? Brak mu wojska, ale nie stara się mieć go więcej. Z okazji koncertu miał podane na talerzu kilkadziesiąt tysięcy rekrutów. Chce przegrać wojnę z Rosją?

I co to za rodzaj wojny i państwa, skoro z jednej strony ci młodzi ukraińscy mężczyźni machają flagami, które uznają za patriotyczne, ale sami nie jadą na front? Czy oni wiedzą coś, czego my nie wiemy?

W roku 1920 młodzi polscy mężczyźni, a nawet chłopcy szli na front ochotniczo. Uciekali z domów, aby wstąpić do wojska, kłamali, że mają więcej lat, niż mieli... I poszli na front bronić swego kraju przed Ruskimi. Czemu nikt z tych Ukraińców na stadionie nie ma takiej chęci? Granica kulturowa – na wschód od Polski jest świat, którego nie rozumiemy. ©

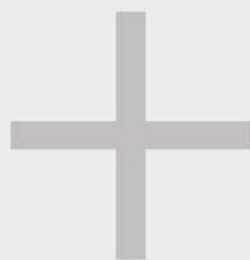
Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„BAJECZNA CHORWACJA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1403~~ ZŁ

496,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 967 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7dd1d45c14

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY
DO KSIĘGARNI
DO RZECZY



KSIĘGARNIADORZECZY.PL